

ISSN 0023-5148

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ**

**Nr 4/475**

**1987**

---



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

**WOJNA Z NARODEM WIDZIANA OD ŚRODKA :  
WYWIAD Z B. PŁK. DYPL. R. J. KUKLIŃSKIM**

**P. ZNAWCA :**

**CZY MAMY ŻYCZYĆ GORBACZOWOWI  
POWODZENIA ?**

**W. KULERSKI : SPOŁECZEŃSTWO PODZIEMNE 1987**

## SPIS RZECZY

B. płk dypl. R. J. Kukliński:	<i>Wojna z narodem widziana od środka</i> (Wywiad udzielony Kulturze) . . . . .	3
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i> . . . . .	38
Sławomir Mrożek:	<i>Pilna sprawa</i> . . . . .	68

### WIERSZE

Bogdan Czaykowski:	<i>Odwiedziny 1973</i> . . . . .	70
Bogdan Czaykowski:	<i>Przemijają kobiety</i> . . . . .	71
Agnieszka Osiecka:	<i>Marek Hłasko</i> . . . . .	71
Joanna Salamon:	<i>Jak rodacy?</i> . . . . .	72

### ARCHIWUM POLITYCZNE

P. Zławca:	<i>Czy mamy życzyć Gorbaczowowi powro- dzenia?</i> . . . . .	73
------------	--	----

### K R A J

Jan Czerniakowski:	<i>Społeczeństwo podziemne 1987 — Wy- wiad z Wiktorem Kulerskim</i> . . . . .	87
(ja):	<i>Notatki z Polski</i> . . . . .	111
Tomasz Łomża:	<i>Sygnaty bez odpowiedzi</i> . . . . .	116

### O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA

Dominik Morawski:	<i>Korespondencja z Rzymu</i> . . . . .	120
—	<i>Nowy wywiad Prymasa</i> . . . . .	124
—	<i>Fragmety listu otrzymanego z mia- rodajnych kół watykańskich</i> . . . . .	125

### SĄSIEDZI

Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i> . . . . .	129
Andrzej J. Chilecki:	<i>Kronika niemiecka</i> . . . . .	137
E. Żagiell:	<i>Kronika litewska</i> . . . . .	140

### SPRAWY I TROSKI

Aleksandra Kwiatkowska- Viatteau:	<i>Polskie muzea i biblioteki na Zachodzie</i> . . . . .	143
--------------------------------------	--	-----



—	<i>Wydarzenia miesiąca oraz kroniki: australijska, duńska, francuska i kanadyjska</i> . . . . .	147
---	---	-----



K. Dybcia, L. Ciołkoszowa, A. Chojnowski:	<i>Listy do Redakcji</i> . . . . .	157
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i> . . . . .	159

# KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Kwiecień - Avril 1987

INSTYTUT



LITERACKI

## WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

N. Barakoński, Sherman Oaks, CA (USA), po raz 18-ty — \$ 40,00	F. 242,00
Andrzej Brzeski, Davis, CA (USA), po raz 62-gi — \$ 100,00	F. 605,00
L. Łabno, Nussbaumen (Szwajcaria), po raz 7-my	F. 500,00
Dr Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, Man. (Kanada), po raz 19-ty — \$ 100,00	F. 605,00
Saturnina Raciborska, Chatou (Francja)	F. 300,00
Bezimiennie z Wielkiej Brytanii — £ 2.000,00	F.19.400,00
Bezimiennie z Nancy (Francja)	F. 500,00

Na apel Kiermaszu Książki Polskiej S.P.K. w Zurychu z okazji jubileuszu *Kultury* wpłacili na Fundusz *Kultury* pp. Wojciech Czub, Ignacy Krawczyk, Jerzy Kitkowski, Adolf Kasprzak, Stanisław Komorski, Czesław Skibiński, Marian i Teresa Respondowie, Jerzy Podstolski, dr Aleksander i Alicja Kotliccy, Ryszard Opach, dr Marian T. Borkowski, Stanisława Mołag, Maria Kalinowska, Stefan Ozóg, dr Tadeusz Blewski, E. J. Klajnert — Fr. szwajc. 490,00 .... F.1.894,05  
oraz Krystyna Tornare na Fundusz Drukarski im. Wł. Głowackiego — Fr. szwajc. 30,00 ..... F. 116,00  
(nadesłała p. Halszka Vincenzowa).

DZIĘKUJEMY!

## WPLATY NA FUNDUSZ NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

W Redakcji <i>Listów do Polaków</i> złożył J. Harasiuk, Stevens Point, WIS (USA) — \$ 10,00	F. 60,50
Aleksander Moskala, Farsta (Szwecja) — na fundusz spłacania grzywien wymierzanych działaczom „Solidarności” przez kolegia i sądy	F.3.000,00
Polish-Canadian Action Group, Toronto, Ont. (Kanada) na „Solidarność” w Polsce — \$ c. 1.005,00	F.4.478,28
Polskie Ugrupowanie Polityczno-Społeczne „Niepodległość” — Solidarność” w Calgary, Alberta (Kanada) przekazało dochód z koncertu Jacka Kaczmarskiego i Stanisława Zaluskiego w dn. 15 lutego 1987 roku. Koncert był częścią kanadyjsko-amerykańskiego <i>tournee</i> w/w artystów, zorganizowanego przez Marka Przykorskiego z Montrealu (nadesłał Jan Moczulak) — \$ c. 268,00	F.1.180,00
Stowarzyszenie Przyjaciół „Solidarności” w Winnipegu, Man. (Kanada) — na rzecz NSZZ „Solidarność” przekazało \$ c. 300,00 oraz sumę zebraną w czasie mszy św. za Ojczyznę dn. 23 lutego 1987 r. w kościele św. Andrzeja Boboli w Winnipegu — \$ c. 238,00 — razem: \$ 538,00 (obie sumy nadesłała Anna Howiecka)	F.2.351,00

Stowarzyszenie „Wolność — Demokracja — Solidarność” na fundusz interwencyjny	F. 166,05
--	-----------

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 160)

## Wojna z narodem widziana od środka

ROZMOWA

Z BYŁYM PŁK. DYPL. RYSZARDEM J. KUKLIŃSKIM  
PRZEPROWADZONA W PIĄTĄ ROCZNICĘ  
WPROWADZENIA W POLSCE STANU WOJENNEGO\*

**KULTURA:** — *Panie Pułkowniku! Zaczniemy od pytania, które wszyscy sobie zadają. Uptęnięto już pół roku od czasu kiedy czynniki rządowe PRL ujawniły rolę jaką Pan odegrał w czasie przygotowań do wprowadzenia stanu wojennego, inicjując w czerwcu tego roku wybuch prawdziwej bomby prasowej. Dla czego właśnie teraz i dopiero teraz zabiera Pan głos?*

**RYSZARD JERZY KUKLIŃSKI:** — Rewelacje Jerzego Urbana, a później generała Czesława Kiszczaka były, jak wiadomo, wymierzone przeciwko polityce Stanów Zjednoczonych. Nie jestem adwokatem rządu tego kraju i nie do mnie należy obrona czy uzasadnianie jego decyzji. Uważałem, że od tego są rzecznicy administracji amerykańskiej. I to był najważniejszy powód mojej wstrzeźliwości. Nie bez znaczenia był jednak również fakt, że nie chciałem być tymi przysłowionymi nożyczkami, które odzywają się, gdy pan Urban w stół uderzy. Nie miałem i nie mam zamiaru polemizować z fałszami i propagandowymi bzdurami.

Zabieram głos w piątą rocznicę wprowadzenia stanu wojennego, bo jest to odpowiednia okazja do rozważań nad zakłóconym 13 grudnia 1981 roku, ale przecież jeszcze nie zamkniętym rozdziałem naszej najnowszej historii. Nie roszczę sobie pretensji do objawienia całej prawdy niezwykle złożonego okresu od sierpnia roku 1980 do grudnia roku następnego. Czuję się jednak w obowiązku przedstawić społeczeństwu te wydarzenia, których

\* © Copyright by Ryszard Jerzy Kukliński & Kultura.

byłem bezpośrednim uczestnikiem lub świadkiem. Społeczeństwo samo może sobie wyciągnąć wnioski.

*K.: — To co Pan powiedział odnosi się do ostatniego okresu. Społeczeństwo chciałoby jednak z pewnością znać również powody dlaczego tuż po wydostaniu się z Polski nie ostrzegł Pan, że lada dzień wprowadzony będzie stan wojenny, że nastąpi policyjno-wojskowe uderzenie w „Solidarność”, że nastąpi masowe internowania itd.? Był Pan przecież jednym z niewielu, którzy jeszcze przed ogłoszeniem stanu wojennego znali dokładnie plany tej operacji. Według oświadczeń reżimu, 7 lub 8 listopada, a więc na miesiąc przed uderzeniem grudniowym znalazł się Pan w Stanach Zjednoczonych. Dlaczego z tych informacji nie został zrobiony żaden użytek?*

R.J.K.: — Data kiedy rzekomo miałem się znaleźć w Stanach Zjednoczonych jest nieprawdziwa. 8 listopada nie zjawiłem się w Sztacie Generalnym Wojska Polskiego, ale to wcale nie oznaczało, że byłem już w Stanach Zjednoczonych. Dla przedmiotu sprawy nie miało to jednak większego znaczenia gdyż szansa ostrzeżenia na czas społeczeństwa rzeczywiście istniała. W kraju było to niemożliwe, ale po wydostaniu się na Zachód miałem właściwie pełną swobodę poruszania się oraz postępowania według własnych decyzji. Byłem wolnym człowiekiem i bez najmniejszych przeszkód mogłem telefonicznie, a nawet osobiście nawiązać kontakt z przedstawicielami dowolnych środków masowego przekazu, a nawet — ze względu na powagę sytuacji — zwołać konferencję prasową i zaapelować o przekazanie takiego ostrzeżenia o jakim Pan mówi.

*Tak bym prawdopodobnie postąpił gdybym się kierował wyłącznie emocjami.* Byłoby dużym uproszczeniem twierdzenie, że były mi one zupełnie obce. Przeciwnie, wydaje mi się, że byłem w podobnym stanie wstrząsu, jaki w miesiąc później był udziałem większości Polaków słuchających radiowo-telewizyjnego wystąpienia generała Jaruzelskiego, ale na szczęście stan emocjonalny nie sparaliżował zupełnie zdolności przewidywania tego co może nastąpić gdy moje ostrzeżenie dotrze do kraju.

W przewidywaniu rozwoju wydarzeń niepotrzebna była jakaś szczególna wyobraźnia. Nad sprawami stanu wojennego pracowałem ponad rok, ściśle biorąc 380 dni, a czasami i nocy. Rozliczne warianty możliwych działań znałem już na pamięć. Wystarczyło więc tylko do niej sięgnąć, aby zdać sobie sprawę, że:

Po pierwsze — podjęta pod presją Związku Radzieckiego decyzja o wprowadzeniu w Polsce stanu wojennego, w początkach listopada roku 1981 była już praktycznie nieodwołalna. Gdyby generał Jaruzelski w ostatniej chwili załamał się, wystąpienie

radiowo-telewizyjne do narodu wygłosiłby generał broni Eugeniusz Molczyk lub inny zdecydowany na ten krok generał.

Po drugie — operacje stanu wojennego miały prowadzić wyłącznie polskie siły policyjno-wojskowe. Gdyby jednak z jakichkolwiek powodów nie były one w stanie złamać oporu społeczeństwa, do akcji miały wkroczyć czekające u granic Polski w pełnej gotowości dywizje radzieckie, czeskie i niemieckie.

Po trzecie — w dniu 7 listopada 1981 roku, to jest w momencie opuszczania przeze mnie Sztabu Generalnego WP, stan przygotowań do wprowadzenia stanu wojennego był tak dalece zaawansowany, że do uruchomienia całej policyjno-wojskowej machiny wystarczyło tylko naciśnięcie przysłowiowego guzika. Jedynym problemem do rozwiązania pozostało spreparowanie — możliwego do zaakceptowania przynajmniej przez część społeczeństwa — pretekstu do rozpoczęcia konfrontacji oraz wybór najlepszego momentu uderzenia.

Po czwarte — w głównym wariantcie działań stan wojenny zamierzano wprowadzić z zaskoczenia, którejs nocy z piątku na wolną sobotę. Gdyby jednak sytuacja w kraju na to nie pozwalała (na przykład: gdyby „Solidarność” podjęła jakąś akcję uprzedzającą), stan ten mógł być wprowadzony także w różnych niekorzystnych z operacyjnego punktu widzenia sytuacjach, w tym także w czasie trwania powszechnego strajku okupacyjnego.

Biorąc to wszystko pod uwagę, nie miałem najmniejszych wątpliwości, że ujawnienie przeze mnie planów uderzenia nie mogło ich w najmniejszym stopniu udaremnić lub choćby opóźnić. Mogło je tylko przyspieszyć. Rozważając taką ewentualność musiałem się natomiast liczyć z faktem, że jeśli moje ostrzeżenie nie zostanie uznane w kraju za inspirowany przez władzę fałszywy alarm, czy jakąkolwiek inną prowokację, jeśli w to ostrzeżenie „Solidarność” rzeczywiście uwierzy, wówczas niemal na pewno dojdzie do natychmiastowego ogłoszenia strajku generalnego, a w konsekwencji do zorganizowanego oporu w setkach fabryk, zakładów pracy i uczelni.

Wiedziałem, że w takiej sytuacji akcje sił policyjno-wojskowych nie ograniczyłyby się wyłącznie do blokowania ośrodków strajkowych oraz odcinania im dopływu elektryczności, wody, żywności; że dla złamania masowego oporu i osiągnięcia szybkiego sukcesu musiałyby nastąpić uderzenia sił pancernych, przede wszystkim czołgów; że wreszcie przy ewentualnym powszechnym oporze ludności, sił polskich byłoby za mało i na pewno do akcji wkroczyłyby również pozostające w strategicznych rezerwach dywizje radzieckie, a nawet czeskie i niemieckie.

Nie ulega wątpliwości, że przy takim rozwoju wydarzeń wszystko musiałyby się skończyć nieprawdopodobną krwawą masakrą ludności, a zwłaszcza tej jej części, która trwałaby w opo-

rze. Wydaje mi się, że los działaczy „Solidarności” i opozycji wyglądałby dziś zupełnie inaczej, gdyż w wypadku wprowadzenia do działań sił radzieckich nastąpiłaby nie tylko rzeź, ale z całą pewnością także deportacja, taka sama jaka miała miejsce po stłumieniu powstania węgierskiego.

Stawka była więc zbyt wysoka aby dać się ponieść emocjom i poczynić jakikolwiek nierozważny krok. Nie mogłem wziąć na siebie odpowiedzialności, za tego typu ryzykowne posunięcie. Powiem więcej, gdyby ktokolwiek inny, łącznie z rządem Stanów Zjednoczonych chciał takie ostrzeżenie przekazać, to mógłby uczynić to tylko wbrew mojej opinii. Na szczęście taka okoliczność w ogóle nie wystąpiła.

Zdawałem sobie sprawę, że powstrzymanie się od takiego ostrzeżenia może się kiedyś w przyszłości spotkać z krytyką. Słyszę ją dziś tu na obczyźnie, jej odgłosy docierają również z kraju. Krytykę tę przyjmuję w pokorze. Są to nieuniknione, ale przecież osobiste koszty mych własnych decyzji. Gdyby jednak moje obawy się spełniły, a mam silną wewnętrzną pewność, że tak — koszty poniosłoby społeczeństwo. Dziś — mimo ciążącego na mnie wyroku śmierci — śpię spokojnie. I to nie dlatego, że mam jakąś szczególną osobistą ochronę, ale dlatego, że na moim sumieniu nie ciąży żadne ludzkie życie.

*K.: — Z tego co Pan powiedział wynika, że o pańskiej decyzji przesądziły motywy oparte na wyborze mniejszego zła. Podobne motywacje przytoczył Jaruzelski, wprowadzając stan wojenny. Czy nie widział Pan jakichś innych możliwości działań, które nie byłyby wyborem między złem mniejszym, to jest stanem wojennym i większym, jaki miała być sowiecka inwazja?*

R.J.K.: — Od początku kryzysu aż do końca października roku 1981, to jest do momentu kiedy decyzyja o użyciu siły przeciwko „Solidarności” stała się nieodwołalna, nie tylko taką możliwością widziałem, ale wydaje mi się, że czyniłem wszystko co było możliwe, a w wielu przypadkach podejmowałem nawet desperackie próby, aby uniknąć zarówno inwazji, jak i stanu wojennego.

Proszę sobie przypomnieć rok 1980 i 1981. Czy Pan lub ktokolwiek w Europie i świecie, a zwłaszcza w Polsce usłyszał kiedykolwiek od najwyższych czynników partyjnych i państwowych PRL choćby jedno słowo o zagrożeniu Polski inwazją przez jej najbliższych sąsiadów mimo, że naprawdę byliśmy od tego o krok i to na samym początku kryzysu?

Czy ktokolwiek słyszał, że Stanisław Kania czy generał Jaruzelski znaleźli w sobie tyle odwagi i siły, aby przeciwstawić się szantażowi Związku Radzieckiego tak, jak w roku 1956 uczynili to Gomułka i Ochab? Niestety nie! Oni jedynie podzielali

radzieckie oceny o istnieniu kontrrewolucji w Polsce, dostarczając w ten sposób usprawiedliwienia dla ewentualnej akcji militarnej ZSRR i Układu Warszawskiego.

Głosy przeciwko radzieckiej inwazji Polski oraz w obronie jej prawa do samodzielnego rozwiązywania swych własnych problemów dochodziły nas tylko z Ameryki i Europy Zachodniej. Fakt, że do lata roku 1981 udało się nie tylko uniknąć najgorszego zła ale nawet doprowadzić do IX Nadzwyczajnego Zjazdu Partii w dużej, jeśli nie decydującej mierze, zawdzięczać trzeba stanowczej postawie rządów, szerokiej opinii publicznej, a nawet partii komunistycznych świata zachodniego.

Byłoby nie na miejscu z mojej strony przypisywanie sobie jakiegś znaczącej roli w alarmowaniu rządu Stanów Zjednoczonych w tym okresie. W każdym razie coś w tym kierunku usiłowałem czynić.

Nie mam również żadnych wyrzutów sumienia, że zlekceważyłem jakąkolwiek szansę obrony „Solidarności” przed uderzeniem jej rodzimych przeciwników. Ci, którzy słuchali uważnie mogli wychwycić dość wyraźne sygnały o zbliżającym się uderzeniu. Władze miały także świadomość, że ktoś z ich własnego środowiska wysyła sygnały alarmowe. Podam tylko jeden przykład. Otóż 13 września 1981 roku, tuż przed tzw. walką o dostęp „Solidarności” do środków masowego przekazu, na nadzwyczajnym posiedzeniu Komitetu Obrony Kraju poświęconym sprawom wprowadzenia stanu wojennego generał Kiszczak ujawnił, że znaczna liczba działaczy „Solidarności” zna w szczególności plany wprowadzenia stanu wojennego, w tym także plan internowania, łącznie z listą osób przewidzianych do internowania oraz kryptonimem tej operacji.

W tamtym czasie ostrzeżenia miały jeszcze jakiś sens. Później, po zapadnięciu ostatecznego wyroku na „Solidarność”, mogły się tylko przeciwko niej obrócić.

*K.: — Do niedawna Pana nazwisko nic nie mówiło ludziom spoza grona Pana znajomych i rodziny. Dziś poza samym nazwiskiem jest Pan także postacią nieznaną szerszemu ogółowi. Czy mógłby Pan powiedzieć coś o sobie? Z jakiego środowiska Pan pochodzi? Co Pana skłoniło do służby zawodowej w Wojsku Ludowym i jaki był przebieg tej służby?*

R.J.K.: — Urodziłem się w roku 1930 w Warszawie przy ulicy Dzielnej 6 i większą część mego życia spędziłem w tym właśnie mieście: lata dzieciństwa w domu przy ulicy Tłomackie 13, a później przy ulicy Długiej 32/34. Ostatnio zamieszkiwałem na Starówce, przy ulicy Rajców 11. Nauki zacząłem pobierać w szkole nr 22 przy ulicy Elektoralnej 7, a później przy ulicy

Miodowej oraz w szkole przyzakonnej przy ulicy Freta. Pochodzę z rodziny, której głównym źródłem utrzymania była praca i najczęściej była to praca fizyczna. Na początku lat trzydziestych ojciec mój był prostym robotnikiem w fabryce pilników w Pruszkowie, a następnie w Ursusie. Był członkiem Polskiej Partii Socjalistycznej. Dom rodzinny — podobnie jak wielu moim rówieśnikom — zniszczyła mi bardzo wcześnie wojna i okupacja. W roku 1943 ojciec mój był aresztowany przez Gestapo i torturowany w naszym domu przy ulicy Tłomackie 13 oraz w Alejach Szucha. Był więźniem Pawiaka. Zginął tuż przed wyzwoleniem w obozie koncentracyjnym Oranienburg-Sachsenhausen.

Po wojnie przenieśliśmy się do Wrocławia, gdzie w wieku lat 15 podjąłem pierwszą pracę zawodową w Urzędzie tego miasta i jednocześnie uczyłem się w gimnazjum wieczorowym dla dorosłych.

Do ludowego WP wstąpiłem w roku 1947. Wierzyłem wtedy, że pomimo wszystko jest to wojsko polskie.

Szkołę oficerską ukończyłem w roku 1950. Pierwsze 10 lat służby spędziłem na przemian w jednostkach liniowych oraz na różnego rodzaju kursach wyższego stopnia.

W roku 1963 ukończyłem studia w Akademii Sztabu Generalnego WP i przeszedłem do służby w Sztabie Generalnym. W tej instytucji zajmowałem się początkowo planowaniem szkolenia operacyjnego oraz opracowywaniem wielkich ćwiczeń wojskowych, które prowadzi minister Obrony Narodowej lub szef Sztabu Generalnego WP.

W roku 1976, po ukończeniu (wspólnie zresztą z obecnym ministrem Spraw Wewnętrznych generałem Kiszczakiem) kursu operacyjno-strategicznego Akademii Sił Zbrojnych ZSRR w Moskwie objąłem w Zarządzie Operacyjnym Sztabu Generalnego stanowisko Szefa Oddziału I Planowania Strategiczno-Obronno-go. Stanowisko to, które w ostatnich latach połączone było z funkcją zastępcy szefa Zarządu Operacyjnego Sztabu Generalnego WP, sprawowałem do ostatniej chwili tj. do 7 listopada 1981 roku.

K.: — *Czy mógłby Pan rozwinąć na czym polegały Pańskie obowiązki jako szefa oddziału Planowania Strategiczno-Obronno-go? Czy może były one związane z jakimiś funkcjami wewnętrznymi Wojska Polskiego, za które był Pan odpowiedzialny?*

R.J.K.: — Moje obowiązki służbowe nie miały nic wspólnego z jakimikolwiek funkcjami wewnętrznymi armii. Wręcz przeciwnie, były one jednoznacznie ukierunkowane na przygotowywanie kraju i sił zbrojnych do obrony i zewnątrz.

Zakres tych obowiązków był tak bardzo rozciągliwy, że łatwiej

byłoby wyliczyć co do nich nie należało, ale nie o to Pan przecież pytał. Ogólnie mogę powiedzieć, iż odpowiadałem za centralne, kompleksowe planowanie rozwoju sił zbrojnych i obronności państwa, co potocznie można nazwać planowaniem zbrojeń PRL.

Inną ważną dziedziną było prowadzenie właściwie wszystkich spraw związanych z udziałem Polski w Układzie Warszawskim. Z tego tytułu — niejako z urzędu — uczestniczyłem we wszystkich posiedzeniach Komitetu Ministrów Obrony państw Układu Warszawskiego oraz w większości posiedzeń Rady Wojskowej ZSZ państw Układu Warszawskiego.

W ostatnim okresie czasu wciągnięty zostałem także do tzw. planowania operacyjnego, to jest do planowania działań zbrojnych WP na wypadek wojny pomiędzy NATO i Układem Warszawskim.

K.: — *Niektóre źródła przekazały, że w pewnym okresie pełnił Pan również stanowisko łącznika między sztabem Jaruzelskiego a Kulikowem, co dawało Panu szeroki wgląd w sowieckie i polskie plany użycia siły przeciwko „Solidarności”.*

R.J.K.: — Zaszło tu jakieś nieporozumienie. Być może powstało ono z tego, że kiedyś w przeszłości przez bardzo krótki okres czasu rzeczywiście pełniłem funkcję, którą można było rozumieć jako funkcję łącznika pomiędzy radzieckim Naczelnym Dowództwem, a Wojskiem Polskim. Było to jednak w zupełnie innym czasie i nieco innych okolicznościach. Otóż w sierpniu roku 1968, w czasie przygotowywania radzieckiej inwazji Czechosłowacji skierowany zostałem do pracy w Legnicy na stanowisku dowodzenia Naczelnego Dowódcy Sił Zbrojnych Układu Warszawskiego marszałka Iwana Jakubowskiego. Uczestnicząc tam z ramienia Sztabu Generalnego WP w planowaniu działań polskich sił inwazyjnych spełniałem równocześnie funkcję tzw. oficera kierunkowego do polskiej armii wydzielonej przez Śląski Okręg Wojskowy i dowodzonej przez gen. Floriana Siwickiego.

Później, w tym także w czasie kryzysu roku 1980/1981, łącznikiem — w takim znaczeniu, jak Pan to ujął w swym pytaniu — nie byłem.

Wgląd w plany użycia radzieckich i polskich sił przeciwko „Solidarności” dawała mi moja, do pewnego stopnia szczególna, pozycja służbowa w Sztabie Generalnym, która w czasie kryzysu przekształcona została w swego rodzaju jednoosobowy roboczy sekretariat kierownictwa MON do spraw przygotowań stanu wojennego.

K.: — *Z Pana życiorysu wynika, że w swojej karierze wojskowej zaszedł Pan bardzo wysoko, że działał Pan w samym centrum*

*ośrodka dyspozycyjnego i to nie tylko sił zbrojnych PRL, ale także Układu Warszawskiego. Od bardzo młodych lat był Pan wychowywany w wojskowej dyscyplinie oraz bezwzględny podporządkowaniu się rozkazom. Chcielibyśmy jednak dowiedzieć się co zdecydowało, że postanowił Pan wyłamać się z tej dyscypliny oraz zaangażować się po stronie „Solidarności”. Co Pana skłoniło, by wziąć śmiertelne ryzyko na siebie, a także na swoich najbliższych? Czy było to jakieś wydarzenie, jakiś rozkaz?*

R.J.K.: — Przede wszystkim nie mogę zgodzić się z tezą, że byłem jakimś szczególnym wyjątkiem. Ludzi którzy w różny zaangażowany sposób przeciwstawiali się panującemu systemowi było w Polsce wielu. Po każdym kryzysie ich liczba wzrastała niemal w postępie geometrycznym i wszyscy oni w mniejszym, czy większym stopniu byli narażeni na represje. Ludzi takich nie brakowało również w Siłach Zbrojnych PRL i może mi Pan wierzyć lub nie, ale w swych usiłowaniach naprawdę nie czułem się osamotniony.

Pytał Pan czy było jakieś wydarzenie, jakiś rozkaz? ... Nie ulega wątpliwości, że wydarzeniem tym był Polski Sierpień oraz rozkazy, jakie prawie od samego początku wybuchu strajków na Wybrzeżu przyszło mi wykonywać, a które uznawałem za sprzeczne z interesem kraju i narodu, któremu służyłem. O dokonaniu ostatecznego wyboru przesądziły chyba jednak moje wcześniejsze doświadczenia.

O jednym z nich, które miało miejsce w sierpniu roku 1968, a więc niemal dokładnie 12 lat przed polskim sierpniem już wspominałem, odpowiadając na Pańskie pytanie dotyczące mojej służby wojskowej. Rządowe środki masowego przekazu informowały wówczas społeczeństwo o knowaniach imperializmu w Czechosłowacji oraz próbach wydarcia tego kraju ze wspólnoty państw socjalistycznych. Były także wzmianki o odbywanych zgodnie z planem ćwiczeniach wojskowych Układu Warszawskiego, ale nie nadawano im szczególnego rozgłosu. Ćwiczenia te były już w pełnym toku, kiedy otrzymałem całkiem niewinny rozkaz, abym udał się natychmiast na rozwinięte przez Naczelnego Dowódcę ZSZ państw UW marszałka ZSRR Iwana Jakubowskiego stanowisko kierowania ćwiczeniami w Legnicy, gdzie miałem uczestniczyć w planowaniu ćwiczebnych operacji jednostek Wojska Polskiego.

Kiedy meldowałem się w sztabie marszałka Jakubowskiego zastałem tam już przedstawicieli wszystkich armii Układu Warszawskiego z wyjątkiem Czechów i Rumunów. Atmosfera była raczej spokojna. Nikt nie wymawiał słowa inwazja, zbrojna interwencja czy też agresja. Takie terminy były właściwe dla charakteryzowania działań zachodniego imperializmu. My zajmowaliśmy

my się tylko ćwiczeniami. W „ćwiczeniach” tych było jednak coś niezwykłego, czego nigdy w przeszłości nie spotkałem. Otóż te fazy ćwiczeń, które myśmy planowali, a którym nadano kryptonim „Dunaj” miały być prowadzone na terenie Czechosłowacji, ale bez udziału strony czechosłowackiej. Również ćwiczebne działania miały być wprawdzie prowadzone w obronie socjalistycznej Czechosłowacji, ale tym razem nie przeciwko żadnym agresywnym siłom NATO do czego powołany był rzekomo Układ Warszawski — lecz o dziwo — przeciwko Czechosłowackiej Armii Ludowej, która przecież wchodziła w skład Sił Zbrojnych Układu Warszawskiego, a którą od tej pory zaczęto oznaczać na mapach sztabowych kolorem niebieskim, to jest kolorem zastrzeżonym wyłącznie dla przeciwnika. Jednym słowem nie było większych wątpliwości o co chodzi, tylko nie wolno było tego nazywać po imieniu.

Kiedy plany błyskawicznego osaczenia garnizonów Czechosłowackiej Armii Ludowej i ich zneutralizowania w drodze perswazji były już gotowe, a wojska inwazyjne czekały tylko na sygnał do przekroczenia granic naszego południowego sąsiada, podjąłem próbę zorientowania się co na ten temat mówi świat. Uważałem, że koncentracja tak dużych sił wojskowych wokół granic Czechosłowacji nie mogła ująć uwadze opinii światowej. Uważałem, że rozpoznanie zamiarów radzieckich było tym łatwiejsze, że w końcowej fazie przygotowań do inwazji, na rozkaz marszałka Jakubowskiego rozpoczęto tak zwane ćwiczenia EFIR, które polegały na uruchomieniu pracy dużej liczby środków radiowych, aby wykazać stronie czechosłowackiej koncentrację dużych sił Układu Warszawskiego, wobec których wszelki opór jest bezcelowy. Ta demonstracja siły w eterze nie mogła ująć uwadze Zachodu. Będąc o tym przekonany, zacząłem słuchać zachodnich dzienników, tak tylko aby potwierdzić sobie przyjęte z góry założenia, że świat wie o zbliżającej się inwazji, że świat stanowczo się temu przeciwstawia i protestuje, że wreszcie może uda się uniknąć najgorszego.

Byłem głęboko zawiedziony i bezradny zarazem. Ten świat, na który tak bardzo liczyłem zajęty był wojną w Wietnamie oraz przetaczającymi się w tym czasie przez całą niemal Europę, a także Stany Zjednoczone masowymi protestami przeciwko tej wojnie. Były także wzmianki o Czechosłowacji ale raczej sielankowe. Przeciwko potencjalnej inwazji Czechosłowacji nikt nie protestował. Na ten temat zarówno wschodnie, jak i zachodnie środki masowego przekazu zachowywały całkowite milczenie.

Nie chcąc uczestniczyć w najeździe Czechosłowacji, zadzwoniłem do Warszawy i pod jakimś pretekstem poprosiłem przełożonego o odwołanie mnie z Legnicy. Życzenie zostało spełnione natychmiast. Moje stanowisko objął płk Stanisław Radaj. Ja

wróciłem do Warszawy z niewielką nadzieją, że może uda mi się zaalarmować świat. Niestety w mojej sytuacji nie było to ani proste ani łatwe.

W niecały tydzień później, 20 sierpnia 1968 roku w nocy radzieccy spadochroniarze lądowali już na lotnisku w Pradze, a jednostki Wojska Polskiego pod dowództwem ówczesnego szefa sztabu Śląskiego Okręgu Wojskowego gen. dyw. Floriana Siwickiego razem z innymi armiami Układu Warszawskiego przekraczały granicę Czechosłowacji.

Od uczestnictwa w inwazji nie udało mi się uciec. W momencie jej rozpoczęcia powołany zostałem do utworzonego w Sztapie Generalnym WP w Warszawie specjalnego Centrum Dowodzenia Armią Polską w Czechosłowacji. Później tego nie żałowałem. Utrzymując bezpośrednią łączność z operującymi wojskami, słuchając na gorąco meldunków ich dowódców, przygotowując specjalne raporty na ten temat dla ówczesnego ministra Obrony Narodowej, gen. Wojciecha Jaruzelskiego oraz Władysława Gomułki, miałem jedyną w swoim rodzaju szansę zgłębienia tego rozdziału naszej powojennej historii.

Po zakończeniu inwazji, w Siłach Zbrojnych PRL podjęto próby jej podsumowania oraz wyciągnięcia wniosków na przyszłość.

W nurcie oficjalnym — z inicjatywy ministra Obrony Narodowej, gen. Wojciecha Jaruzelskiego oraz pod jego auspicjami — w Sztapie Generalnym WP odbyło się sympozjum naukowe poświęcone operacji „Dunaj”. Była to wielka galówka z udziałem niemal całego kierownictwa MON, dowództw rodzajów Sił Zbrojnych i Okręgów Wojskowych, polskich uczestników inwazji no i oczywiście jej głównych autorów — przedstawiciele radzieckiego Naczelnego Dowództwa. Uczestnicy sympozjum prześcigali się w wychwalaniu działań jednostek polskich. Nie osaczyły one wprawdzie garnizonów czeskich tak szybko, jak uczyniły to najlepsze w świecie jednostki radzieckie, ale skompensowały to później wyjątkowo skuteczną perswazją czechosłowackim dowódcom, aby poparli zmiany na najwyższym szczeblu swej partii i państwa. Za wyjątkowe osiągnięcie uznany został fakt, iż pomimo wrogiej postawy ludności czeskiej, która przed czołgami i pojazdami pancernymi tworzyła żywe barykady, w zasadzie udało się uniknąć większych strat ludzkich i materialnych, że pod polskim czołgiem zginęło tylko jedno dziecko i to tylko przez przypadek. W sumie operację „Dunaj” sympozjum uznało za wielki wojskowy i polityczny sukces wspólnoty państw socjalistycznych do czego znaczący wkład wniosło ludowe Wojsko Polskie.

W nurcie nieoficjalnym, a więc w toczących się przez długi okres czasu w Siłach Zbrojnych PRL dyskusjach pódśłużbowych, koleżeńskich i środowiskowych, oceny operacji „Dunaj” były

mniej entuzjastyczne, a wnioski diametralnie różne. Udział jednostek Wojska Polskiego w inwazji Czechosłowacji uznano niemal powszechnie za niewybaczalny błąd ówczesnego politycznego i wojskowego kierownictwa PRL, za co trzeba będzie płacić wysoką cenę gdy Polacy upomną się o swe niezbywalne prawo do życia w godności, do przemian demokratyczno-społecznych, których ZSRR nie zechce zaakceptować.

Moje oceny i poglądy tkwiły mocno w tym właśnie nurcie i tak to się chyba zaczęło.

Na dalsze nauki społeczno-polityczne i obywatelskie nie musiałem długo czekać. Dostarczył mi je grudzień roku 1970 i jego tragiczne zniwo. Kiedy rzekoma kontrrewolucja na Wybrzeżu była już w agonii, na cmentarzach grzebano zwłoki 44 „burzycieli porządku ludowego państwa”. Było wśród nich 30 robotników i 7 nieletnich uczniów szkół zawodowych. W szpitalach znalazło się 1.164 rannych, w tym znaczna liczba młodzieży.

Wymowa tych cyfr była i nadal jest przerażająca, ale dla mnie osobiście najbardziej przerażającą była łatwość z jaką władza, która sama mieniła się ludową sięgnęła po siły zbrojne aby je w sposób sprzeczny z ich powołaniem skierować przeciwko własnemu społeczeństwu, że ktoś wydał rozkaz „zablokować”, „nie dopuścić”, „strzelać” i nie było nikogo — począwszy od ministra Obrony Narodowej, a skończywszy na dowódcy najniższego szczebla — kto by powiedział: ja tego rozkazu wykonać nie mogę.

Myśli te nigdy nie dawały mi spokoju. Kiedy po dziesięciu latach, w roku 1980, historia zaczęła się powtarzać, kiedy tym razem na rozkaz Moskwy zaczęto sięgać po siły zbrojne, aby je użyć przeciwko własnym robotnikom, inteligencji, młodzieży — po prostu powiedziałem NIE. Uważałem, że jest to typowa sytuacja kiedy żołnierz nie tylko nie musi, ale nie może wykonać sprzecznych z jego sumieniem i przekonaniem rozkazów. Więcej. Uważałem, że w przygotowanej konfrontacji naród nie ma żadnych szans i dlatego trzeba uczynić coś ponadto aby temu przeciwdziałać.

K.: — Wspomniał Pan, że w grudniu 1970 roku „nie było nikogo, począwszy od ministra Obrony Narodowej” kto by odmówił wykonania rozkazu strzelania do robotników. W przeszłości, a nawet dziś rozpowszechniano pogłoski jakoby w grudniu roku 1970 generał Jaruzelski przebywał w areszcie domowym i nie tylko nie miał nic wspólnego z masakrą na Wybrzeżu, ale próbował się temu przeciwstawić. Czy mógłby Pan bliżej naświetlić jego rolę w tym okresie?

R.J.K.: — Niestety pogłoski te nie odpowiadają prawdzie histo-



rycznej. Generał Jaruzelski nie kierował akcjami wojskowymi na Wybrzeżu, ale nie dlatego, że był w areszcie domowym, lecz z tego prostego powodu, że dowodził w tym czasie całością sił zbrojnych ze swego gabinetu przy ulicy Klonowej. Naczelny wódz nie może dowodzić pułkami, czy nawet dywizjami. Od tego są ogniwa pośrednie.

Wybrzeże było największym ogniskiem protestów społecznych, ale działało tam tylko kilka dywizji liczących razem około 25 tysięcy żołnierzy (13 tysięcy w Trójmieście i 12 tysięcy w Szczecinie). Pozostałe dywizje zostały przegrupowane w rejon: Krakowa, Poznania, Wrocławia i Warszawy, bądź w pełnej gotowości pozostawały w odwodzie centralnym. Wojsko zaangażowano bezpośrednio w ponad 100 akcjach do czego użyto ponad 61 tysięcy żołnierzy, 1.700 czołgów, 1.750 transporterów, lotnictwo transportowe, znaczną liczbę śmigłowców, a nawet kilkadziesiąt okrętów wojennych.

Tym wszystkim zajmował się właśnie generał Jaruzelski. Ogólnie wiadomo, że podstawą do użycia broni na wybrzeżu była decyzja Gomułki i jego najbliższych współpracowników, jaką podjęli oni podobno z rana 15 grudnia 1970 roku, ale wojska rozkaz w tej sprawie otrzymały nie od Gomułki i jego współpracowników lecz od swego ministra Obrony Narodowej, gen. Wojciecha Jaruzelskiego. Jedynym ograniczeniem, jakie nałożył on wówczas na będących w akcjach dowódców były instrukcje, że broń może być użyta „po strzałach ostrzegawczych w powietrze, po powtórnym ostrzeżeniu i strzałach ostrzegawczych oddanych w ziemię, dopiero w ostateczności kierowanie ognia w szczególności agresywnych napastników, celując w nogi”.

Skutki tych uregulowań były fatalne, bowiem najwięcej ofiar było właśnie od kul, które odbijając się o bruk godziły w maszerujący tłum.

K.: — *Przejdźmy teraz do zasadniczego tematu naszej rozmowy. Stany Zjednoczone uprzedzone były o sowieckich przygotowaniach do inwazji w grudniu 1980 roku i w marcu 1981. Rząd amerykański w obu wypadkach nadał temu międzynarodowy rozgłos. Czy te ostrzeżenia pochodziły od Pana?*

R.J.K.: — Wydaje mi się, że oceny działań militarnych tego typu, jakimi były przygotowania do inwazji Polski w roku 1980 i na wiosnę roku następnego nie mogły być formułowane wyłącznie na podstawie uprzedzeń jednego człowieka. Tym niemniej mam prawo przypuszczać, że jakaś część mojego wołania o powstrzymanie zapędów Moskwy dotarła do Waszyngtonu i została tam właściwie doceniona.

K.: — *Zanim zaczniemy omawiać szczegóły związane z przygo-*

*towaniami do użycia siły przeciwko „Solidarności” chciałbym znać pańską ocenę ogólną, jako oficera Sztabu Generalnego WP, który zajmował się tymi sprawami: czy Pana zdaniem „Solidarność” była skazana na śmierć z chwilą swego poczęcia czy też uważa Pan, że istniała jakaś szansa by ten związek mógł się utrzymać?*

R.J.K.: — Gdyby po odejściu Gierka wyłoniło się jakieś silne przywództwo partyjno-polityczne, zdolne do autentycznie samodzielnego kierowania losem kraju, to wydaje mi się, więcej — jestem absolutnie przekonany, że „Solidarność” by przetrwała.

Jak powszechnie wiadomo, od początku kryzysu Związek Radziecki zajął publicznie stanowisko, że to co się dzieje w Polsce jest kontrrewolucją. Z kontrrewolucją się nie rozmawia. Kontrrewolucję miażdży się siłą.

Ale Chruszczow, Mołotow, Mikojan i marszałek Koniew powiedzieli to samo Gomułce i Ochabowi w październiku roku 1956. Ci dwaj, to jest Gomułka i Ochab znaleźli jednak w sobie tyle odwagi i siły, aby radzieckiemu kierownictwu powiedzieć, że to co się dzieje w Polsce jest wyłączną sprawą komunistów polskich i że pod groźbą użycia siły nie będą rozmawiali. Społeczeństwo to zrozumiało i po raz pierwszy po wojnie stanęło murem za nowym przywództwem partii i jego bardzo mglistym w końcu przyrzeczeniem polskiej drogi do socjalizmu.

W Październiku roku 1956 w obliczu radzieckich gróźb i ataków na nowe kierownictwo PZPR fala rewolucyjna zatrzymała się i doszło do jakiegoś niepisanego kompromisu społecznego, który później Gomułka zdradził. Ale to już inna rzecz.

Historia nigdy się nie powtarza, ale mechanizmy jej napędzania są zwykle te same.

Gdyby duet kierowniczy Kania - Jaruzelski od początku powiedział Rosjanom „NIE”, wtedy pod naciskiem jawnych ataków i gróźb Moskwy, „Solidarność” musiałaby zmienić front walki i stanąć w pierwszym rzędzie w obronie suwerenności i integralności kraju. Jestem pewien, że byłaby bardziej skłonna do kompromisu, a Związek Radziecki cofnąłby się, gdyby kierownictwo partyjno-wojskowe i ludność utworzyły wspólny front.

Nawet Stalin nie zaatakował zbrojnie Jugosławii. To samo dotyczyło Albanii, a w ostatnich latach Rumunii, gdy Ceausescu wypowiedział Moskwie posłuszeństwo i odrzucił możliwość podporządkowania Związkowi Radzieckiemu swych sił zbrojnych.

Obserwując radzieckie posunięcia militarne z bliska, a nawet stykając się z nimi bezpośrednio, nigdy nie miałem żadnych wątpliwości, że Związek Radziecki mógł sobie pozwolić i był gotów do akcji militarnej w stylu inwazji Czechosłowacji (w za-

sadzie bez strat ludzkich i materialnych) natomiast z całą pewnością Moskwa nie chciała lub nie mogła sobie pozwolić na wojnę z Polską gdzie po przeciwnej stronie stałoby dowództwo, armia i ludność. Nawet gdyby to miała być wojna bardzo krótka Związek Radziecki musiałby za nią zapłacić zbyt wiele.

Pomijając koszty moralne i polityczne, jakie Moskwa musiałaby ponieść w sferze stosunków międzynarodowych, wydaje mi się, że miała ona poważne powody do oceny iż w Polsce nie poszłoby tak łatwo. Tylko dla zmiążdżenia ewentualnego oporu ludowego Wojska Polskiego Rosjanie musieliby zaangażować większość swych sił zbrojnych z europejskiej części Związku Radzieckiego, a nawet rzucić do akcji część wojsk z Czechosłowacji i NRD.

Rosjanie wiedzieli dobrze, że opluwanie czołgów, z czym spotkali się w zaskoczonych inwazją Czechosłowacji, nie jest w stylu i charakterze Polaków. Zdawali sobie także sprawę z tego, iż społeczeństwo polskie było bogatsze o doświadczenia czeskie oraz własne z roku 1956 i 1970 i ludność nie tylko nie lękała się czołgów, ale nauczyła się je skutecznie palić i niszczyć w przypadkach gdy były one przeciwko niej kierowane. Orientowali się także, jak od początku kryzysu Polacy reagują na pojawianie się w różnych częściach kraju nowych, choćby niewielkich pododdziałów czy instalacji radzieckich i chyba słusznie oceniali, że nie jest to tylko zabawa w tropy. W tym czasie, jeden z pomocników stałego Przedstawiciela Naczelnego Dowódcy Zjednoczonych Sił Zbrojnych przy WP, z którym utrzymywałem robocze kontakty żalił się do mnie, że Polacy już oficjalnie mówią, że „czołgi radzieckie palą się lepiej od polskich”.

Tak więc gdyby ZSRR napotkał na otwarty opór kierownictwa PRL wsparty przez społeczeństwo oraz choćby symboliczne gesty obronne (na przykład: rozwinięcie wojsk wokół stolicy kraju), doszłoby zapewne do wojny nerwów, ale jeśliby strona polska tę wojnę nerwów wytrzymała, Moskwa prawdopodobnie musiałaby się w końcu cofnąć.

Zupełnie inna sytuacja powstała z chwilą gdy w wewnętrznym konflikcie Polaków, partyjno-wojskowe kierownictwo PRL, to jest Kania i Jaruzelski, stanęli po stronie ZSRR, zgodzili się w zasadzie z Rosjanami, że mają do czynienia z kontrrewolucją i obiecywali im, że rozprawią się z „Solidarnością” środkami polityczno-administracyjnymi we własnym zakresie, prosząc jedynie aby im dać czas.

Wobec takiego stanowiska przywódców PRL Moskwa nie miała do czynienia ze zorganizowaną siłą suwerennego państwa gotową do stawiania oporu, ale wyłącznie z bezbronny społecznością.

K.: — *Dlaczego wobec tego ZSRR dwukrotnie, pierwszy raz w grudniu 1980 roku i na wiosnę roku 1981 był gotowy i bliski wkroczenia do Polski? Czy było to potrzebne, skoro niemal od początku miał on zapewnienia i zobowiązania kierownictwa PRL, że rozprawi się ono z „Solidarnością” we własnym zakresie środkami politycznymi i administracyjnymi?*

R.J.K.: — Rosjanie chcieli pchnąć do Polski Armię Czerwoną, ponieważ — jak dobrze pamiętamy — podejmowane przez partię i Rząd PRL środki polityczne, polegające na sabotowaniu zawartych na początku września roku 1980 umów społecznych, czy wręcz wycofywaniu się z nich, podsycaly jedynie wrzenie społeczne oraz doprowadzały do eskalacji żądań, przed którymi z kolei władza krajowa, chcąc nie chcąc, aby tylko przetrwać — musiała ustępować.

Była to polityka samobójcza, bo antagonizowała równocześnie szerokie masy w Polsce oraz kierownictwo radzieckie. Moskwa podejrzewała, że Kania i Jaruzelski grają na zwłokę, że prowadzą jakąś podwójną grę.

K.: — *Proponuję abyśmy teraz spróbowali odtworzyć przebieg wydarzeń w porządku chronologicznym. Co wystąpiło jako pierwsze: groźba inwazji czy stan wojenny?*

R.J.K.: — Niestety stan wojenny.

K.: — *Kiedy po raz pierwszy wyłynął ten pomysł i kto go wysunął?*

R.J.K.: — Z pisemnej informacji dla kierownictwa radzieckiego, którą na polecenie i według wytycznych gen. Jaruzelskiego przygotowywałem osobiście przy współpracy MSW wynika, że idea wprowadzenia w Polsce stanu wojennego zrodziła się już w szczytowym okresie sierpniowych strajków okupacyjnych roku 1980, to jest prawie 16 miesięcy przed jej wprowadzeniem w życie przez generała Jaruzelskiego.

Jej kolektywnym autorem był wyłoniony 24 sierpnia 1980 roku (tuż po zakończeniu IV Plenum KC PZPR, które jak wiadomo wypowiedziało się za rokowaniami ze strajkującymi robotnikami) tzw. partyjno-rządowy Sztab Kierowniczy pod przewodnictwem, wówczas nowopowołanego, premiera Rządu PRL Józefa Pinkowskiego. W skład tego sztabu weszli sekretarze KC PZPR Kazimierz Barcikowski i Stefan Olszowski, wicepremier Mieczysław Jagielski i prawdopodobnie Tadeusz Grabski, oraz z całą pewnością ministrowie kluczowych resortów: Obrony Narodowej Wojciech Jaruzelski i Spraw Wewnętrznych Mirosław Milewski.

Otóż w celu wymanewrowania zbuntowanego społeczeństwa, Sztab Kierowniczy zgodził się taktycznie na podpisanie mało precyzyjnej umowy społecznej, aby po wygaszeniu pożaru strajkowego, który ogarnął niemal całą Polskę, w korzystniejszych warunkach przejść do kontrofensywy środkami administracyjnymi, z wprowadzeniem stanu wojennego — jako środkiem ostatecznym — włącznie.

Ponieważ już pierwsze — podjęte we wrześniu roku 1980 — próby wymanewrowania społeczeństwa z użyciem różnych środków administracyjnych przynosiły wręcz odwrotny skutek, Sztab Kierowniczy podjął ogólną decyzję o rozpoczęciu przygotowań do wprowadzenia stanu wojennego.

W wojsku polskim *przygotowania te rozpoczęły się 22 października 1980 roku, to jest na dwa dni przed rozprawą rejestracyjną „Solidarności” w Sądzie Wojewódzkim w Warszawie.*

W dniu tym — na polecenie ówczesnego ministra Obrony Narodowej generała armii Wojciecha Jaruzelskiego — Sztab Generalny WP rozpoczął w trybie pilnym opracowywanie planu wprowadzenia na terytorium PRL stanu wojennego.

Ogólne kierownictwo nad planowaniem od początku do końca sprawował Szef Sztabu Generalnego WP generał broni Florian Siwicki. We wstępnej fazie planowania w Sztabie Generalnym WP uczestniczyli wyłącznie zastępcy Szefa Sztabu, to jest:

- generał dyw. Tadeusz Hupałowski,
  - generał dyw. Jerzy Skalski,
  - generał dyw. Antoni Jasiński,
  - generał bryg. Mieczysław Dachowski oraz
- ja sam, pułkownik Ryszard Kukliński.

Później do tego zespołu włączeni zostali dodatkowo — z Zarządu Operacyjnego Sztabu Generalnego WP:

- generał bryg. Waław Szklarski,
  - pułkownik dypl. Czesław Witt,
  - pułkownik dypl. Franciszek Puchała oraz
- z Zarządu X Sztabu Generalnego WP:

- pułkownik Stefan Marciniak.

Ze sztabem generalnym WP współpracowały:

- Sekretariat KOK, który przygotowywał wszystkie akty prawne stanu wojennego;
- Ministerstwo Spraw Wewnętrznych z wiadomymi zadaniami oraz
- Wydział Propagandy KC PZPR wspólnie z Głównym Zarządem Politycznym WP.

Wstępna (właściwie studyjna) wersja planów, łącznie z projektami niektórych aktów prawnych stanu wojennego gotowa

była już w listopadzie 1980 roku i jeszcze w tym samym miesiącu została przedstawiona do rozpatrzenia przez Komitet Obrony Kraju, któremu przewodniczył ówczesny premier Pinkowski.

Prezentacja planów miała charakter ogólny bez wdawania się w szczegóły, gdyż w ocenie kierownictwa wojskowego część członków Komitetu Obrony Kraju należała do grupy tak zwanych „Smoncesow” czyli ludzi niepewnych, zdradzających pewne skłonności do przemodelowania systemu politycznego PRL, którzy w tym organie władzy zasiadali tylko czasowo. Tym niemniej przedstawiona na listopadowym posiedzeniu KOK przez MON i MSW koncepcja stanu wojennego, w swych celach i generalnych założeniach niewiele odstawała od tej, którą zrealizowano w grudniu roku następnego.

Ministerstwo Obrony Narodowej postulowało:

Zawieszenie praw obywatelskich, ustanowienie nadzwyczajnych uprawnień władzy i administracji państwowej oraz wydanie specjalnego dekretu o stosunkach pracy. Wojsko zażądało również zastosowania postanowień o powszechnym obowiązku obrony umożliwiających:

- przeprowadzenie częściowej mobilizacji, która mogłaby sięgać powołania około 250 tys. rezerwistów,
- zamianę z mocy prawa zasadniczej służby wojskowej, przeszkolenia studentów i absolwentów szkół wyższych na czynną służbę wojskową,
- przeprowadzenie szerokiej militaryzacji jednostek gospodarki narodowej oraz
- powołanie do jednego miliona osób do służby w Obronie Cywilnej.

Po doświadczeniach grudnia 1970 roku Sztab Generalny WP chciał ograniczyć funkcje wojska w okresie stanu wojennego do terroryzowania społeczeństwa w dużych aglomeracjach miejsko-przemysłowych, co dyplomatycznie nazywano „utrzymywaniem ładu i porządku wewnętrznego w miastach”. Nie widział natomiast dla wojska żadnych zadań w bezpośredniej konfrontacji ze strajkującymi robotnikami. Sztab Generalny WP stał na stanowisku, że funkcja ta powinna przypaść siłom Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. W celu odciążenia tych sił oraz udzielenia im pomocy, wojsko zadeklarowało przyjęcie w ochronę obiektów specjalnych oraz przekazania MSW ciężkiego uzbrojenia i sprzętu (broni, amunicji, transporterów opancerzonych, śmigłowców itp.).

Minister Spraw Wewnętrznych, Mirosław Milewski, nie bał się w owijanie zamiarów jego resortu w gładką terminologię typu ograniczenie praw obywatelskich, stwierdzając bardzo konkretnie, że konieczne jest:

- zdelegalizowanie działalności NSZZ „Solidarność”,
- przeprowadzenie szerokiej akcji internowania działaczy opozycji i „Solidarności”,
- wydanie zakazu swobodnego poruszania się obywateli oraz ustanowienie godziny policyjnej,
- zawieszenie takich praw obywatelskich, jak nietykalność osobista, nienaruszalność mieszkań i tajemnicy korespondencji, prawa zrzeszania się, wolności słowa, druków, zgromadzeń, wieców, pochodów i manifestacji,
- ustanowienie sądów specjalnych do karania winnych naruszenia praw stanu wojennego.

Przy rozważaniu metod działania minister Milewski chciał liczyć na większe niż to przewidywał Sztab Generalny WP zaangażowanie wojska w ewentualnych bezpośrednich starciach ze społeczeństwem.

W sumie pierwsza wizja, czy też przymiarka do wprowadzenia stanu wojennego — od strony postulatów i życzeń, co należałoby zawiesić, zakazać, nakazać, zmilitaryzować, zdelegalizować, gdzie postać wojsko, a gdzie siły bezpieczeństwa, kogo ochraniać, a kogo internować — nie była daleka od koncepcji finalnej, która została zrealizowana w 13 miesięcy później.

Od strony możliwości realizacji postulowanych zamierzeń stanu wojennego przymiarka ta wypadła jak najgorzej. Z tego co wiem o tym posiedzeniu w listopadzie roku 1980 nikt z członków Komitetu Obrony Kraju, na czele z Mirosławem Milewskim nie widział możliwości wprowadzenia tych koncepcji w życie.

Oceniając słusznie, że wprowadzenie stanu wojennego w ówczesnej sytuacji Kraju mogłoby być początkiem prawdziwego końca władzy i musiałoby się skończyć interwencją zbrojną Związku Radzieckiego, Komitet Obrony Kraju przyjął jedynie do wiadomości przedstawione przez MON i MSW koncepcje oraz polecił kontynuowanie przygotowań w tym kierunku. Na wniosek MON, Komitet Obrony Kraju wyraził zgodę, aby przygotowaniami do wprowadzenia stanu wojennego objąć również kluczowe resorty cywilne, głównie: Łączności, Energetyki, Komunikacji oraz Handlu Wewnętrznego i Usług.

Mówiąc o listopadowych decyzjach KOK w sprawie stanu wojennego, nie sposób pominąć pozytywnej roli, jaką odgrywał w owych dniach i później jeszcze ówczesny I Sekretarz KC PZPR Stanisław Kania. Formalnie rzecz biorąc, Stanisław Kania nie był członkiem KOK, ale nie muszę chyba wyjaśniać, że jego opinie miały dla tego organu, zwłaszcza dla premiera rządu, który był przewodniczącym KOK-u moc wiążącą. Otóż Stanisław Kania — mimo składanych radzieckiemu kierownictwu przyrzeczeń użycia siły dla obrony specyficznie przez nich pojmanego

socjalizmu — w praktyce do końca był zwolennikiem rozprawienia się z „Solidarnością” wyłącznie środkami politycznymi. Nie ulega więc wątpliwości, że ta postawa Stanisława Kania, popieranego do pewnego momentu przez generała Jaruzelskiego, ostudziła zapędy zwolenników konfrontacji i wpłynęła na podjęte w tym czasie decyzje.

*K.: — Czyli, że plany wprowadzenia stanu wojennego zostały na razie zawieszono na kołku. Czy to właśnie doprowadziło do groźby radzieckiej inwazji na początku grudnia 1980 roku?*

R.J.K.: — Mówiąc najprościej, tak. W ocenie kierownictwa radzieckiego zwłoka we wprowadzeniu stanu wojennego nie tylko umożliwiała organizacyjne umocnienie się „Solidarności”, czemu ZSRR sprzeciwiał się od samego początku, ale również otwierała drogę do formowania w PRL nowych niezależnych struktur społecznych. Jak wiadomo 13 listopada 1980 roku sędzia Kościelniak odrzucił wniosek o rejestrację Niezależnego Zrzeszenia Studentów, ale już w niecałe dwa tygodnie później, po strajku na Uniwersytecie Warszawskim minister Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki zobowiązał się zarejestrować to zrzeszenie do 20 grudnia tegoż roku. Jeszcze większe sprzeciwy Związku Radzieckiego wywoływała sprawa rejestracji „Solidarności Wiejskiej”. W końcu listopada nie była ona jeszcze zalegalizowana — ale jak pamiętamy — jej odwołanie do Sądu Najwyższego miało być przez ten sąd rozpatrzone w końcu grudnia.

Wszystko to w połączeniu z dość miękką postawą Rządu Józefa Pinkowskiego w konfrontacji z „Solidarnością” na tle praworządności (pamiętamy aferę z tzw. „Uwagami Prokuratora Generalnego PRL Czubińskiego” oraz aresztowanie, a następnie zwolnienie Jana Narożniaka i Piotra Sapełło)..., wszystko to umocniło Rosjan w podejrzeniach, że kierownictwo PZPR, przede wszystkim Kania, gra na zwłokę, a może nawet prowadzi podwójną grę.

Na tym tle w końcu listopada 1980 roku kierownictwo radzieckie przy czynnym udziale swej ambasady w Warszawie oraz Naczelnego Dowódcy ZSZ Układu Warszawskiego marszałka Wiktora Kulikowa i jego przedstawiciela przy WP — gen. armii Afanasija Szczegłowa zaczęło zakulisowo montować nową ekipę przywódczą PRL.

Przejęcie władzy przez zwolenników twardego kursu, którzy już wówczas gotowi byli rozprawić się z „Solidarnością” miało być poprzedzone wprowadzeniem do Polski dużych sił wojskowych Związku Radzieckiego oraz innych państw Układu Warszawskiego. Rozmowy w tej sprawie, jak również w sprawie ewentualnej neutralizacji Wojska Polskiego, które było uważane

za zdemoralizowane, Rosjanie prowadzili z gen. broni Wojciechem Jaruzelskim. Treść tych dramatycznych rozmów nie jest mi znana. Zrelacjonować może je jedynie gen. Jaruzelski i powinien to uczynić. Ja znam wyłącznie ich rezultaty. Tuż po zakończeniu rozmów, na osobiste polecenie doszczętnie zmaltretowanego gen. Jaruzelskiego, w dniu 1 grudnia 1980 roku, pierwszy zastępca Szefa Sztabu Generalnego WP gen. dyw. Tadeusz Hupałowski wraz z płk. dypl. Franciszkiem Puchałą udali się specjalnym samolotem do Moskwy w celu zapoznania się ze szczegółami radzieckich planów wprowadzenia do Polski wojskowych sił interwencyjnych.

Z przekazanych im jeszcze w tym samym dniu, to jest 1 grudnia 1980 roku, w Sztabie Generalnym Sił Zbrojnych ZSRR w Moskwie informacji oraz skopiowania z radzieckich map na zarejestrowane kalki techniczne gotowych planów inwazji wynikało, iż pod pozorem ćwiczeń „Sojuz 8” do Polski miały być skierowane trzy radzieckie armie w składzie piętnastu dywizji, jedna armia czechosłowacka w składzie dwóch dywizji oraz sztab jednej armii i jedna dywizja Narodowej Armii Ludowej NRD. W sumie w operacjach militarnych na terytorium PRL miało uczestniczyć osiemnaście dywizji radzieckich, czechosłowackich i niemieckich. Gotowość do przekroczenia przez siły inwazyjne granic PRL wyznaczona została na 8 grudnia 1980 roku. Zgodnie z założeniami planów siły radzieckie miały operować w centralnej i wschodniej części Polski, natomiast Czesi i Niemcy na zachodzie kraju. Działania sił inwazyjnych miały być połączone ze ścisłą blokadą morską PRL przez siły Floty Bałtyckiej Związku Radzieckiego oraz Ludowej Marynarki Wojennej NRD. W początkowej fazie interwencji jednostki Wojska Polskiego (podobnie jak to było w Czechosłowacji) miały pozostawać w miejscach stałej dyslokacji. Dopiero po dramatycznych targach gen. Jaruzelskiego Rosjanie zgodzili się aby nieliczne jednostki polskie mogły uczestniczyć w wykonywaniu drugorzędnych zadań. W ten sposób do armii czechosłowackiej miały być włączone: 5 i 11 dywizja pancerna, a do armii niemieckiej 4 i 12 dywizja zmechanizowana.

K.: — *To o czym Pan w tej chwili mówi, nawet dziś po sześciu latach wywiera przynębiające wrażenie. A jakie wrażenie te przygotowania i plany radzieckie wywarły wtedy na Polakach w sztabie Jaruzelskiego?*

R.J.K.: — Bezwzględność i nieustępliwość Rosjan, którzy w rozmowach z generałem Jaruzelskim nie chcieli w ogóle dyskutować sprawy ewentualnego wyłączenia z sił interwencyjnych Narodowej Armii Ludowej NRD, a nawet kwestionowali jakąkolwiek możliwość udziału Wojska Polskiego w akcjach militarnych obez-

władniła zupełnie ówczesne ścisłe kierownictwo MON. Generał Jaruzelski był w stanie szoku, zamknął się w swym gabinecie i był zupełnie niedostępny nawet dla najbliższego otoczenia. W niewiele lepszym stanie był generał Siwicki oraz generał Hupałowski, któremu w udziale przypadła misja przywiezienia z Moskwy planów inwazji. Otóż ten paraliż trwał przez cały dzień 30 listopada i 1 grudnia. Wszyscy czekali na jakiś cud. Cudu jednak nie było. Przywiezione z Moskwy przez generała Hupałowskiego i pułkownika Puchałę kalki techniczne z planami inwazji potwierdzały w zasadzie wszystko o czym w ogólnym zarysie wiedziano już wcześniej z tego co Rosjanie przedstawili generałowi Jaruzelskiemu.

Szczegółowa analiza radzieckich planów, jaką przeprowadzono w Sztabie Generalnym WP po przywiezieniu ich do Warszawy, doprowadziła ścisłe kierownictwo tej instytucji do wniosków, że Rosjanie absolutnie nie rozumieją sytuacji w Polsce, nie znają rzeczywistych nastrojów społeczeństwa i nie doceniają siły „Solidarności”, że inwazja — zamiast uspokojenia — może spowodować jeszcze większe wrzenie społeczne, a nie wykluczone, że nawet wybuch ogólnonarodowego powstania.

Na tym tle 12 grudnia Szef Sztabu Generalnego WP generał Florian Siwicki podjął nową próbę skłonięcia generała Jaruzelskiego do ponowienia rozmów z Rosjanami i zastopowania tego najgorszego wariantu rozwoju wydarzeń. Działając pod wpływem swych zastępców generał Siwicki sugerował przedstawienie Rosjanom różnych innych opcji, a zwłaszcza wariantu wprowadzenia w Polsce stanu wojennego bez czekania, aż wystąpią sprzyjające ku temu warunki. Generał Jaruzelski znajdował się jednak nadal w takim stanie kompletnej apatii, że nie dopuszczał nawet do dyskusji.

Nowy element w sytuacji wystąpił dopiero w dzień później, kiedy do tych spraw włączył się gen. broni Eugeniusz Molczyk. Otóż gen. Molczyk, który od 1 do 3 grudnia przebywał na posiedzeniu Komitetu Ministrów Obrony państw Układu Warszawskiego w Bukareszcie, po powrocie do kraju i zapoznaniu się w Sztabie Generalnym WP z przywiezionymi z Moskwy planami, podjął kolejną próbę skłonięcia gen. Jaruzelskiego do interwencji w Moskwie i przedstawienia im konkretnego planu bezwzględного rozgromienia „Solidarności” i opozycji wyłącznie własnymi siłami. W rozmowie z gen. Jaruzelskim miał on podobno powiedzieć, że „*Historia nigdy nam tego nie wybaczy, jeśli oni nas wyreżną*”.

Aby zrozumieć wymowę tego wezwania konieczne jest wyjaśnienie, że gen. Molczyk, który był wiceministrem Obrony Narodowej i Głównym Inspektorem Szkolenia MON, a na czas wojny przewidziany był jako dowódca Frontu polskiego, ucho-

dził za swego rodzaju lidera wojskowych twardogłowych, którzy ściśle współpracowali z Moskwą. Jego głos nie brzmiał szczerze, gdyż w swej istocie wzywał do źle skalkulowanego rozpoczęcia akcji, którą z całą pewnością musieliby zakończyć Rosjanie. Tym nie mniej głos ten potraktowany został jako sygnał pewnych wahań Moskwy, co mogło być wykorzystane do ponowienia oferty przygotowania i wykonania w niedługim czasie własnego uderzenia przeciwko „kontrewolucji”.

To prawdopodobnie przeważało, że gen. Jaruzelski wyraził ostatecznie zawołaną aprobatę dla przygotowania w trybie pilnym alternatywnego planu użycia wyłącznie własnych Sił Zbrojnych do zapewnienia „spokoju wewnętrznego”, który mogłyby być przedstawiony stronie radzieckiej w czasie zwołanego na 5 grudnia szczytu państw Układu Warszawskiego w Moskwie.

Z materiałów jakie zostały przygotowane dla delegacji polskiej na jej wyjazd do Moskwy wynikało, że w tym czasie kiedy I Sekretarz KC PZPR Stanisław Kania oraz premier Pinkowski gęsto się tłumaczyli wobec Moskwy za tolerowanie w Polsce kontrewolucji, minister Obrony Narodowej gen. armii Wojciech Jaruzelski mógł się skupić na problemach gotowości sił zbrojnych PRL do „obrony socjalizmu w Polsce”, oraz na przedstawieniu stronie radzieckiej koncepcji zlikwidowania „Solidarności” i opozycji własnymi siłami, gdy tylko wystąpią pierwsze oznaki zmęczenia i wyczerpania społeczeństwa.

Mogę do tego dodać, że chociaż wszyscy ci, którym znane były plany wkroczenia wojsk Układu Warszawskiego do Polski byli załamani i przygnębieni, to jednak nikt nie wysunął myśli, że można podjąć choćby najmniejsze gesty samoobrony, tak jak to było w roku 1956, nie mówiąc już o jakimś zbrojnym przeciwstawieniu się akcji państw Układu Warszawskiego. Były natomiast głosy, że sama obecność na terytorium PRL tak dużych sił wojskowych może doprowadzić do uspokojenia społeczeństwa.

K.: — *Co według Pana wpłynęło na radziecką decyzję poniechania na razie bardzo już zaawansowanych planów inwazyjnych? Czy nacisk z Zachodu, czy oferta gen. Jaruzelskiego, że w końcu załatwi tę sprawę bez inwazji?*

R.J.K.: — I jedno i drugie. Jak dobrze pamiętamy, przygotowania do inwazji Polski nie uszły uwadze świata zachodniego, jak to było w przypadku Czechosłowacji. Związek Radziecki nie tylko pozbawiony był ważnego w takich przypadkach czynnika zaskoczenia, ale wskutek uprzedzających reakcji rządów zachodnich, a nawet państw trzeciego świata musiał sobie coraz bardziej zdawać sprawę, że interwencja doprowadziłaby do przerwania politycznego odprężenia w Europie, naruszyłaby ekonomiczną

współpracę pomiędzy Wschodem i Zachodem, sprowokowałaby zwiększenie budżetów NATO, a według wszelkiego prawdopodobieństwa przyspieszyłaby nawet otwartą wojskową współpracę pomiędzy Stanami Zjednoczonymi, a Chińską Republiką Ludową.

Przypomnę, że w pierwszych dniach grudnia, a więc wówczas gdy najwyższe czynniki wojskowe odpowiedzialne za obronę narodową PRL ogarnęła całkowita apatia i zwątpienie, reakcja Stanów Zjednoczonych była niezwykle ostra. 3 grudnia prezydent Carter przesłał pilną osobistą depezę Breżniewowi, w której zwrócił się z żądaniem o umożliwienie rządowi i narodowi polskiemu samodzielnego rozwiązania swych własnych trudności i ostrzegł przed negatywnymi skutkami, gdyby ZSSR zdecydował się na użycie siły przeciwko Polsce. 4 grudnia tej samej treści oświadczenie prezydent Carter złożył publicznie.

W sumie wobec zdecydowanych nacisków i bardzo jasnych ostrzeżeń Zachodu, że inwazja może okazać się dla ZSRR bardzo kosztowna, Moskwa bardziej była skłonna do wyręczenia się Polakami nawet za cenę oczekania jakiegoś czasu.

K.: — *Czy groźba radzieckiej inwazji cofnęła się natychmiast po Moskiewskim Szczycie w dniu 5 grudnia 1980 roku, czy też od wpływ następował powoli? Co czyniła władza żeby wywiązać się z przyjętych na siebie zobowiązań? Czy odczuł Pan jakąś intensyfikację przygotowań do wprowadzenia stanu wojennego? Jeśli tak to jak one wyglądały?*

R.J.K.: — Moskiewski szczyt groźby inwazji wcale nie zażegnał. Uświadomił jedynie polskiemu kierownictwu, że od uderzenia nie ma odwrotu. Jeśli nie uderzą sami, to zrobi to za nich Armia Czerwona wraz z innymi wojskami Układu Warszawskiego. Aby wszystko było jasne Rosjanie jeszcze przez ponad miesiąc utrzymywali swe wojska w pobliżu granic PRL, rozglądając się jednocześnie za bardziej zdecydowaną na konfrontację Targowicą.

Nie mając innego wyboru, około 10 grudnia we wszystkich komórkach, zajmujących się przygotowaniem do wprowadzenia tego stanu, rozpoczęto generalną nowelizację i uszczegółowienie planów z takim wyliczeniem, aby można je było wprowadzić w życie na wiosnę roku 1981 kiedy spodziewano się większego zmęczenia społeczeństwa oraz spadku popularności „Solidarności”.

Przygotowaniem resortu Spraw Wewnętrznych do wiosennej konfrontacji kierował osobiście jego ówczesny kierownik, Mirosław Milewski. Bezpośrednią koordynacją planowania w tym resorcie zajmował się wiceminister Spraw Wewnętrznych gen. dyw. Bogusław Stachura. Miał on do pomocy swego rodzaju sztab koordynacyjny, który tworzył Zarząd I MSW z jego ówczesnym

dyrektorem płk. Bronisławem Pawlikowskim oraz jego dwoma zastępcami:

- płk. Janem Wasilukiem i
  - płk. Janem Czyżewskim.
- W centralnym planowaniu działań bezpośrednio uczestniczyli:
- zastępca komendanta MO gen. bryg. Józef Beim;
  - dyrektor Departamentu I MSW, gen. bryg. Jan Słowikowski;
  - dyrektor Departamentu III „A” MSW gen. bryg. Władysław Ciastoń;
  - komendant MO m.st. Warszawy gen. bryg. Jerzy Ćwiek;
  - dyrektor Departamentu IV MSW gen. bryg. Konrad Straszewski;
  - dyrektor Departamentu II MSW płk Zdzisław Sarewicz;
  - dyrektor Departamentu III MSW płk Henryk Walczyński;
  - dyrektor Biura „W” MSW płk Ryszard Wójcicki;
  - zastępca dyrektora Zarządu Łączności MSW płk Benedykt Januszewski;
  - dyrektor Biura Śledczego MSW płk Tadeusz Kwiatkowski;
  - dyrektor Biura Operacyjnego KGMO płk Jan Wieloch;
  - dyrektor Biura Ochrony Rządu gen. bryg. Jan Górecki;
  - dyrektor Departamentu Kadr MSW gen. bryg. Bonifacy Jedynak.

W okresie od grudnia 1980 roku do lutego roku następnego Ministerstwo Spraw Wewnętrznych koncentrowało swe wysiłki na agenturalnym spenetrowaniu „Solidarności” i innych powstających w tym czasie niezależnych organizacji społecznych, a także na drobiazgowym przygotowywaniu masowych aresztowań osób rzekomo zagrażających ustrojowi. W tej fazie planowania siły bezpieczeństwa miały gotową listę wytypowanych do aresztowania działaczy „Solidarności” i opozycji, na której znajdowało się już około 4.000 osób. Spośród tych 4.000 — 240 osób objęto stałą inwigilacją tak, aby ich można było aresztować w każdej chwili.

W Ministerstwie Obrony Narodowej przygotowania koncentrowały się na opracowywaniu aktów normatywno-prawnych (czy jak kto woli bezprawnych) stanu wojennego, typowaniu i przejmowaniu od MSW pod ochronę wojska tzw. obiektów specjalnych, uszczegółowieniu koncepcji użycia jednostek wojskowych i ich współdziałania z siłami MSW, przygotowaniu mobilizacji i militaryzacji oraz przygotowaniu resortów cywilnych do działania w okresie stanu wojennego.

Przygotowaniem aktów prawnych stanu wojennego z ramienia MON kierował wiceminister Obrony Narodowej, sekretarz KOK gen. broni Tadeusz Tuczapski. Wszystkie dekrety Rady Państwa, rozporządzenia wykonawcze ministrów, a nawet obwiesz-

czenie o stanie wojennym redagowane były w sekretariacie KOK przy ulicy Krzywickiego w Warszawie. Pod bezpośrednim nadzorem szefa tego sekretariatu, późniejszego prezydenta m.st. Warszawy gen. dyw. Mieczysława Dębickiego. Redagowali je w uzgodnieniu z właściwymi resortami, w tym także (o zgrozo) z resortem Sprawiedliwości, płk Tadeusz Malicki oraz podlegli mu przyuczeni prawnicy wojskowi.

Szczegółowym planowaniem użycia sił zbrojnych w okresie stanu wojennego zajmował się zastępca Szefa Zarządu I Sztabu Generalnego WP płk (dziś już generał) Franciszek Puchała.

Sprawami mobilizacji, militaryzacji oraz wszelkimi sprawami związanymi z realizacją postanowień o powszechnym obowiązku obrony w okresie stanu wojennego bezpośrednio kierował Zastępca Szefa Sztabu Generalnego WP do spraw organizacyjno-mobilizacyjnych, wówczas gen. dyw., Antoni Jasiński. W pracach tych uczestniczył płk Stefan Marciniak oraz inni wyznaczeni przez gen. Jasińskiego oficerowie zarządu X Sztabu Gen. WP.

Przygotowaniem kluczowych resortów cywilnych do działań w okresie stanu wojennego zajmowali się właściwi szefowie tych resortów lub ich pierwsi zastępcy. Uczestniczyli w tym także wojskowi dyrektorzy generalni lub dyrektorzy departamentów wojskowych:

- w Ministerstwie Łączności — gen. bryg. Leon Kołatkowski;
- w Ministerstwie Energetyki i Energii Atomowej — płk Piotr Panasiuk;
- w Ministerstwie Komunikacji — płk Jerzy Budrewicz;
- w Ministerstwie Handlu Zagranicznego i Usług — płk Tadeusz Antoniuk.

Przygotowaniem propagandy z ramienia KC PZPR zajmował się Walery Namiotkiewicz.

Pierwszy projekt radiowo-telewizyjnego wystąpienia premiera Rządu PRL, które miał on wygłosić do narodu na wiosnę roku 1981 w momencie wprowadzenia stanu wojennego, opracował wówczas Główny Zarząd Polityczny WP pod osobistym kierownictwem gen. bryg. Tadeusza Szaciło.

Mnie — podówczas płk. Ryszardowi Kuklińskiemu — przypadła w udziale robocza koordynacja (zgrywanie) planów wszystkich uczestników planowania stanu wojennego oraz opracowanie centralnego planu kierowania działalnością państwa w tym okresie.

Do VIII Plenum KC PZPR, które — między innymi — zdecydowało o zmianie na stanowisku premiera Rządu PRL, przygotowania stanu wojennego prowadzono w zasadzie osobno w MSW i MON. Sporadyczne dyskusje pomiędzy szefem Sztabu Generalnego gen. Siwickim i ministrem Spraw Wewnętrznych

Mirosławem Milewskim oraz rzadkie robocze uzgodnienia pomiędzy MON i MSW wpłynęły na to, iż pomiędzy tymi dwoma uczestnikami planowania utrzymywały się nadal dość poważne różnice w takich kwestiach jak: rola jednostek WP w ewentualnej konfrontacji z ludnością, aspekty prawne stanu wojennego oraz wynikające z tego pewne szczegóły dotyczące momentu rozpoczęcia masowych aresztowań.

W tym stanie rzeczy, niemal natychmiast po powołaniu przez Sejm PRL gen. armii Wojciecha Jaruzelskiego na stanowisko premiera, na jego polecenie rozpoczęto przygotowanie wspólnej gry decyzyjnej wszystkich uczestników planowania, aby usunąć rozbieżności oraz w pełni zintegrować plany działania pod jednym wspólnym kierownictwem. 16 lutego 1981 roku, kiedy kraj był jeszcze pod wrażeniem słynnego *exposé* nowego premiera-generała, w którym przedstawił on swój idealistyczny, ale w końcu pozytywny program oraz zaapelował o „trzy pracowite miesiące — 90 spokojnych dni”, w auli budynku Inspektoratu Obrony Terytorialnej i Wojsk Obrony Wewnętrznej przy Alejach Niepodległości zebrała się grupa 45 wyższych oficerów MON i MSW oraz dwóch funkcjonariuszy Wydziału Propagandy KC PZPR, aby ostatecznie doszlifować i zgrać plany wprowadzenia stanu wojennego.

Grze decyzyjnej współprzewodniczyli: Mirosław Milewski i gen. broni Florian Siwicki.

Ze strony MSW brało w niej udział 20 oficerów (wszyscy już uprzednio przeze mnie wymienieni) oraz dodatkowo:

— dyrektor Departamentu Uzbrojenia MSW gen. bryg. Stefan Stochaj i dyrektor Departamentu Materiałowo-Technicznego Zaopatrzenia MSW.

Ze strony MON uczestniczyło 19 osób, w tym wszyscy, których wymieniałem, że uczestniczyli w planowaniu stanu wojennego oraz dodatkowo:

— Szef Wojsk Łączności, gen. bryg. Marian Pasternak,  
— Szef Zarządu Sztabu Gen. WP płk Henryk Święcicki,  
— Szef Oddziału Szefostwa WSW, płk Mieczysław Kędzia oraz  
— Szef oddziału w sekretariacie KOK, płk Zdzisław Malina.

Z Komitetu Centralnego PZPR oprócz Walerego Namiotkiewicza uczestniczył również towarzysz Czyż.

Mimo tak starannie dobranego grona uczestników gry, wszyscy obecni na sali poproszeni zostali o podpisanie specjalnych zobowiązań do zachowania tajemnicy. Przedstawiane koncepcje działania nie mogły być opracowane na piśmie, a jedynie referowane z pamięci. Do robienia notatek upoważniony był tylko sekretariat gry (ze strony MSW płk Jan Wasiluk i płk Jan Czyżewski, a ze strony MON płk Czesław Witt i ja).

W toku dyskusji uczestnicy gry doszli wprawdzie do zgodnej oceny, iż wprowadzenie w ówczesnych warunkach stanu wojennego może być początkiem największego w historii Polski narodowego dramatu, ale ostateczne wnioski, jakie z tej oceny zostały wyciągnięte, ten dramat jedynie przybliżały.

A więc przede wszystkim odrzucona została ostatecznie myśl gen. broni Tadeusza Tuczapskiego, aby rząd wniósł pod obrady Sejmu PRL ustawy wyjątkowe stanu wojennego. Uczestnicy gry doszli do wniosku, iż zlikwidowanie wielomilionowej „Solidarności” będzie możliwe tylko przy pełnym jej zaskoczeniu. Ustalono, że najkorzystniejszym momentem do rozpoczęcia akcji będzie dzień wolny od pracy i nauki, najlepiej noc z soboty na niedzielę.

Za najważniejsze posunięcie stanu wojennego uznana została tak zwana „Operacja Wiosna”, której celem było internowanie około sześciu tysięcy aktywnych działaczy „Solidarności” oraz innych niezależnych organizacji zawodowych i społecznych. Ustalono, że operacja ta może przynieść oczekiwane rezultaty tylko wówczas jeśli zostanie przeprowadzona na 12 do 6 godzin przed oficjalnym wprowadzeniem stanu wojennego.

W toku gry osiągnięto również ostateczne porozumienie w kwestii podziału ról wojska i sił bezpieczeństwa oraz ich współdziałania w czasie ewentualnych działań konfrontacyjnych z ludnością.

Zgodzono się, że w rejonach zakładów przemysłowych, zakładów pracy i uczelni operować będą wyłącznie siły bezpieczeństwa. Natomiast wojsko działać będzie bardziej ostrożnie, co najwyższej jako siła wspierająca, rozwijana w miastach i blokująca ośrodki przemysłowe.

Gra wojenna zamykała drugi już tak zwany „wiosenny” okres planowania stanu wojennego. W dniu 20 lutego 1981 roku wnioski z tego przedsięwzięcia przedstawione zostały gen. Jaruzelskiemu. W dniu następnym, to jest 21 lutego w sobotę, szef Sztabu Generalnego WP gen. broni Siwicki poinformował mnie, że przedstawiony materiał został przez gen. Jaruzelskiego zaaprobowany. Premier wniósł jedynie kilka drobnych uzupełnień i polecił przerobienie go na informację „O stanie przygotowania państwa do wprowadzenia stanu wojennego”, którą zamierzał on przedstawić radzieckiemu kierownictwu w czasie XXVI Zjazdu KPZR.

3 marca PAP informowała, że: „członek Biura Politycznego KC PZPR, prezes Rady Ministrów PRL, minister Obrony Narodowej, gen. Wojciech Jaruzelski, członek delegacji PZPR na XXVI Zjazd KPZR spotkał się 3 bm. na Kremlu z członkiem Biura Politycznego, Przewodniczącym Rady Ministrów ZSRR, Nikołajem Tichonowem”. Społeczeństwo dowiedziało się z tego



komunikatu, że omawiane były problemy współpracy opartej na zasadach równości i wzajemnej, braterskiej pomocy.

Tylko niewiele osób wiedziało, że w czasie spotkania na Kremlu 3 marca 1981 roku premier Wojciech Jaruzelski przy przedstawianiu stronie radzieckiej programu swego rządu, złożył również szczegółową „Informację o stanie przygotowań państwa do wprowadzenia stanu wojennego” oraz zapewnił, że kierownictwo polskie „mając świadomość sojuszniczego zaplecza, jest zdecydowane do sięgnięcia po ten środek obrony kraju przed kontrrewolucją”.

*K.: — Z tego co Pan powiedział wynika, że na wiosnę strona rządowa była już gotowa do konfrontacji ze społeczeństwem i że Związek Radziecki był dobrze o tym poinformowany. Dlaczego wobec tego w marcu i kwietniu ponownie wystąpiła groźba interwencji zbrojnej ZSRR? Czy mógłby Pan przedstawić tło tych wydarzeń oraz choćby najistotniejsze fakty?*

R.J.K.: — Pańska uwaga odnosząca się do tego, że na wiosnę strona rządowa była gotowa do konfrontacji ze społeczeństwem jest nieprecyzyjna. Rząd miał plany wprowadzenia stanu wojennego, miał koncepcję zniszczenia „Solidarności”, ale w ówczesnych warunkach po prostu nie widział jeszcze możliwości wprowadzenia tego w życie. Pomijając jakiegokolwiek inne motywy, jakimi gen. Jaruzelski mógł się kierować, on nie widział szansy na wprowadzenie stanu wojennego ze względów czysto pragmatycznych. Chodziło bowiem o to, aby operację tę nie tylko zacząć, ale przede wszystkim zakończyć dla „ludowej władzy” zwycięsko. Na wiosnę nie było to realistyczne, a nawet możliwe, ponieważ po stronie władzy było częściowo rozłożone MSW, niepewne wojsko i trochę twardogłowych w rozsypującej się partii; natomiast po stronie przeciwnej nie tylko milionowe rzesze „Solidarności”, ale niemal całe społeczeństwo, które było władzy przeciwnie. Przy takim stosunku sił o jakimkolwiek powodzeniu akcji uderzeniowej nie mogło być mowy.

W tej sytuacji gen. Jaruzelski zawsze, i przed 3 marca i później, zapewniał Moskwę, że jest zdecydowany na wprowadzenie stanu wojennego, a jedynie w nigdy niekończących się rozmowach z Rosjanami — do których i ja osobiście według jego wytycznych przygotowywałem materiały — tłumaczył, że trzeba trochę odczekać, aż stosunek sił choćby trochę się poprawi, aż „Solidarność” straci na popularności, a rząd pozyska choćby częściowe poparcie społeczeństwa. Wykazywał im także, iż czas potrzebny jest i po to, aby skonsolidować siły, na których mogłaby się oprzeć władza (chodziło tu o znane słabości MSW i partii).

Rosjanie — jak zwykle we wszystkich kontaktach z gen. Ja-

ruzelskim — słuchali tego co było im wygodne lub co chcieli usłyszeć. Na początku roku 1981 słyszeli tylko, że wyraża on gotowość do „obrony socjalizmu” w Polsce i że jest zdecydowany wprowadzić stan wojenny. To że jednocześnie mówił, iż trzeba z tym czekać aż powstaną ku temu warunki, a głównie aż poprawi się stosunek sił, uważali za nieistotne, ponieważ niekorzystny stosunek sił gotowi byli w każdej chwili zmienić, kierując do Polski swoje dywizje, a nawet czeskie i niemieckie.

Na tym właśnie tle, tuż przed objęciem funkcji premiera przez gen. Jaruzelskiego, Moskwa wystąpiła z inicjatywą odbycia od 16 marca na terenie Polski oraz wokół jej granic — nieprzewidzianego uprzednio planami — wielkiego ćwiczenia dowódczo-sztabowego z wojskami, w którym uczestniczyć miało około 150 tysięcy żołnierzy, w tym na terenie PRL 30 tysięcy.

Sztab Generalny WP miał w tym względzie jak najgorsze przeczucia, gdyż Rosjanie nie ukrywali, iż ćwiczenie to ma ścisły związek z sytuacją w Polsce i jest pomyślane jako forma międzynarodalistycznej pomocy komunistom polskim z przyjetą od początku kryzysu taktyką niedenerwowania Moskwy, kierownictwo partyjno-rządowe tę ofertę internacjonalistycznej pomocy przyjęło. Jak tę pomoc rozumieli Rosjanie, można było się przekonać już wkrótce.

Otóż na krótko przed VIII Plenum PZPR, na którym podjęte były decyzje o zmianie na stanowisku premiera Rządu PRL, do Polski przybyła grupa 18 radzieckich generałów ze Zjednoczonego Dowództwa, w tym wszyscy zastępcy marszałka Kulikowa, aby sprawdzić jak Wojsko Polskie przygotowane jest do ćwiczeń „Sojuz 81”. Za aprobatą MON odwiedzili oni wszystkie okręgi wojskowe oraz rodzaje Sił Zbrojnych, sięgając niekiedy dywizji, a nawet pułków. Generałów tych wcale jednak nie interesowały sprawy wyszkolenia czy sprawności bojowej wojsk, a wyłącznie stosunek kadry dowódczej do kontrrewolucji. To na co sobie pozwalali w rozmowach z polskimi oficerami (niekiedy w cztery oczy), to już nie była agitacja, ale wręcz wzywianie do walki przeciwko własnemu społeczeństwu.

W 1 pułku zmeczanizowanym w Wesołej koło Warszawy doszło nawet do tego, że generał Armii Afanasij Szczegłow (jedna z najwredniejszych postaci szowinizmu rosyjskiego) zadał dowódcy tego pułku pytanie: „Jak będziecie działali w przypadku jeśli zajdzie potrzeba usunięcia strajkujących z zakładu pracy?”.

Charakter planowanych ćwiczeń „Sojuz 81” zaczął się jeszcze bardziej wyraziście rysować, kiedy od 14 lutego na teren Polski zaczęły przybywać rosyjskie grupy rekonesansowe. Okazało się, że celem prowadzonych rekonesansów wcale nie były typowe dla ćwiczebnych działań sztabów i wojsk lasy i poligony wojskowe, a takie obiekty jak: lotnisko Okęcie, Centrum Radiowo-

Telewizyjne na Mokotowie, Huta Warszawa, FSO Żerań, Stocznia Gdańska, kluczowe zakłady przemysłowe Elbląga, Szczecina, Poznania, Wrocławia, Świdnika i innych. Przybyłych z głębi terytorium ZSRR radzieckich generałów interesowały także lasy jako bazy ześrodkowania wojsk, ale nie z dala od wielkich aglomeracji miejsko-przemysłowych, jak to bywa w rutynowych ćwiczeniach, ale właśnie na styku z tymi aglomeracjami. Tak np. w pobliżu Warszawy na rejon ześrodkowania jednej radzieckiej dywizji wybrano Puszcę Kampinoską, a dla drugiej wytypowano rejon Pyr.

W czasie rekonesansów przed ćwiczeniem „Sojuz 81” były i takie sceny kiedy radziecki generał w przebraniu cywilnym dzielił się swymi troskami z oprowadzającym go również po cywilnemu oficerem WP: „*Możemy rozwinąć się przed zakładami pracy, zablokować je, ale co dalej? Jak zmusić ludzi do pracy?*”.

O tym wszystkim wiedział szef Sztabu Generalnego gen. broni F. Siwicki oraz Minister Obrony Narodowej i — w tym czasie — już premier Rządu PRL gen. armii W. Jaruzelski. Za ich zgodą przekazane zostały stronie radzieckiej nawet plany budynków użyteczności publicznej wytypowanych na radzieckie komendantury wojskowe w stolicy oraz w kilku innych miastach Polski.

Mówiąc o tych faktach, nie chcę choćby w najmniejszym stopniu sugerować, że gen. Jaruzelskiemu, a zwłaszcza Siwickiemu, zależało na sprowadzeniu radzieckich posiłków do Polski. Byłoby to nieprawdą. Natomiast nie ulega kwestii, że wyrażenie zgody na nieplanowane ćwiczenia „Sojuz 81”, a później przyomykanie oczu na przygotowywany przez Rosjan scenariusz tych „ćwiczeń” w tak skomplikowanej sytuacji kraju było co najmniej nieostrożnym igraniem z ogniem, delikatnie mówiąc.

Wydaje mi się, że i gen. Jaruzelski i Siwicki odczuli to sami najlepiej, kiedy 16 marca ćwiczenia te się zaczęły. Otóż w czwartek 19 marca, a więc w trzecim dniu ćwiczeń, które w zamyśle ich autorów miały tworzyć swego rodzaju zaplecze dla dłużej obliczanej kontrofensywy rządu, doszło do pierwszej poważniejszej konfrontacji pomiędzy władzą i „Solidarnością” w Bydgoszczy.

Dla władzy to „rozpoznanie walką” wypadło fatalnie. Jak pamiętamy, po przerwaniu sesji Wojewódzkiej Rady Narodowej oraz dotkliwym pobiciu przez bojówki Milewskiego popularnych działaczy: Jana Rulewskiego, Mariusza Łabentowicza i Michała Bartoszcze, protestowała cała Polska. Wobec tak jednoznacznej postawy społeczeństwa, które potępiło prowokację, rząd gen. Jaruzelskiego zaczął się cofać, ale szybko się okazało, że na żadne cofanie nie ma miejsca, bo z tyłu stał marszałek Kulikow i jego Armia Czerwona.

W momencie gdy rząd gen. Jaruzelskiego zaczął poszukiwać jakiejś formy kompromisu z „Solidarnością”, która na 27 marca proklamowała 4-godzinny strajk ostrzegawczy, a od 31 marca ogólnopolski strajk powszechny, do Legnicy specjalnym samolotem przyleciał Szef Głównego Zarządu Operacyjnego Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych ZSRR. Po czterogodzinnej konferencji z marszałkiem Kulikowem w cztery oczy, ten ostatni stwierdził, że ćwiczenia „Sojuz” (które zgodnie z zawartym porozumieniem miały się skończyć w dniu następnym, to jest 25 marca) zostają bezterminowo przedłużone.

Przedłużenie ćwiczeń Układu Warszawskiego w normalnych warunkach (choć w przeszłości nigdy się to nie zdarzało) mogłoby być nawet niezauważone, ale w końcu marca 1981 roku budziło poważny niepokój, i to z dwóch powodów:

- pierwszy, to pretekst do wprowadzenia na terytorium PRL większej liczby armii „Zaprzysiężonych”,
- i drugi (może jeszcze istotniejszy), to aprobatą istnienia niezależnego od Sztabu Generalnego WP ośrodka dowodzenia Siłami Zbrojnymi PRL, w tym zwłaszcza utrzymywanie nietypowej dla czasu pokoju sytuacji, która umożliwiała generałowi broni Eugeniuszowi Molczykowskiemu, znanemu z podporządkowania Moskwie, dowodzenia wojskami frontu polskiego, a więc prawie całymi wojskami lądowymi i lotniczymi.

Nie bez znaczenia był także fakt, że pod pretekstem ćwiczenia strona radziecka zażądała wydzielenia miejsc na Centralnym Stanowisku Dowodzenia Obroną Powietrzną Kraju w Pyrach koło Warszawy dla dużej grupy oficerów radzieckich, co umożliwiło im w praktyce przejście całkowitej kontroli obszaru powietrznego PRL.

Niewykluczone, że gen. Jaruzelski lub gen. Siwicki byli spokojni, bo wiedzieli coś więcej na ten temat, ale ich podwładni mieli jak najgorsze przeczucia. Ja sam w Sztabie Generalnym WP odebrałem co najmniej trzy telefoniczne interwencje z Biało-brzegów koło Warszawy, gdzie był rozwinięty Sztab Frontu. Bardzo poważni oficerowie zapytywali mnie: „co wy tam w Sztabie Generalnym robicie? My wiemy w jakim celu jesteśmy tu trzymani. Czy góra naprawdę nie rozumie o co chodzi? Kończę to, chcemy wracać do naszych miejsc pracy” itp.

Moskwa miała jednak nadal zupełnie inne plany. 27 marca 1981 roku na płycie wojskowej lotniska Okęcie wylądował rządowy samolot ZSRR, na pokładzie którego przybyło do Polski ponad 30 funkcjonariuszy Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego ZSRR, Ministerstwa Obrony ZSRR oraz Gospłanu, w celu szczegółowego zapoznania się z planami wprowadzenia w Polsce stanu wojennego. Grupą wojskową kierował marszałek ZSRR

Wiktor Kulikow, a zespołem KGB — pierwszy zastępca Andropowa.

Po zapoznaniu się z naszymi planami, Rosjanie uznali je za niewystarczające i przedstawili swoje postulaty w tej sprawie. Według oceny Rosjan, wprowadzenie stanu wojennego podyktowane jest koniecznością obrony socjalizmu. Wraz z jego wprowadzeniem należy zawiesić konstytucję i całą władzę przekazać w ręce Naczelnego Dowództwa Wojskowego. W terenie władzę powinni sprawować dowódcy garnizonów, a tam gdzie ich nie ma, wyznaczeni dowódcy WP. Egzekutorem stanu wojennego powinna być armia, siły bezpieczeństwa i aktywne siły partii. W okresie stanu wojennego oraz w czasie przygotowań do jego wprowadzenia należy skoncentrować wysiłek na demaskowaniu kontrrewolucji w „Solidarności”, identyfikacji przywódców i elementów skrajnych, ustaleniu ich miejsc pobytu, wprowadzeniu agentury do wrogich organizacji oraz zlokalizowaniu podziemnych radiostacji i poligrafii. Rosjanie zalecili również, aby na czternaście godzin przed wprowadzeniem stanu wojennego przeprowadzić internowanie, a następnie śledztwa i sądy doraźne. Oświadczyli oni także, iż do zdławienia kontrrewolucji i strajków powinny być użyte siły bezpieczeństwa wspólnie z armią. Do Sztabu Generalnego WP, dowództw okręgów i rodzajów sił zbrojnych zalecili przyjmując doradców radzieckich.

Po udzieleniu „konsultacji” (bo tak to zostało nazwane), radzieccy specjaliści od stanu wojennego w Polsce zwrócili się o wniesienie poprawek w naszych planach oraz wyrazili życzenie ich ponownego przejrzenia tak szybko, jak tylko będą gotowe.

Dla wykazania radzieckiej stronie polskiego konfliktu, że właściwie cała partia jest za kompromisem ze społeczeństwem Stanisław Kania zwołał na sobotę 28 marca 1981 roku IX Plenum KC PZPR, które — jak wiadomo — podjęło uchwałę wyrażającą wolę dialogu i porozumienia.

Z tą legitymacją w prasie ogłoszono „Raport Komisji Rządowej o przebiegu wydarzeń w Bydgoszczy” oraz „Uwagi 'Solidarności’” do tego raportu.

Spółcześnie odetchnęło z ulgą. Władza nie, gdyż po przetrawieniu sprowokowanej przez siebie konfrontacji ze społeczeństwem, teraz resztkami sił musiała walczyć ze swym protektorem — Moskwą o prawo do dalszego kierowania losami kraju.

Rosjanie reagowali gniewnie. Nawet nie chcieli rozmawiać na temat zakończenia ćwiczeń „Sojuz 81”. Zapytywani nieśmiało o powody jego kontynuowania dawali nie zawsze dyplomatyczne odpowiedzi. Tak na przykład Szef Sztabu ZSZ gen. Anatolij Gribkow odpowiedział że: „cele ćwiczeń jeszcze nie zostały osiągnięte”. Natomiast marszałek Kulikow stwierdził wprost

że: „ćwiczenia są kontynuowane dlatego, że w Polsce jest kontrrewolucja”.

Nie jestem w stanie przedstawić co radzieccy marszałkowie mówili Stanisławowi Kani i gen. Jaruzelskiemu gdyż rozmawiali z nimi w cztery oczy i to z każdym osobno.

3 kwietnia wieczorem, pod osłoną ciemności, radziecki samolot dostarczył Kanię i Jaruzelskiego przed samo oblicze Leonida Breżniewa. Rozmowa była krótka, gdyż nad ranem 4 kwietnia tym samym radzieckim samolotem wojskowym powrócili oni do Warszawy. Nie znam treści tych rozmów, ale ich atmosferę, a nawet treść mogłem odtworzyć na podstawie tego z czym w tych dniach miał do czynienia Sztab Generalny WP.

Otóż 3 kwietnia, a więc w momencie gdy Kania i Jaruzelski przygotowywali się do wylotu na spotkanie z Breżniewem, Rosjanie rozpoczęli powietrzną wojnę nerwów z Polską. Tego dnia, bez uprzedniego zgłoszenia polskim organom ruchu lotniczego przebazowali z Czechosłowacji do Polski 32 śmigłowce bojowe Mi-6 oraz przetrucili do Brzegu za pomocą 10 samolotów AN-12 niezidentyfikowany transport wojskowy. W następnych dniach śmigłowce te wykonywały loty bojowe do rejonu Torunia oraz w inne części kraju. Wspomniane loty — niezależnie od aspektów terrorystycznych — tworzyły poważne zagrożenie w obszarze powietrznym PRL, gdyż radzieccy piloci nie podporządkowywali się naszym organom ruchu lotniczego.

Na zapytania Szefa Sztabu Generalnego WP, gen. Siwickiego, Rosjanie dawali różne odpowiedzi. I tak dowódca Południowej Grupy Wojsk AR poinformował gen. Siwickiego, że są to normalne loty w ramach ćwiczeń ich armii lotniczej. Natomiast gen. armii Gribkow (szef sztabu ZSZ) stwierdził, że odbywa się normalna rotacja wojsk oraz dostawa żywności, na którą obecnie nie można liczyć ze źródeł polskich.

7 kwietnia przebywający na Zjeździe Komunistycznej Partii Czechosłowacji Leonid Breżniew podjął decyzję o zakończeniu ćwiczeń „Sojuz 81”. Ćwiczenia się formalnie zakończyły, ale terror militarny ZSRR wobec PRL utrzymywał się nadal.

8 kwietnia, bez uprzedzenia kierownictwa MON a nawet kontroli ruchu lotniczego, do Brzegu koło Opola przyleciał kolejny transport 19 samolotów AN-12 a w dniu następnym 14 samolotów AN-12 i 4 samoloty IŁ-76.

Równocześnie trwały rajdy radzieckich śmigłowców bojowych na trasie Legnica - Toruń oraz transporty pojedynczych samolotów do Mińska Mazowieckiego.

Przy takim akompaniamencie „braterstwa broni”, grupa radzieckiego Zjednoczonego Dowództwa ZSZ państw Układu Warszawskiego z marszałkiem Kulikowem na czele 8 kwietnia przyleciała do Warszawy aby na miejscu zapoznać się czy zalecone

przez nich poprawki i uzupełnienia do planów wprowadzenia stanu wojennego zostały wniesione. Marszałek Kulikow zajął się naszym kierownictwem partyjno-wojskowym, natomiast reszta grupy badała plany szczegółowe w Sztabie Generalnym.

W czasie sprawdzania planów, szef Sztabu Zjednoczonych Sił Zbrojnych gen. armii Gribkow wybrał 20 najważniejszych dokumentów planistycznych oraz zwrócił się o ich przetłumaczenie i przekazanie stronie radzieckiej, co oczywiście zostało uczynione. Opracowane dokumenty planistyczne, jakkolwiek nie uwzględniały wielu postulatów „konsultantów” radzieckich, przyjęte zostały w zasadzie pozytywnie. Rosjanie domagali się jednak, aby zostały one wszystkie podpisane, łącznie z uchwałami i dekretemi Rady Państwa, aby w każdej chwili mogły być wprowadzone w życie.

8 kwietnia Kulikow i Gribkow opuścili Polskę. W radzieckiej jednostce łączności w Rembertowie pozostała bliżej nieokreślona grupa operacyjna Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych ZSRR. Natomiast grupa operacyjna Sztabu ZSZ państw Układu Warszawskiego w liczbie 47 wyższych radzieckich funkcjonariuszy wojskowych wraz z przekazaną stronie radzieckiej dokumentacją planistyczną stanu wojennego przeniesiona została do Legnicy.

W nocy z 9 na 10 kwietnia pracowałem w sztabie generalnym nad dokumentami stanu wojennego. Tuż po północy zameldowano mi, że Rosjanie zgłosili organom ruchu lotniczego Wojsk Obrony Powietrznej Kraju przyłot między godziną 3 i 5 rano z Rygi, Wilna i Lwowa 35 samolotów AN-12 i 12 samolotów IL-76, a także lot 11 śmigłowców Mi-6 na trasie Brzeg - Toruń. Zaangażowanie tak dużej liczby ciężkich samolotów transportowych oznaczało w istocie uruchomienie 3 mostów powietrznych do Polski. Na szczęście, rankiem 10 kwietnia Moskwa loty te zawiesiła, choć ich definitywnie nie odwołała.

Po tej uwerturze, 10 kwietnia Kulikow wraz ze swym zastępcą do spraw flot sojuszniczych, admirałem Michajlinem, przybyli ponownie do Polski w rejon Świnoujścia, skąd Kulikow zabiegał o spotkanie z Jaruzelskim. Powiedziano mu jednak, że premier jest u Kani i spotkanie możliwe będzie dopiero 13 kwietnia. Gen. Jaruzelski chciał uniknąć tego spotkania, gdyż strona radziecka w dalszym ciągu nalegała na ustalenie konkretnego terminu wprowadzenia stanu wojennego. Przygotowując się do wyznaczonego na 13 kwietnia spotkania z Kulikowem, 11 kwietnia gen. Jaruzelski przybył do Sztabu Generalnego WP, aby w gronie ścisłego kierownictwa zapoznać się osobiście z opracowanymi planami. Był on wyraźnie przygnębiony, a nawet załamany. Po rozpatrzeniu najważniejszych dokumentów planu, ogarnęło go jeszcze większe przygnębienie. Powiedział wprost: „w najczarniejszych zakątkach mej wyobraźni nie znajduję myśli,

że coś takiego możemy zrobić. Nie chciałbym być już premierem, kiedy trzeba będzie podpisać te dokumenty do realizacji. Sytuacja jednak jest taka, że stłuczenie trzech nosów w Bydgoszczy doprowadziło nas na krawędź przepaści”.

W dalszym toku wypowiedzanych urywkami myśli, negatywnie ocenił Rulewskiego z bydgoskiej i Bujaka z warszawskiej „Solidarności”, stwierdzając, że „ich postawa jest typowa dla socjalfaszyzmu”. Gen. Jaruzelski opowiedział się za ewentualnym pośrednim wariantem między masowym internowaniem opozycji, a koncepcją stosowania tylko krótkich i selektywnych zatrzymań i aresztowań najbardziej ekstremalnych działaczy. Dalsze rozważania Jaruzelskiego na te tematy przerwał dziennik wieczorny w TV, który chciał on obejrzeć. Tego dnia dziennik był dla niego raczej łaskawy, ponieważ i własne społeczeństwo i komentarze zagraniczne (oczywiście tylko te z Zachodu) w zasadzie dobrze przyjęły jego wystąpienie sejmowe w poprzedniego dnia. Wyraźnie tym zbudowany, po obejrzeniu dziennika telewizyjnego, opuścił Sztab Generalny WP. 13 kwietnia spotkał się z Kulikowem, jednakże stanowczo przeciwstawił się sprecyzowaniu konkretnego terminu wprowadzenia stanu wojennego oraz podpisania dokumentów z tym związanych.

W połowie kwietnia zagrożenie interwencją zbrojną ZSRR zaczęło się powoli cofać, ale chyba naprawdę nigdy nie ustało. Związek Radziecki nigdy nie wycofał z PRL rozwiniętego w czasie ćwiczeń „Sojuz 81” wojennego systemu dowodzenia siłami interwencyjnymi.

Po znanych komunikatach „Solidarności” o pojawieniu się tu i ówdzie nowych jednostek i instalacji radzieckich, grupa starszych oficerów Sztabu Generalnego WP na własną rękę podjęła badanie sprawy. Rozpoznanie to przynosiło niekiedy szokujące — jeśli nie groteskowe — informacje. Tak np. dowódca 3 Dywizji Zmechanizowanej poinformował, że w rejonie lotniska Radawiec koło Lublina znajduje się grupa radzieckich żołnierzy ze sprzętem łączności pod dowództwem majora, który nawiązał z nim oficjalny kontakt, prosząc o żywność. Według oświadczenia tegoż majora, jego grupa została przerzucona z terytorium ZSRR w celu przyjęcia w ciągu najbliższych 3 dni bliżej nieokreślonego zrzutu powietrznego AR na tym lotnisku. Wobec wyczerpania własnych zapasów żywności, zwrócił się on o pomoc do dowódcy garnizonu w Lublinie.

Dyskretne, nieoficjalne rozpoznanie doprowadziło do potwierdzenia wszystkich sygnalizowanych przez „Solidarność” miejsc rozwinięcia nowych radzieckich grup i instalacji wojskowych.

Szef Sztabu Generalnego nie dawał temu wiary i nawet polecił mi udzielenie pomocy w przygotowaniu wywiadu pełno-

mocnika Rządu PRL do spraw pobytu wojsk radzieckich w Polsce gen. dyw. Michała Strygi dla telewizji polskiej, w którym miał on zdementować krążące na ten temat pogłoski, kiedy pod wpływem oficjalnych informacji, jakie wpłynęły z jednostek wojskowych z terenu, trzeba było z tego zrezygnować, aby nie doprowadzić do jeszcze jednej kompromitacji władz. Szef Sztabu Generalnego, gen. Siwicki dalej nie dawał temu wiary, ale na wszelki wypadek zwrócił się do szefa Sztabu Północnej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej z prośbą o wyjaśnienia. W odpowiedzi otrzymał szyfrogram, że rzeczywiście w czasie ćwiczenia „Sojuz 81” na terytorium PRL rozwinięte zostały punkty łączności, na których nadal — w ramach przygotowania młodego rocznika — szkoleni są młodzi radzieccy żołnierze. Szef Sztabu Północnej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej wymienił 18 rejonów nowo rozwiniętych radzieckich instalacji łączności. Nie były to oczywiście wszystkie nowe miejsca pobytu jednostek radzieckich, ale dano już temu spokój.

*K.: — Interesujący byłby Pański komentarz dlaczego na wiosnę Rosjanie, mając już właściwie na terytorium PRL znaczną liczbę wojsk oraz rozwinięty wojenny system dowodzenia, nie zdecydowali się na jakieś stanowcze kroki? Zanim jednak do tego dojdziemy chciałbym Pana prosić o odpowiedź na dwa pytania, które nasunęły mi się słuchając pańskiej wypowiedzi. Pierwsze: czy wojsko, a zwłaszcza generał Jaruzelski był osobiście zamieszany w prowokację bydgoską?*

R.J.K.: — Trudno mi odpowiedzieć na ile gen. Jaruzelski — jako premier rządu i minister Obrony Narodowej — zamieszany był osobiście w to co się stało w Bydgoszczy. Natomiast z całą pewnością mogę zaświadczyć, że zarówno on, jak i Szef Sztabu Generalnego gen. Siwicki byli na bieżąco informowani o przebiegu wypadków w siedzibie Wojewódzkiej Rady Narodowej w Bydgoszczy. Wiem także, iż wieczorem 19 marca Wałęsa telefonował z interwencją do premiera. W sprzeczności z prawdą — a zgodnie z otrzymanymi instrukcjami — adiutanci premiera odpowiedzieli Wałęsie, że gen. Jaruzelskiego nie ma na miejscu. Wiem także, iż Oddział Propagandy Specjalnej Głównego Zarządu Politycznego WP — pod osobistym nadzorem gen. bryg. Tadeusza Szaciło oraz szefa GZP, gen. dyw. Józefa Baryły — opracował i wydrukował ulotki o samookaleczeniu się Jana Rulewskiego, które jeszcze w ciągu nocy z 19 na 20 marca, na polecenie gen. Siwickiego samolot wojskowy rozrzucił z powietrza nad Bydgoszczą.

*K.: — Drugie pytanie: kiedy Rosjanie włączyli się do planowania*

*stanu wojennego w Polsce oraz na czym polegała rola Kulikowa i jego sztabu w Legnicy na Śląsku?*

R.J.K.: — W Ministerstwie Obrony Narodowej planowaniem stanu wojennego zajmowali się wyłącznie Polacy. Rosjanie włączyli się do tego dopiero w końcu marca 1981 roku i to tylko w charakterze nadzorców „konsultantów”. Na szczeblu wykonawczym ich udział ograniczył się właściwie do wydania w dniu 27 marca 1981 zaleceń generalnych oraz do skontrolowania w dniu 8 kwietnia, jak ich zalecenia zostały wykonane. Po 8 kwietnia, to jest po zapoznaniu się z wniesionymi korektami do planów, po stwierdzeniu, że ich najważniejsze zalecenia zostały uwzględnione oraz po zabranii jednego egzemplarza planów do Legnicy, ich rola sprowadzała się jedynie do wywierania presji na gen. Jaruzelskiego i Siwickiego, aby plany te zostały podpisane, a tym samym mogły być wprowadzone w życie w każdej chwili.

W Ministerstwie Spraw Wewnętrznych — jak mogę sądzić z moich służbowych kontaktów z tym resortem — Rosjanie włączyli się do tych spraw znacznie wcześniej i ich udział w samym planowaniu był znacznie większy. Wierzę, że szczegóły współpracy Rosjan z MSW, zwłaszcza przy sporządzeniu listy osób przewidzianych do internowania, będą z czasem również ujawnione.

Co się tyczy roli marszałka Kulikowa i jego sztabu w Legnicy, to był to już drugi (po kryzysie czechosłowackim w roku 1968) przypadek, kiedy Naczelny Dowódca Zjednoczonych Sił Zbrojnych państw Układu Warszawskiego okazał się kluczową figurą w rozwiązywaniu wewnętrznych problemów państwa będącego członkiem tego ugrupowania militarnego.

Niemal od początku wybuchu strajków na Wybrzeżu marszałek Kulikow kierował przygotowaniem akcji militarnych Związku Radzieckiego oraz niektórych innych państw Układu Warszawskiego przeciwko Polsce. W pierwszej fazie kryzysu, a więc do wiosny 1981, przygotowania te koncentrowały się wyłącznie w Sztabie Generalnym Sił Zbrojnych ZSRR. Od wiosny 1981 swą kwaterę przeniósł on do Legnicy. Załącznikiem legnickiego sztabu Kulikowa był wyłącznie radziecki zespół oficerów, którzy kierowali ćwiczeniem „Sojuz 81”. Po zakończeniu tych ćwiczeń jego sztab rozdzielił się na dwie części. 47 wyższych radzieckich oficerów pozostało w Polsce w Legnicy, natomiast reszta wróciła do Moskwy.

18 kwietnia w Sztabie Zjednoczonych Sił Zbrojnych w Moskwie Kulikow przeprowadził odprawę z grupą 60-80 członków tego sztabu i oświadczył im, że na prośbę rządu PRL zostają skierowani do Polski, aby udzielić pomocy polskim komunistom. Cała

ta grupa oficerów radzieckich oraz innych armii Układu Warszawskiego w dniu 24 i 25 kwietnia została skierowana do Legnicy.

Od 25 kwietnia na stanowisku dowodzenia Kulikowa w Legnicy stale przebywała grupa wyższych oficerów radzieckich w liczbie od 107 do 130. W porównaniu ze sztabem Jakubowskiego, który był rozwinięty w tym samym miejscu przed i w czasie inwazji Czechosłowacji, sztab ten był co najmniej dwukrotnie liczniejszy. Oficerowie sztabu Kulikowa byli odizolowani od świata zewnętrznego oraz całkowicie odcięci od polskich środków masowego przekazu, w tym także od prasy partyjnej i wojskowej.

Sztab Kulikowa posiadał w swej dyspozycji jeden komplet polskich planów stanu wojennego i, stosownie do rozwoju sytuacji w kraju, zajmował się uaktualnianiem własnych alternatywnych i uzupełniających planów na ewentualną konieczność użycia armii radzieckiej oraz innych armii Układu Warszawskiego.

Radziecki personel tego sztabu — przy współpracy Przedstawicielstwa Naczelnego Dowódcy ZSZ przy Wojsku Polskim, który mieścił się w Warszawie przy ulicy Krzywickiego — prowadził codzienną analizę i ocenę sytuacji społeczno-politycznej w Polsce oraz przekazywał raporty w tej sprawie radzieckiemu kierownictwu w Moskwie.

Jedyną zauważalną od roku 1968 zmianą w roli Naczelnego Dowódcy ZSZ było to, iż w tamtych czasach marszałek Jakubowski zajmował się wyłącznie przygotowaniem i przeprowadzeniem samej operacji militarnej przeciwko Czechosłowacji. Rozmowy z kierownictwem czeskim prowadził natomiast wyłącznie Breżniew i jego przyboczna świta.

W czasie kryzysu w Polsce oprócz strony militarnej marszałek Kulikow wziął na siebie główny ciężar bezpośrednich kontaktów i rozmów z partyjno-politycznym kierownictwem PRL. Kontakty Kani i Jaruzelskiego z Breżniewem były tylko od święta. Na co dzień torturował ich wyłącznie Kulikow. U schyłku kryzysu Kulikow nawet nie zawsze i nie ze wszystkimi chciał rozmawiać. Szczycił się na przykład tym, że w pałacyku przy ulicy Sulkiewicza, gdzie czasami rezydował, wyrzucił Kanię za drzwi, bo przyszedł do niego o zbyt późnej porze, a w dodatku był pijany. To że Kania był wówczas pod wpływem alkoholu mogło być wymysłem zagniewanego marszałka, ale fakt, że został on z rezydencji Kulikowa wyproszony, bo trzymał się kursu IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR i był przeciwny użyciu siły, jest faktem historycznym.

K.: — *Abyśmy mogli zamknąć omawianie okresu wiosennego, chciałbym usłyszeć, jakie okoliczności — Pana zdaniem — powstrzymały Rosjan po raz wtóry od bezpośredniej interwencji*

*zbrojnej w Polsce? Czy to była znowu reakcja Zachodu, do której doszło na podstawie Pana tajnych informacji, czy też wystąpiły jakieś inne czynniki?*

R.J.K.: — Wydaje mi się, że na wiosnę przesądziły w zasadzie te same przyczyny, które powstrzymały ZSRR od inwazji grudniowej. Z jednej strony bardzo silna akcja dyplomatyczna nowej administracji amerykańskiej prezydenta Reagana oraz większości państw Europy Zachodniej, z drugiej zaś obawy Rosjan, jak na użycie siły zareaguje społeczeństwo polskie, a nawet sama armia.

Oni kontrolowali górne szczeble hierarchii wojskowej, ale mieli uzasadnione obawy o szczeble średnie i niższe. W owym czasie społeczeństwo polskie nie było dostatecznie zorientowane, jakie są nastroje wojska, ale Rosjanie znali je dobrze. Po jesienno-wiosennym poborze w roku 1980 prawie jedną trzecią stanu osobowego żołnierzy służby czynnej stanowili młodzi ludzie, którzy albo byli uprzednio członkami „Solidarności”, albo uczestniczyli w zorganizowanych przez ten związek różnych formach protestu społecznego. Po wiosennym wcieleniu młodego rocznika takich ludzi było już ponad połowę stanu armii, ale radzieckie obawy nie kończyły się na tym. To co napawało ich być może jeszcze większym niepokojem to fakt, że idee „Solidarności” udzieliły się ogromnej części kadry oficerskiej. Nawet niektóre organizacje partyjne wojska pośrednio lub bezpośrednio udzielały poparcia „Solidarności”. Tak np. organizacja partyjna Zarządu Operacyjnego Sztabu Generalnego potępiła prowokację bydgoską, a imiennie Główny Zarząd Polityczny WP, który był bezpośrednio w tę prowokację wmieszany. Dziesiątki innych, podobnych w swej wymowie, przypadków solidaryzowania się z „Solidarnością” Rosjanie mogli śledzić właściwie we wszystkich niemal ogniwach Sił Zbrojnych.

W tym stanie rzeczy — wobec bardzo zdecydowanej postawy państw zachodnich, wobec wyraźnego zarysowania się po prowokacji bydgoskiej jakiegoś ogólnonarodowego frontu sprzeciwu przeciwko użyciu siły, do którego dołączyła się nawet znaczna część Ludowego Wojska Polskiego — oferta władzy krajowej, a zwłaszcza gen. Jaruzelskiego, że zrobi to na własny rachunek, okazała się dla Rosjan lepsza niż wzniesienie w Polsce pożaru, który trudno byłoby ugasić, albo koszty którego dla ZSRR byłyby zbyt wielkie.

K.: — *Z tego, co Pan dotychczas powiedział, wynika, że gen. Jaruzelski wspólnie zresztą ze Stanisławem Kanią obiecywali Rosjanom wprowadzić stan wojenny, ale nie ulega kwestii, że czynili wiele, aby ten moment jak najdłużej odwleć, a może nawet, aby się z tego całkowicie wymigać. Kiedy Pana zdaniem nastąpił*

*przełom w ich podejściu do tej sprawy i kiedy zaczęli poważnie myśleć o tym, co nastąpiło 13 grudnia 1981 roku?*

R.J.K.: — W postawie Stanisława Kani, od momentu wybrania go na I Sekretarza KC PZPR aż do IV Plenum KC PZPR, na którym został zmuszony do rezygnacji, nie było żadnych zmian. Kania przychylał się wprawdzie do żądań radzieckich, ale w istocie uznawał tylko walkę środkami politycznymi. Niewykluczono, że gdyby w Polsce wystąpiła nie urojona przez Moskwę, ale faktyczna kontrrewolucja i sięganie siłą po władzę, Kania aprobowałby nawet i stan wojenny. Ale takich zagrożeń nie widział i stanowi wojennemu, tak długo jak tylko mógł, przeciwstawił się.

Po IX Nadzwyczajnym Zjeździe, na którym w demokratycznych wyborach uzyskał mandat PZPR, jego niechęć do użycia siły przekształciła się w zdecydowany opór.

W postawie gen. Jaruzelskiego, prawdopodobnie pod wpływem potwornej — skoordynowanej z działaniami rodzimej Targowicy — radzieckiej presji, której towarzyszyły nie mniejsze napięcia wewnątrz kraju, można było zauważyć wyraźne skłanianie się do rozwiązań siłowych jeszcze przed wystąpieniem oczekiwanych przez niego „sprzyjających ku temu warunków”. Był już temu bardzo bliski w połowie czerwca. Odzwierciedleniem tego było jego wystąpienie na kolejnym, odbytym 19 czerwca 1981 roku, posiedzeniu Komitetu Obrony Kraju, poświęconym sprawie ewentualnego wprowadzenia stanu wojennego. Mówił on wówczas między innymi: „Trzeba poczynić korekty w scenariuszu wprowadzenia tego stanu. Na przeprowadzenie akcji „Wiosna” nie ma obecnie sił. Jest wielce prawdopodobne, że stan wojenny wprowadzi się dopiero w szóstym, siódmym dniu eskalacji bądź trwania zaburzeń, strajków czy niepokoju. Należy widzieć możliwość działań ograniczonych do poszczególnych regionów, a także selektywnego uruchomienia przewidzianych planem przedsięwzięć”.

Od tego czasu, z małą przerwą w okresie przygotowań do IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR i tuż po jego zakończeniu, gen. Jaruzelski coraz bardziej oddalał się od linii politycznej Stanisława Kani. Krytyczny moment przyszedł na początku września, kiedy to — mimo dość złożonej sytuacji na tle dostępu „Solidarności” do środków masowego przekazu — I Sekretarz KC PZPR Stanisław Kania podtrzymywał swój sprzeciw wobec dość stanowczego żądania premiera-generała aby wprowadzić na tym tle stan wojenny. Z tego co wiem z bardzo pewnego źródła, powiedział on wprost gen. Jaruzelskiemu: „dałem swoje słowo, że nie użyjemy siły na VI i IX plenum KC PZPR, a także na Nadzwyczajnym Zjeździe Partii i muszę go dotrzymać”.

W tej sytuacji, gen. Wojciech Jaruzelski zwołał na 13 września posiedzenie Komitetu Obrony Kraju, na które zaprosił Stanisława Kanię, aby wywrzeć na niego odpowiednią presję i wymusić zgodę na rozpoczęcie tak długo przygotowywanego uderzenia.

Posiedzenie było starannie wyreżyserowane przez samego premiera. Jednym z posunięć przygotowawczych było specjalne spotkanie kierownictwa MSW z kierownictwem Sztabu Generalnego dla uzgodnienia wspólnej linii i taktyki działania na posiedzeniu Komitetu Obrony Kraju. Spotkanie odbyło się wieczorem 10 września w Sztabie Generalnym WP. Ze strony MSW uczestniczył w nim gen. dyw. Czesław Kiszczak oraz gen. dyw. Bogusław Stachura. Ze strony MON szef Sztabu Generalnego WP, gen. broni Florian Siwicki oraz wszyscy czterej jego zastępcy: gen. dyw. Tadeusz Hupałowski, gen. dyw. Jerzy Skalski, gen. dyw. Antoni Jasiński oraz gen. bryg. Mieczysław Dachowski.

Po tej owocnej naradzie, na odbytym w dniu 13 września 1981 roku nadzwyczajnym posiedzeniu Komitetu Obrony Kraju z udziałem zaproszonego Kani, wojsko i Ministerstwo Spraw Wewnętrznych wystąpiło we wspólnym bloku z postulatem niezwłocznego wprowadzenia stanu wojennego.

Gen. Kiszczak przedstawił „druzgocące dowody” parcia „Solidarności” do kontrrewolucyjnej zmiany ustroju PRL, poinformował o rzekomym tajnym planie „Solidarności” przejścia środków masowego przekazu, a także o tym, że ruch ten posiada jakiegoś ukrytego sprzymierzeńca w samym centrum planowania stanu wojennego. Jako dowód tego przytoczył fakt, iż duża część działaczy „Solidarności” zna dokładnie nasze plany, łącznie z planem internowania, listą osób przewidzianych do aresztowań, a nawet kryptonimem tej operacji. W dalszej części swego wystąpienia gen. Kiszczak przedstawił stan przygotowania MSW do wprowadzenia stanu wojennego, stwierdzając, że są one w pełni gotowe do działań. W konkluzji zwrócił się o podjęcie decyzji politycznej o wprowadzeniu stanu wojennego.

Gen. Siwicki stwierdził na wstępie, że — cytuję dosłownie — „Sztab Generalny WP podziela przedstawioną przez Ministra Spraw Wewnętrznych, tow. gen. dyw. Cz. Kiszczaka ocenę zamiarów przeciwnika, który na pierwszej części zjazdu „Solidarności” odkrył swoje karty. Jesteśmy zgodni co do tego, iż w forsowanej obecnie przez radykałów nowej próbie sił same środki polityczne nie będą już w stanie powstrzymać niekorzystnego biegu wydarzeń w kierunku kontrrewolucyjnej zmiany systemu społeczno-politycznego oraz przejścia władzy przez siły wrogie socjalizmowi.

Od początku konfliktu niezmiennie uważamy, że wprowadzenie stanu wojennego powinno być ostatecznością. Z tym większym niepokojem przyjmujemy — przygotowaną na wielką

skalę przez ekstremę „Solidarności” — konfrontację o dostęp do środków masowego przekazu oraz ustanowienie anarcho-syndykalistycznej koncepcji samorządów pracowniczych, która tę ostateczność w sposób niebezpieczny przybliży”.

Wychodząc z powyższej oceny, gen. Siwicki — zgodnie z wytycznymi gen. Jaruzelskiego — przedstawił Komitetowi Obrony Kraju do rozpatrzenia dwa zasadnicze warianty działań.

W wariantcie pierwszym: „W wypadku proklamowania przez KKP „Solidarność” gotowości strajkowej lub strajku prasy, radia i telewizji połączonego prawdopodobnie z kontynuowaniem dotychczasowych, bądź rozpoczynaniem nowych lokalnych i regionalnych form protestów, w tym także strajków” — gen. Siwicki zaproponował: „rozpocząć podwyższanie gotowości bojowej sił zbrojnych, sił resortu Spraw Wewnętrznych oraz ogólnej gotowości niektórych centralnych i terenowych organów administracji państwowej — jako wyraz zdecydowania władzy do radykalnego przeciwdziałania destrukcjom”.

Omawiając ten wariant działań gen. Siwicki stwierdził, że: „Demonstracyjnie jawne oraz prowadzone z pełną determinacją przygotowania obronne w dziedzinie bezpieczeństwa państwa mogą spowodować cofnięcie się ekstremy, bądź czasowe złagodzenie jej presji i rozpoczęcie poszukiwań możliwych do przyjęcia przez władzę rozwiązań bez przekraczania progu fizycznej konfrontacji.

Wariant ten tworzy tylko pewną niewielką szansę przezwyciężenia impasu bez użycia siły. Jego zasadniczą słabością jest natomiast rezygnacja z czynnika zaskoczenia”.

W dalszym wywodzie szef Sztabu Generalnego WP stwierdził, że: „Z punktu widzenia skuteczności działania organów i sił egzekwujących postanowienia o stanie wojennym, zwłaszcza prowadzenia niezwykle istotnych operacji specjalnych, wcześniejsze ujawnienie przygotowań nie jest celowe. Dlatego też drugi wariant — traktowany przez Sztab Generalny, a także resort Spraw Wewnętrznych jako zasadniczy — zakłada:

- po pierwsze — pełną skrytość przygotowań;
- po drugie — taki dobór momentu wprowadzenia stanu wojennego, który zapewniłby największe zaskoczenie niezbędne zarówno do celów operacyjnych, jak i wywołania silnego wstrząsu w społeczeństwie”.

Przy omawianiu tego wariantu, gen. Siwicki poinformował, że: „Analiza posiadanych i stale uaktualnianych dokumentów planistycznych i wykonawczych upoważnia do zameldowania, iż w sensie organizacyjnym możliwe jest obecnie właściwie w bardzo krótkim czasie sięgnięcie do tego środka obrony państwa”.

W konkluzji gen. Siwicki stwierdził, że: „stan wojenny jest niezwykle trudną i złożoną operacją. Już sam fakt odwołania się

władzy do tego środka obrony spowodować może różne, nieznanne nam dziś, reakcje społeczeństwa. Jak zwykle w takich przypadkach o charakterze szczególnym pozostaje kwestia użycia broni. Mamy jednak prawo sądzić, że przeciwko decyzji władz może aktywnie wystąpić jedynie nieliczna ekstrema, natomiast większość społeczeństwa odczuwająca poważne dokuczliwość obecnego stanu zachowa wstrzemięźliwość, a następnie władzę poprze. Ponadto trzeba uwzględnić fakt, iż nie jesteśmy sami. W przypadku niekorzystnego rozwoju sytuacji zawsze możemy liczyć na pomoc naszych niezawodnych przyjaciół. Rodzi się więc potrzeba pełniejszego zacieśnienia sojuszniczej współpracy ze Związkiem Radzieckim oraz pozostałymi państwami Układu Warszawskiego. W ocenie Sztabu Generalnego WP istnieje jednak duża szansa rozstrzygnięcia problemów własnymi siłami. Dla osiągnięcia tego celu konieczne jest zdecydowanie ofensywne i precyzyjnie zsynchronizowane działanie wszystkich pozostających w dyspozycji państwa sił”.

Wiceminister Obrony Narodowej i sekretarz Komitetu Obrony Kraju — gen. broni Tadeusz Tuczapski przedstawił komitetowi do rozpatrzenia akty prawne stanu wojennego (w 99 % te same, z którymi kraj zapoznał się 13 grudnia).

Za wprowadzeniem stanu wojennego wypowiedzieli się właściwie wszyscy członkowie KOK.

Przebieg posiedzenia zaskoczył Stanisława Kanię. Nie kwestionując nieuchronności wprowadzenia stanu wojennego, powiedział on jednak, że: „konfrontacja z wrogiem klasowym jest nieunikniona. Oznacza to walkę środkami politycznymi, a dopiero, gdy te zawiodą, mogą być stosowane represje”.

Od 13 września 1981 roku tylko Kania stał na przeszkodzie podjęcia ostatecznej decyzji politycznej o wprowadzeniu w Polsce stanu wojennego. Usunięcie tej przeszkody nie było trudne. Zaszczuty przez Moskwę, która niemal zaraz po IX Nadzwyczajnym Zjeździe Partii zaczęła go zupełnie ignorować, zmuszony został do ustąpienia miejsca temu, w kim Moskwa pokładała jeszcze ostatnią nadzieję. Formalna rezygnacja Kani z funkcji I Sekretarza KC PZPR nastąpiła — jak wiadomo — 18 października 1981 roku, na IV Plenum KC PZPR. W praktyce faktyczną władzę w partii utracił on właściwie w tym momencie, kiedy 13 września 1981 roku sprzeciwił się użyciu siły przeciwko „Solidarności”.

Mimo że 13 września w obecności Kani Komitet Obrony Kraju nie podjął żadnej ostatecznej decyzji, nazajutrz — na osobiste polecenie gen. Jaruzelskiego — Sztab Generalny, przy współpracy MSW, przystąpił do szczegółowego opracowywania trzech dodatkowych wariantów wprowadzenia stanu wojennego:



- pierwszy — w przypadku zagrożenia strajkami okupacyjnymi;
- drugi — sytuacji trwania strajków okupacyjnych;
- trzeci — polegający na stopniowym „wpełzaniu w stan wojenny”.

Równocześnie z tym przystąpiono do przestawiania MON na wojenną strukturę dowodzenia. W ramach tej struktury Zarząd Operacyjny Sztabu Generalnego WP miał stanowić główne centrum kierowania państwem w czasie stanu wojennego. Po wzmocnieniu zarządu oficerami z innych instytucji MON oraz funkcjonariuszami kluczowych resortów cywilnych w zarządzie miały funkcjonować dwa zespoły:

- planowania, na czele którego postawiono mnie (Ryszarda Kuklińskiego) oraz
- dowodzenia, którym miał kierować płk Franciszek Puchała.

Od końca września zaczęto przygotowywać miejsca pracy oraz wyposażać je w specjalne środki łączności do kierowania operacjami w czasie stanu wojennego.

W skromnych pomieszczeniach mojego oddziału zaczęło się robić ciasno, a atmosfera pracy stawała się coraz bardziej nerwowa. Do stałego zespołu operacyjnego, który dyżurował bez przerwy od momentu ogłoszenia strajków na Wybrzeżu w roku 1980, włączeni zostali dodatkowo oficerowie z innych instytucji centralnych MON oraz funkcjonariusze MSW. Drzwi do mojego gabinetu, gdzie zbiegały się wszystkie nici planowania, prawie się nie zamykały. Po blisko rocznym okresie przygotowań do wprowadzenia stanu wojennego przyzwyczaiłem się do przelewania planów na papier. We wrześniu zaczęły się jednak pierwsze zderzenia z tymi samymi sprawami tyle, że w jednostkowych ludzkich wymiarach. Żle się czułem słuchając przedstawiciela wydziału propagandy KC PZPR, kiedy roztaczał przede mną wizję zamknięcia tygodników i gazet, które czytałem i nawet cenilem, albo gdy zaczął wymieniać nazwiska publicystów, których lubielem słuchać lub czytać, a którzy mieli niebawem zamilknąć. Strach mnie ogarniał, gdy słyszałem nazwiska różnych oportunistycznych miernot dziennikarskich, które miały zastąpić moich ulubionych redaktorów.

Jeszcze gorzej czułem się w służbowych kontaktach z przedstawicielami MSW, a zwłaszcza z dyrektorem zarządu tego ministerstwa, płk. Bronisławem Pawlikowskim, któremu marzyła się „noc długich noży” — krwawa rozprawa z niektórymi działaczami „Solidarności”. Wiedziałem, że jego ręce mogą być za krótkie, by mogły dosięgnąć tych wszystkich, do których pałał nienawiścią. Niepokoiło jednak to, że operacja internowania pozostawała w wyłącznej gestii resortu płk. Pawlikowskiego.

W sumie, mimo sprzeciwu Kani, przygotowania do tego co

miało nastąpić 13 grudnia, ruszyły pełną parą już w połowie września. W październiku i listopadzie ciężar przygotowań wyraźnie przesunął się do MSW oraz wydziału propagandy KC PZPR, które miały przygotować silne, trafiające społeczeństwu do przekonania usprawiedliwienie użycia siły. W tamtym czasie dla generała Jaruzelskiego, który doskonale zdawał sobie sprawę, że w Polsce — ze względów historycznych — zawsze będzie potępiony ten, kto tę siłę przeciwko społeczeństwu użyje, stworzenie sobie jakiegoś alibi było sprawą bodajże najważniejszą.

Ponieważ z fabrykowaniem dowodów o sterowanej rzekomo z Zachodu kontrrewolucji nic nie wychodziło, MSW oraz wydział propagandy KC uruchomiły wszystkie swe siły, aby „Solidarność” przedstawić społeczeństwu jako ruch pchany przez jej przywódców do konfrontacji, a nawet jako siłę niszczącą, natomiast władzę jako stronę występującą w obronie państwa i jego obywateli.

W końcu października następuje spiętrzenie fali strajkowej. W szczególności jednogodzinny ostrzegawczy strajk powszechny, do którego doszło 28 października, wpłynął w sposób decydujący na dalszy bieg wydarzeń. W dniu tym byłem na posiedzeniu Rady Wojskowej Zjednoczonych Sił Zbrojnych Układu Warszawskiego w Budapeszcie, i miałem możliwość obserwowania jak co najmniej połowa członków tego organu, w tym wszyscy Rosjanie i Polacy, śledziła przebieg tego strajku i jego wyniki. Jeszcze tego samego dnia wieczorem otrzymaliśmy w Budapeszcie oficjalne informacje, że strajk się nie udał. Według szacunku Sztabu Generalnego WP i wstępnych obliczeń, strajk poparło zaledwie niecałe 40 % członków „Solidarności”; ponad połowa zakładów i pracowników uznała, że był on nieusprawiedliwiony i w strajku udziału nie wzięła. Była to najlepsza wiadomość, jaką Kulikow usłyszał od wielu miesięcy.

Kiedy 31 października wraz z delegacją WP pod przewodnictwem gen. Molczyka wylądowaliśmy na płycie wojskowej lotniska Okęcie, od jednej z najwyższej postawionych osobistości wojskowych, które nas witały, usłyszałem to, czego się obawiałem już 13 września: „Decyzja już zapadła. W tej chwili „Najwyższy”, czyli Jaruzelski, uzgadnia z sojusznikami konkretny termin i plan operacji”.

W dniu 2 listopada, około godziny 14-tej, zostałem wezwany do zastępcy Szefa Sztabu Generalnego WP — gen. dywizji Jerzego Skalskiego, który nadzorował planowanie stanu wojennego przez Zarząd Operacyjny Sztabu Generalnego. Razem ze mną wezwani zostali: szef Zarządu Operacyjnego Sztabu Generalnego WP — gen. Waław Szklarski oraz pozostali dwaj jego zastępcy — płk Czesław Witt i płk Franciszek Puchała.

W tym gronie gen. Skalski w tonie najwyższej powagi poin-

formował nas o dwóch nowych, niezwykle ważnych elementach, które będą miały istotny wpływ na nasze planowanie. Pierwszym z nich był fakt, że do generała Jaruzelskiego skierowane zostało formalne ultimatum pewnej grupy sekretarzy PZPR szczebla centralnego i terenowego, którzy zagrozili przejściem inicjatywy w swoje ręce w przypadku dalszego zwlekania z rozpoczęciem akcji. Drugi element to wiadomość z wiarygodnego źródła, że Amerykanie są w posiadaniu najnowszej wersji naszych planów łącznie z projektami aktów prawnych regulujących stan wojenny. Ultimatum sekretarzy nie wywołało większego wrażenia, gdyż Moskwa posługiwała się Targowicą od grudnia 1980 roku, a ponadto niewiele to zmieniło podjęte już decyzje. Nikt z nas nawet nie pytał o nazwiska autorów ultimatum, domyślając się, że chodzi tu o Stefana Olszowskiego, Stanisława Kociołka, współautora grudniowej masakry na Wybrzeżu, twardogłowego Tadeusza Grabskiego, a w wojsku gen. broni Eugeniusza Molczyka, gen. broni Włodzimierza Sawczuka, gen. dyw. Tadeusza Krępskiego i jeszcze kilku innych.

Natomiast wiadomość, że nasze tajemnice przeciekły na Zachód i w każdej chwili „Solidarność” może być ostrzeżona, spaliżowała wszystkich obecnych.

Doszło do dramatycznej wymiany zdań. Wszyscy zabierający kolejno głos: gen. Szklarski, płk Puchała, płk Witt zapewniali, że nie mają nic z tym wspólnego i oddawali się do dyspozycji władz bezpieczeństwa. Występujący jako ostatni z tej trójki, płk Witt powtórzył od dawna głoszony przez siebie pogląd, iż wszystkie dotychczasowe akcje „Solidarności” od jej powstania aż do dnia dzisiejszego wskazują, że ma ona ukrytego sojusznika w samym centrum władzy.

Kiedy oczy wszystkich skierowały się na mnie, aby usłyszeć, co ja o tym sądzę, doszedłem już do siebie i byłem zdecydowany potwierdzić tezę płk. Witta oraz oświadczyć, że byłem jednym z nich i przedstawić swoje racje. Zacząłem od tego, że w pełni podzielam opinię mojego poprzednika, że jestem do dyspozycji władz i gotów jestem współdziałać w tocącym się śledztwie... Kiedy zacząłem zbierać myśli, aby kontynuować dalej, gen. Skalski przerwał mi, twierdząc, że on nie prowadzi śledztwa (tym zajmują się służby bezpieczeństwa), a ponadto grono podejrzanych nie ogranicza się do nas czterech. Powiedział następnie, że powinniśmy się zastanowić jak najlepiej zorganizować naszą pracę, aby wykonać stojące przed nami zadania. Otwierając na ten temat dyskusję, gen. Skalski poinformował nas o wnioskach, jakie w opinii gen. Jaruzelskiego oraz gen. Siwickiego wynikają z powstałej sytuacji.

Wniosek pierwszy: w świetle otrzymanego ultimatum, od wprowadzenia stanu wojennego nie tylko nie ma odwrotu, ale

musimy być do tego gotowi wcześniej niż szykująca się do przejścia władzy „Targowica”.

Wniosek drugi: w związku z tym, że nasze plany przeciekły na Zachód, musimy być przygotowani na dużo większe trudności. Jest bowiem pewne, że jeśli „Solidarność” zostanie ostrzeżona, to podejmie uprzedzające akcje obronne, a więc ogłosi strajk generalny i wezwie załogi do zabarykadowania się w fabrykach i zakładach pracy. Gdybyśmy do tego dopuścili — mówił generał — to naszych sił może nie wystarczyć i będą musieli pomóc nam inni. Aby tego uniknąć, musimy być gotowi do akcji uprzedzającej jakiegokolwiek posunięcia „Solidarności”.

Od 2 do 7 listopada w Sztapie Generalnym WP wszystko szło w tym kierunku, jaki w imieniu kierownictwa MON przedstawił nam gen. Skalski. W tym stanie rzeczy dzień, w którym Ludowe Wojsko Polskie w podniosłym nastroju święciło uroczyste sześćdziesiątą czwartą rocznicę Rewolucji Październikowej, stał się ostatnim dniem mojej służby w jego szeregach.

*K.: — Jest ludzkie i zrozumiałe, że w sytuacji poważnego zagrożenia pańskiego życia oraz ewentualnych represji wobec pańskiej najbliższej rodziny, zdecydował się Pan opuścić kraj. Czy mógłby Pan przedstawić jak do tego doszło?*

R.J.K.: — Zagrożenie nie wyłoniło się nagle i niespodziewanie na początku listopada. Mimo tego nigdy nie myślałem o opuszczeniu kraju. Nawet po 13 września, kiedy organy bezpieczeństwa wszczęły w moim środowisku energiczne poszukiwania źródła przecieku naszych planów do „Solidarności” pozostałem na swoim miejscu. Ponieważ ujawnienie kryptonimu operacji internowania „Wiosna” zawęzło krąg podejrzanych do tych, którzy go znali, liczyłem się z aresztowaniem w każdej chwili. Całą swoją reakcją ograniczyłem jednak wyłącznie do napisania czegoś w rodzaju politycznego testamentu. Ale wtedy czułem się jeszcze potrzebny. Między 2 i 7 listopada tę wiarę coraz bardziej traciłem.

W godzinach rannych 7 listopada uczestniczyłem w rutynowej odprawie szefa Sztabu Generalnego WP. Gen. Siwicki nie miał nam nic nowego do zakomunikowania, ale właśnie to jeszcze bardziej przekonało mnie, że nic już nie może zapobiec wprowadzeniu stanu wojennego.

Opuszczając około południa małą salkę konferencyjną Sztabu Generalnego WP, zacząłem zbierać myśli. Co dalej? Kierowca mojej „Wołgi” ruszył pełną szybkością z ulicy Rakowieckiej, aby jak zwykle Puławską, I Armii Wojska Polskiego, Trasą Łazienkowską i Wisłostradą dowieźć mnie do naszego mieszkania na Nowym Mieście. — Dziś nie musimy się spieszyć — zwró-

ciłem się do kierowcy, prosząc go, aby jechał bardzo powoli. Po raz pierwszy od ponad roku zacząłem przyglądać się przechodniom, domom, a nawet drzewom mojego miasta.

Kiedy mijaliśmy zamek królewski przypomniałem sobie niewielki epizod kiedy zupełnie bezwiednie naraziłem się gen. Jaruzelskiemu. Otóż w czasie przygotowań do posiedzenia Komitetu Ministrów Obrony państw Układu Warszawskiego, które miało miejsce w grudniu 1979 roku w Warszawie, generał spytał mnie co Niemcy pokazywali członkom komitetu w czasie ostatniego posiedzenia w Berlinie i co my możemy im pokazać u nas. — Niemcy — odpowiedziałem — zaprezentowali swój szklany Pałac Kultury i Odpoczynku, bo ze spuścizną Bismarcka mieli jeszcze pewne zahamowania. Ale my naprawdę mamy coś godnego do pokazania temu gremium. W świetle przewidywanej problematyki posiedzenia obiekt ten jest bardzo na czasie, towarzyszu generale! — Co takiego? — zapytał z zaciekawieniem minister Obrony Narodowej. — Zamek królewski — odparłem. W tym momencie twarz generała tak się zmieniła, jakbym popełnił jakiś wyjątkowy nietakt. Zmrożony odwrócił się i bez słowa zaczął się oddalać. — Ja wiem, że zamek nie jest jeszcze wykończony — powiedziałem, podążając za sztywną postacią generała — ale nawet w tym stanie w jakim jest obecnie robi niezwykle wrażenie. Ja tam chodzę i wiem... W tej chwili ten pokaz naszej historii jest jak najbardziej... — Nie skończyłem, gdyż generał nie chciał tego słuchać. Uważał, że pokazanie Rosjanom naszego Zamku Królewskiego w momencie gdy zażądali oni od Polski oraz reszty państw Układu Warszawskiego zrzeczenia się resztek suwerenności nad siłami zbrojnymi może być poczytane za prowokację. Dziś prowokacją wobec ZSRR jest „Solidarność” i dlatego trzeba ją zniszczyć.

Kiedy z Wisłostrady zaczęliśmy skręcać w ulicę Sanguszkę mój sympatyczny żołnierz-kierowca, którego lubiłem jak własnego syna, zapytał kiedy ma przyjechać pod dom aby mnie zawieść do pracy. — Jutro z pułku wal prosto na parking Sztabu Generalnego — odpowiedziałem — samochód może być potrzebny oficerom naszego oddziału. W poniedziałek tak samo... Jeśli będę cię potrzebował, zadzwonię. — Mijając ulicę Przyrynek, po raz któryś z rzędu zauważyłem dwóch młodych ludzi szybko odwracających twarze. Podobna sytuacja na końcu ulicy Rajców, tuż przy plebanii kościoła Najświętszej Marii Panny, a więc niecałe 50 metrów od mojego domu. Sterczeli tam dzień i noc prawie od tygodnia. Wiedziałem dobrze, że nie są to ekstremiści „Solidarności”, którzy — według oficjalnych ostrzeżeń moich przełożonych — zamierzali porwać członków rodzin ważnych osób wojskowych, aby w drodze szantażu łagodzić, a nawet załamać operacje stanu wojennego. Wiedziałem również doskonale,

że nie jest to także ochrona mojej rodziny przed taką ewentualnością, ponieważ w tym celu miało być użyte wojsko, a nie cywilna służba bezpieczeństwa. Domyślałem się, że zostałem już obstawiony.

Nie oczekiwałem, że aresztowanie nastąpi natychmiast, a nawet w ciągu najbliższych dni, gdyż służba bezpieczeństwa musiała najpierw wytropić najistotniejsze dla śledztwa moje ewentualne konspiracyjne kontakty i powiązania wewnątrz sił zbrojnych PRL, w relacjach z Armią Radziecką i pozostałymi armiami Układu Warszawskiego, z partią, opozycją, „Solidarnością” itd. Tym nie mniej sytuacja była poważna i mogłem się w swych rachubach mylić. Zacząłem więc od porządkowania domu, gdzie oprócz dużej biblioteki, w której znajdowały się również pewne pozycje drugiego obiegu, miałem jednak duży zbiór najbardziej tajnych materiałów i dokumentów dotyczących nierównoprawnej współpracy wojskowej PRL ze Związkiem Radzieckim w ramach Układu Warszawskiego oraz wszystkich przygotowań do wprowadzenia stanu wojennego, co przecież łatwo można było zakwalifikować jako materiały szpiegowskie.

Tu muszę wyjaśnić, że nigdy nie podważałem celowości pozostawiania Polski w Układzie Warszawskim na zasadzie sojuszu równoprawnych sprzymierzeńców, ale z dezaprobatą odnosiłem się do wszystkiego co przekształcało tę organizację w narzędzie radzieckiego ekspansjonizmu, co pozbawiało państwa członkowskie suwerennych praw do kierowania własnymi siłami zbrojnymi i własną obroną, co wreszcie tworzyło podstawy do ingerencji ZSRR w wewnętrzne sprawy Polski. Ponieważ moje opinie w tych sprawach spotykały się jedynie z negatywnymi reakcjami moich przełożonych, w pewnym momencie zacząłem gromadzić odbitki niemal wszystkich protokołów posiedzeń, uchwał i decyzji państw Układu Warszawskiego od momentu powstania tej organizacji, aż do jesieni roku 1981, łącznie z materiałami wyrażającymi stanowisko PRL we wszystkich rozpatrywanych sprawach.

Od listopada 1980 roku zacząłem gromadzić wszystkie dokumenty i materiały dotyczące stanu wojennego. Spośród innych materiałów miałem bardzo cenne dokumenty dotyczące udziału Polski w radzieckiej inwazji Czechosłowacji w roku 1968, roli Wojska Polskiego w tragicznych wydarzeniach grudniowych na wybrzeżu, spraw represji za praktyki religijne w wojsku, a także wszystkie osobiste notatki z tajnych rozmów i rokowań kierownictwa MON PRL z Rosjanami.

Wszystkie zgromadzone dokumenty traktowałem jako pewnego rodzaju rozwinięcie i poszerzenie prowadzonego przeze mnie od sierpnia 1968 roku z niewielkimi przerwami dziennika, a właściwie notatek pisanych nocami, z myślą, że może kiedyś

wyłonia się możliwości wydobycia ich na światło dzienne. Osobiste papiery, takie jak: listy, spis telefonów, adresy, zdjęcia znajomych i wszystko co choćby w najmniejszym stopniu mogło narazić niewinnych ludzi, selekcjonowałem i paliłem 4, 5 i 6 listopada. 7 listopada, zaraz po powrocie do domu, zacząłem palić moje cenne archiwum. Mieszkanie było pełne dymu, ponieważ przy tak dużej ilości papieru, komin odmówił posłuszeństwa. Aby nie ulec zaccadzeniu otwierałem okna, ale uchodzący z mieszkania dym zwracał uwagę kraczących wokół domu tajniaków, którzy mogli w każdej chwili wtargnąć do mojego domu.

Z drugiej strony coraz bardziej uświadamiałem sobie, że niszczyć kopie dokumentów o dużej wadze historycznej, których oryginały zapewne nigdy nie będą ujawnione. Ponieważ w czasie ewentualnego aresztowania nic już nie mogło mi ani zaszkodzić, ani pomóc, postanowiłem opuścić kraj wraz z pozostałymi, niespalonymi dokumentami. Wydaje mi się, że jest jeszcze za wcześnie aby przedstawić okoliczności, jak do tego doszło. Wierzę jednak, że kiedyś w przyszłości i te sprawy będą mogły być ujawnione.

K.: — *Wspomniał Pan, że z dezaprobatą odnosił się Pan do wszystkiego, co przekształcało Układ Warszawski w narzędzie radzieckiej dominacji nad Polską. Czy mógłby Pan powiedzieć, jak wygląda stosunek zależności Wojska Polskiego od dowództwa radzieckiego? Czy jest to stosunek rozkazodawczy czy też Jaruzelski ma możliwość przeciwstawiania się decyzjom Układu Warszawskiego, albo poddawania ich pod dyskusję?*

R.J.K.: — Przede wszystkim chciałbym rozwiać panujący na Wschodzie i Zachodzie mit, że sama przynależność do Układu Warszawskiego niejako automatycznie pozbawia państwa członkowskie suwerennych praw do decydowania o swoim losie, w tym także decydowania w sprawach własnej narodowej obrony. To jest zwykłe nieporozumienie, ponieważ ani zawarty w roku 1955 Układ (który zresztą jest jawny i powszechnie dostępny), ani żadne jego tajne klauzule tych suwerennych praw poszczególnych państw członkowskich nie przekreśliły. Z niezbywalnych praw suwerenności państwa członkowskiego Układu Warszawskiego korzysta w całej rozciągłości Socjalistyczna Republika Rumunii, która prowadzi nie tylko niezależną od ZSRR politykę, ale zachowała także całkowicie niezależną od ZSRR obronę narodową. W dziedzinie obrony narodowej Rumunii, w tym także dowodzenia jej siłami zbrojnymi nie ma dwóch prawd: jednej na użytek własnego społeczeństwa i armii, a drugiej na użytek wspólnoty socjalistycznej pod przewodnictwem Związku Radzieckiego, jak to jest w PRL.

Rumunia bez żadnych dwuznaczności i niedomówień ustanowiła w swej konstytucji, że siłami zbrojnymi Socjalistycznej Republiki Rumunii, zarówno w czasie pokoju jak i wojny, dowodzi narodowe dowództwo i od tego konstytucyjnego prawa rumuńskie kierownictwo nigdy nie odeszło. Rumunia, mimo znacznej presji, jaką na nią wywierano, w ramach Układu Warszawskiego nigdy nie podpisała żadnego dwu lub wielostronnego porozumienia, które by tę zasadę naruszało. W ten sposób socjalistyczna Republika Rumunii — mimo iż jest członkiem Układu Warszawskiego oraz ma takie same jak Polska uwarunkowania geostrategiczne — pozostała wyłącznym dysponentem swych sił zbrojnych oraz swego potencjału obronnego.

Sytuacja PRL, której przywódcy od schyłku lat sześćdziesiątych zaczęli stopniowo wyzbywać się suwerennych praw Polski do dysponowania własnymi siłami zbrojnymi i własną obroną, jest bardzo skomplikowana, choć nie we wszystkich warunkach i sytuacjach beznadziejna.

Beznadziejna jest tylko w okresach zagrożenia wojennego oraz na czas wojny, ponieważ — zgodnie z przyjętym przez PRL na przełomie roku 1979/1980, tak zwanym „Statutem Zjednoczonych Sił Zbrojnych i Organów kierowania nimi na czas wojny” — w tych sytuacjach kierowanie obroną Polski oraz dowodzenie jej siłami zbrojnymi przechodzi całkowicie w ręce tak zwanego Jedynego Najwyższego Naczelnego Dowództwa. PRL zgodziła się dobrowolnie, że tym Jedyнным Najwyższym Naczelnym Dowództwem będzie niepodzielnie Najwyższe Naczelne Dowództwo Sił Zbrojnych Związku Radzieckiego, a jego organem roboczym wyłącznie radziecki Sztab Generalny. Strona polska zgodziła się nawet na to, że przy Najwyższym Naczelnym Dowództwie nie ma i nie będzie żadnego polskiego przedstawiciela lub choćby misji łącznikowej.

Polskimi Siłami Zbrojnymi radzieckie Najwyższe Dowództwo dowodzić będzie poprzez swe niższe organy dowodzenia. I tak:

Polski Front, a więc całe operacyjne Wojska Lądowe oraz Wojska Lotnicze podlegać mają bezpośrednio radzieckiemu Naczelnemu Dowódcy na Zachodnim Teatrze Działań Wojennych.

Całą Marynarką Wojenną PRL, łącznie z jej lądowymi bazami dowodzić będzie dowódca Floty Bałtyckiej ZSRR, który w sytuacji zagrożenia lub wojny staje się automatycznie dowódcą, a jego sztab sztabem tak zwanej Zjednoczonej Floty Bałtyckiej państw Układu Warszawskiego.

Nawet Wojska Obrony Powietrznej Kraju (uważane od momentu ich sformowania za trzon obrony własnego terytorium) nie będą dowodzone przez narodowe lecz przez radzieckie dowództwo. Pikantnym szczegółem porozumienia w tej sprawie

jest ustanowienie uprawnień radzieckiego dowództwa do używania jednostek obrony powietrznej kraju poza terytorium PRL.

W sumie, w przypadku zagrożenia i wojny, do 90 % ludowego Wojska Polskiego znajdzie się bezpośrednio pod rozkazami radzieckich dowódców. W gestii narodowego kierownictwa wojskowo-politycznego pozostaną właściwie jedynie krajowe jednostki logistyczne, jednostki inżynieryjno-technicznego zabezpieczenia tranzytu wojsk radzieckich przez terytorium PRL oraz jednostki przewidziane do szkolenia rezerw dla uzupełniania strat wojennych.

Wszelkie rozkazy i dyrektywy radzieckiego dowództwa kierować będą bezpośrednio do podległych im polskich wojsk z pominięciem narodowego dowództwa. W praktyce oznacza to nieograniczone prawo ZSRR do dysponowania ludowym Wojskiem Polskim, bez żadnych uprzednich konsultacji z władzami PRL. Będący pod radzieckimi rozkazami żołnierze WP nie mają nawet zagwarantowanej narodowej, to jest polskiej jurysdykcji, polskich sądów wojennych. Nawet praca partyjno-polityczna koordynowana będzie nie przez KC PZPR lecz przez radziecki wydział polityczny przy Naczelnym Dowództwie na Zachodnim Teatrze Działań Wojennych.

Rola narodowego dowództwa PRL ograniczona będzie wyłącznie do funkcji wszechstronnego zaopatrzenia walczących pod radzieckim dowództwem wojsk polskich, szkolenia rezerw oraz uzupełnienia ludzkich i materialnych strat wojennych.

Wszystkie powyższe ustalenia, z uwagi na ich wyjątkowo drażliwy charakter, pokryte są najwyższą tajemnicą i nikt w Wojsku Polskim, poza ścisłym kierownictwem MON nie ma o nich zielonego pojęcia. Nawet dowódcy rodzajów sił zbrojnych i okręgów wojskowych znają tylko tę część postanowień, która ich bezpośrednio dotyczy.

W czasie pokoju radzieckie kierowanie siłami zbrojnymi i obronnością państw Układu Warszawskiego zamaskowane jest szyldem tak zwanego Zjednoczonego Dowództwa Zjednoczonych Sił Zbrojnych. Dowództwo to zorganizowane jest w taki sposób, że wszystkie stanowiska kierownicze od Naczelnego Dowódcy, Szefa Sztabu, zastępców Naczelnego Dowódcy do spraw Obrony Powietrznej, Lotnictwa, Flot, Techniki, Tyłów, poprzez wszystkie szczeble w dół, aż do szefa oddziału (wydziału) w Sztabie i Komitecie Technicznym Zjednoczonych Sił Zbrojnych obsadzone są wyłącznie przez kadrę radziecką. Oficerowie pozostałych armii Układu Warszawskiego — niezależnie od nazwy zajmowanych stanowisk — spełniają wyłącznie funkcje informacyjne i łącznikowe w odniesieniu do ich własnych armii narodowych.

W czasie pokoju radzieckie Zjednoczone Dowództwo ZSZ państw Układu Warszawskiego, będące faktycznie filią Sztabu

Generalnego Sił Zbrojnych ZSRR — przynajmniej oficjalnie — nie ma uprawnień tak wielkich, jak w czasie zagrożenia i wojny.

Z pewnymi, zresztą dość istotnymi wyjątkami, które odnoszą się do wojsk Obrony Powietrznej Kraju oraz systemu przedstawiania sił zbrojnych PRL ze stanu pokojowego na wojenny — dowództwo to nie ma żadnych formalnych praw do kierowania lub dowodzenia Wojskiem Polskim ponad głową ministra Obrony Narodowej lub szefa Sztabu Generalnego. Wszelkie dyrektywy, rozkazy czy też rekomendacje Naczelnego Dowódcy ZSZ mogą być kierowane wyłącznie do ministra Obrony Narodowej lub szefa Sztabu Generalnego WP, i dopiero po odpowiednim ich przerobieniu w ministerstwie Obrony Narodowej kierowane są w dół pod firmą Ministerstwa Obrony Narodowej PRL. Z reguły projekty dyrektyw i rozkazów kierowanych do WP jeszcze przed podpisaniem przez Naczelnego Dowódcę ZSZ uzgadniane są z ministrem Obrony Narodowej PRL, który może je przyjąć bez zastrzeżeń, może zgłosić propozycje zmian lub nawet wręcz odrzucić. W ważniejszych sprawach, na wniosek ministra Obrony Narodowej, decyzje podejmuje premier rządu i I sekretarz KC PZPR. Jednakże od chwili, gdy gen. Jaruzelski został ministrem Obrony Narodowej, w sferze polityki i rozwiązań militarnych Rosjanie nigdy nie mieli kłopotów z Polską. W latach 1968-1981 otrzymywali wszystko co chcieli bez potrzeby sięgania ponad głowę polskiego narodowego dowództwa. Na początku lat osiemdziesiątych kontrolowali już właściwie wszystko, co było związane z obronnością PRL oraz funkcjonowaniem jej sił zbrojnych.

Moskwa określa np. w cyklach wieloletnich stan liczebny Wojska Polskiego na czas pokoju i wojny, jego struktury organizacyjne, uzbrojenie i wyposażenie, stan gotowości bojowej i mobilizacyjnej, kierunki szkolenia, zadania i plany użycia w czasie wojny itd., itp.

Z przyjętych w tym względzie zobowiązań ministerstwo Obrony Narodowej PRL rozliczane jest przez radzieckie dowództwo dwukrotnie w ciągu roku. Istnieje podwójny system sprawozdań. Jedne sprawozdania do Moskwy przesyła ministerstwo Obrony Narodowej, a drugie identyczne w formie i treści, lecz oparte na radzieckich narodowych źródłach — radzieckie Przedstawicielstwo Naczelnego Dowódcy ZSZ przy WP. Moskwa analizuje te sprawozdania, porównuje je z wszelkimi odchyleniami przyjętych zobowiązań, niewykonania planów lub tylko niedokładności polskiej wersji sprawozdań, trzeba się gęsto tłumaczyć.

Są nawet takie paradoksy, że stan liczebny Wojska Polskiego, który Polska zgłosiła w czasie rokowań wiedeńskich (oczywiście niezgodny z prawdą) określony został przez Sztab Generalny Sił Zbrojnych ZSRR w Moskwie. Ponieważ nieprawdziwe

dane komplikowały negocjacje w Wiedniu w roku 1980, Sztab Generalny WP zamierzał je nieco przybliżyć do rzeczywistych. Towarzystwem właśnie gen. Siwickiemu w jego zabiegach w tej sprawie w Moskwie i byłem osobistym świadkiem kiedy dwugwiazdkowy radziecki generał Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych ZSRR powiedział memu szefowi Sztabu Generalnego WP *niezja*, po czym wręczył nam gotową kartkę z danymi, którymi mogliśmy operować w negocjacjach z Zachodem.

Na podstawie przyjętych przez PRL zobowiązań Sztab Generalny musi uzgadniać z radzieckim dowództwem między innymi pokojową dyslokację jednostek Wojska Polskiego.

Rosjanie mają zagwarantowane prawo prowadzenia inspekcji i kontroli jednostek Wojska Polskiego. Brak konkretnych ustaleń co mogą oni kontrolować, a czego nie, prowadzi np. do takiej sytuacji, jaka miała miejsce na początku lutego 1981 roku, kiedy pod pretekstem kontroli przygotowania Wojska Polskiego do ćwiczeń „Sojuz 81”, radzieccy generałowie ze Zjednoczonego Dowództwa sprawdzali w istocie gotowość różnych szczebli i jednostek polskich do konfrontacji z „Solidarnością”.

Pytał Pan, czy generał Jaruzelski ma możliwość przeciwstawienia się decyzjom dowództwa Paktu Warszawskiego, albo poddawania pod dyskusję sowieckie decyzje? Domyślam się, że chodzi Panu o możliwość przeciwstawienia się takim decyzjom jak np. inwazja Polski, czy też jakakolwiek inna forma ingerencji tych państw w wewnętrzne sprawy Polski. Gdyby Pan to samo pytanie sformułował bezimiennie, odniósł np. do przywódcy państwa członkowskiego Układu, nie byłoby kłopotów z odpowiedzią. Odpowiedziałbym bez wahania tak, ponieważ Układ Warszawski nie daje żadnemu państwu członkowskiemu czy grupie państw Układu Warszawskiego formalnego prawa do mieszania się w wewnętrzne sprawy innego państwa członkowskiego, nie mówiąc już o zbrojnej interwencji. Kto tej zasady broni, może się do niej odwoływać. Ja znam przypadki, kiedy w sprawach o najwyższym znaczeniu dla ZSRR, Socjalistyczna Republika Rumunii mówiła nie i nic jej się z tego powodu nie stało. Jeden z nich miał np. miejsce na posiedzeniu Doradczego Komitetu Politycznego, które odbywało się w Moskwie w dniu 23 listopada 1978 roku. Otóż na tym posiedzeniu strona rumuńska nie chciała się zgodzić na uchwałę, która zawierała generalne postanowienie o uznaniu Najwyższego Naczelnego Dowództwa Sił Zbrojnych ZSRR za jedynego dowództwo sił Układu Warszawskiego na czas wojny. Kiedy wierni sojusznicy ZSRR zaczęli za to atakować Rumunię prezydent Ceausescu wstał od stołu obrad i wraz z całą swą delegacją rumuńską opuścił Moskwę. Radziecka presja na Rumunię trwała jeszcze cały rok 1979 ale w końcu Moskwa musiała się cofnąć. Prezydent Ceausescu chce być lojalnym sojusznikiem

Związku Radzieckiego, ale nie jego poddanym. Jego kraj nie uczestniczył w inwazji Czechosłowacji oraz nie podpisał, jak już wspominałem — żadnych porozumień, które poddawałyby w wątpliwość suwerenny status Socjalistycznej Republiki Rumunii.

Sytuacja gen. Jaruzelskiego — który w przeszłości udzielił czynnego poparcia Związkowi Radzieckiemu w jego inwazji Czechosłowacji, a więc uznał *de facto* prawo ingerencji Układu Warszawskiego w wewnętrzne sprawy państw członkowskich oraz tak dalece uzależnił obronność Polski od Związku Radzieckiego — jest zupełnie inna i dlatego trudno mi jest wyobrazić sobie okoliczności, w których — nawet gdyby bardzo pragnął — mógłby Rosjanom powiedzieć stanowczo NIE.

K.: — *Jak wiadomo, są tacy ludzie i w Polsce i za granicą, którzy dopatrują się w generale Jaruzelskim jakiegoś Konrada Wallenroda, który kierując się względami patriotycznymi uratował kraj przed katastrofą. Jak Pan to widzi?*

R.J.K.: — Ja widziałem i widzę to nadal, że w Polsce była realna szansa uniknięcia i radzieckiej interwencji i stanu wojennego. Na początku kryzysu generał Jaruzelski nie sprawował najwyższej funkcji w państwie. Tym nie mniej od sierpnia roku 1980 jego głos ważył najwięcej. Gdyby wspólnie ze Stanisławem Kanią znaleźli w sobie więcej godności i siły, gdyby nie okazywali uległości wobec Moskwy, lecz stanęli uczciwie na gruncie zawartych umów społecznych, Polska prawdopodobnie wyglądałaby dziś zupełnie inaczej.

## Dziennik pisany nocą

Neapol, 5 lutego 1987

Oto przykład tzw. „historycznej rekonstrukcji wypadków” — sumiennej, w miarę możliwości drobiazgowej, popartej dokumentami z archiwów i martwej, zupełnie martwej. Brak — woła archiwalny szperacz — jakichkolwiek dowodów i świadectw! Naturalnie ma rację. Ale...

Baron di Morra, właściciel majątku Favale w Lukanii, opowiedziawszy się po stronie Francuzów przeciw Hiszpanom, musiał w roku 1528 uciec z Królestwa Neapolu do Francji. Na zamku w Favale została rodzina, między innymi dwudziestopięcioletnia córka barona Isabella i jego trzej synowie Cesare, Fabio, Decio. Isabella di Morra była poetką, marzyła o wydobyciu się z nudy i izolacji domowego więzienia; w wierszach szukała zapomnienia i pociechy. Poetą był również Diego Sandoval de Castro, dowódca hiszpańskiej twierdzy w Taranto, właściciel (przez włoską żonę) niezbyt odległego majątku Bollita. Pewnego dnia preceptor na zamku w Favale wręczył ukradkiem Isabelli list; zawierał wiersze Diega. Trzem braciom, którzy ją na tym przyłapali, Isabella przysięgała że jest w korespondencji z żoną Hiszpana. Nie uwierzyli, zasztyletowali najpierw preceptora, potem siostrę. Nie lepszy los oczekiwał Diega: trzej bracia urządzili na niego zasadzkę i zabili go z ukrycia. Ścigani z rozkazu wicekróla za potrójny mord, zbiegli do Francji. Tam jeden z nich, Decio, wstąpił do klasztoru i został nawet opatem.

Z tego wszystkiego do rąk archiwalnego szperacza dotarły raporty śledcze i sentymentalne wiersze Isabelli (nie zachowały się wiersze Diega). Nie wiadomo, czy poetka widziała kiedykolwiek poetę, czy też romans (jeżeli był to w ogóle romans) ogra-

niczył się do wzajemnych westchnień lirycznych. „Rekonstrukcja wypadków” otwiera pole do popisu literackiej wyobraźni. Podobno była we Francji próba nowelistycznego wykorzystania dramatu, nie wiem jednak czyja i na jakim oparta pomyśle czy jakiej posłuszna intuicji. Banalne byłoby zrobienie z Isabelli i Diega pary potajemnych i wykrytych nagle kochanków. Jeszcze banalniesze sprowadzenie mordu do roli prewencyjnego aktu w obronie zagrożonego honoru. Moja intuicja podszeptuje mi, że w centrum dramatu znajdował się Decio, brat Isabelli, zakochany w siostrze grzeszną miłością; i że to on, pod fałszywymi pozorami, namówił dwóch pozostałych braci do zbrodni. Opowiadaniu o śmierci obojga poetów i ich łącznika nadałbym tytuł *Spowiedź starego opata*. Byłby to niezły przykład tzw. „literackiej rekonstrukcji wypadków”.

8 lutego

Malarz i pisarz Alberto Savinio, brat sławnego De Chirico, postanowił ułożyć na osobisty użytek własną *Nową Encyklopedię* „niezadowolony z istniejących encyklopedii, podobnie jak Schopenhauer napisał na osobisty użytek własną historię filozofii niezadowolony z istniejących historii filozofii”.

Hasło „fanatyzm” brzmi w *Nowej Encyklopedii* Savinio tak: „26 października 1786 Goethe przyjechał pierwszy raz do Asyżu, kazał sobie pokazać świątynię Minerwy zbudowaną w czasach Augusta i doskonale wciąż zachowaną, długo ją podziwiał i również długo tegoż dnia wieczorem opisywał w swoim dzienniku, nazajutrz zaś ruszył do Foligno nie postawisz nogi w Bazylice Świętego Franciszka. Goethe, jak wiemy, nie znosił wszelkich form fanatyzmu i dlatego miał niechętny stosunek do religii i kultów religijnych. Ale czy nie jest to także forma fanatyzmu — fanatyzmu odwróconego?”

Po wojnie znaczna część inteligencji polskiej uprawiała taki „fanatyzm odwrócony” w imię programowego odrzucenia *sacrum* na rzecz wyłączności *profanum*. Andrzej Kijowski opowiada w *Tropach*, jak w położonym blisko jego domu krakowskim kościele Świętego Floriana zaczął wygłaszać niedzielne kazania nowy, młody ksiądz Wojtyła. „Chodziłem na te kazania w sekrecie przed otoczeniem, przed którym manifestowałem mój antyklerykalizm i ateizm... Któregoś dnia minęliśmy się przed domem. Było zimno, szliśmy obaj skuleni, z rękami w kieszeniach. Ja miałem dwadzieścia dwa lata, on trzydzieści. Więcej niż chciałem wiedział o mnie od mojej matki, która odbywała z nim długie rozmowy, głównie na mój temat. Zobaczywszy mnie, zwolnił kroku, prawie przystanął i patrzył. Czekał. Minąłem go, ociera-

jąc się prawie o ramię bez słowa, bez gestu, albowiem na plecach moich siedział diabeł pychy. Wcisnąłem ręce głębiej w kieszenie i wytrzymałem jasny, pytający wzrok. Było mi gorąco, jakbym przez ogień przelazł”.

*Tropy* są pośmiertną książką znakomitego pisarza, który wyzwolił się całkowicie z „fanatyzmu odwróconego”. Najczęściej występuje w niej słowo *sacrum*, słowo-kotwica, wielbione obecnie i spazmatycznie powtarzane przez wielu tych, co przebyli taką samą jak Kijowski drogę. Dawna wyłączność *profanum* przeistoczyła się w nową wyłączność *sacrum*. Czy „diabeł pychy” zastąpił „anioł pokory”? Trudno być tego pewnym, bo zdradliwa, najeżona niebezpieczeństwami jest każda wyłączność. Chroni przed nią tylko duchowy i intelektualny wysiłek trwania „po-między”.

13 lutego

Można mój zapis o tajemnicy śmierci Isabelli di Morra potraktować jako delikatną parodię narodzin „pomysłu literackiego” (który nie będzie nigdy zrealizowany). I od „pomysłu literackiego” przejść do refleksji o różnicach między „literaturą” i „pisarstwem”. Cechą — nie jedyną oczywiście — „literatury” jest sztuczność zamknięta w obrębie lepszego czy gorszego „warsztatu”. Podczas gdy „pisarstwo” powstaje z impulsu, który pisarzem naprawdę owłada i mało liczy się z wymogami i regulacjami „warsztatowymi”. Literat z góry rozplanowuje, po czym swój plan stylistycznie wykonuje, nie dając się wciągnąć przez niemożliwą do przewidzenia autonomię wewnętrzną opisywanych zdarzeń i ludzi. Pisarz natomiast pozwala się „nieść” i bywa często sam zaskakiwany przygodami i meandrami swego pióra.

André Gide powinien być obwołany mistrzem i patronem literatów. W każdej jego powieści czy opowieści plan prześwieca przez ukończone dzieło. Czytelnikowi pozostaje satysfakcja (wątpliwa) kontroli wykonania stylistycznego. Doskonale „zrobione”, trochę gorzej, niezłe — w każdym z tych wypadków ocenia się „robotę”, „warsztat”, godząc się *volens volens* na zięjący z nich chłód dążenia do perfekcjonizmu. Dla ilustracji *La Porte étroite*, cerebralna i sztuczna polemika narracyjna z werselem ewangelicznym Świętego Łukasza. Nie ma w tej opowieści ani jednej żywej postaci, ani jednej sceny wywołującej autentyczną emocję, abstrakcyjny „pomysł literacki” ucieczki z ziemskości w świętość obfituje w niedorzeczności psychologiczne i porażony jest niedowładem zwykłej ludzkiej wrażliwości. Sam Gide nie mógł tego nie dostrzec ale (jak wynika z jego dziennika) męczyło go tylko pytanie: w ramach mojego „planu” zbliżyłem się już do arcy-

dzieła, czy jeszcze nie? W dzienniku zanotowany jest wynik ostateczny, po przeczytaniu wydrukowanego egzemplarza: „Książka uderza mnie teraz jako nugat, w którym migdały są dobre (listy i dziennik Alissy), ale otaczająca je masa jest ciastowata i rozlaża; inaczej być nie mogło przy użyciu formy opowiadania w pierwszej osobie, gdzie mój sflaczały Jérôme musiał spowodować sflaczenie prozy. A zatem, wzięwszy wszystko w rachubę, uważam książkę za dobrze zrobioną. Ale jakże się palę do napisania czegoś odmiennego! Upłynie dziesięć lat, zanim użyję znowu słów: *miłość, serce, dusza*, etc.”. Takie ślubowanie, w którym literat obiecuje sobie wyeliminować na jakiś czas ze swego „warsztatu” sfatygowane „narzędzia”, nie przyszłoby nigdy do głowy pisarzowi.

18 lutego

Czekanie na Dialog przybiera coraz bardziej charakter Czekania na Godota. I pogłębia z każdym dniem paraliż psychologiczny (nie mówiąc o politycznym) opozycji.

Pokazano mi transkrypcję programu w piątym kanale telewizji włoskiej z okazji wizyty Jaruzelskiego w Rzymie. Wałęsa, Geremek, Michnik odpowiadają na pytania autora programu. Rzecz prosi się o reasumpcję w stylu „Zielonej gęsi” Gałczyńskiego. Dialogu, Dialogu, do ciebie uciekamy się w potrzebie. Dialog (milczy). Z trzech odpowiadających najdalej posuwa się Michnik: „Mam nadzieję, że nasz generał Jaruzelski potrafi naśladować Gorbaczowa, i tak jak Gorbaczow zatelefonował do Sacharowa, chciałbym aby on zatelefonował do Wałęsy. Albowiem ten telefon, może bardziej jeszcze niż zwolnienie Sacharowa, jest pewnym symbolem, początkiem drogi, która zaprowadzi być może od komunizmu totalitarnego do form demokratycznych”. Telefonie, Telefonie, do ciebie wzdychamy z rozterce. Telefon (milczy). Dlaczego milczy? Sekret wyjaśnia w tymże programie telewizyjnym Rakowski, na pytanie wprost jego autora: „Jest różnica między Sacharowem i Wałęsą. Sacharow jest wielkim uczonym, który zajął krytyczne stanowisko wobec polityki Breżniewa. Wałęsa natomiast stał na czele organizacji, która naszym zdaniem stworzyła Polsce szereg różnych problemów. Wałęsa działa dalej w duchu, którego nie możemy zaakceptować”.

Dopóki „działa w duchu nie do zaakceptowania” dla władzy, Dialog i Telefon nie przerwą milczenia. Gdy (i jeśli) przestanie działać, Dialog i Telefon stracą wszelkie znaczenie, nawet „pewnego symbolu”. Takie to trudne do zrozumienia dla człowieka o inteligencji i przenikliwości Michnika?



20 lutego

Wiersz nie wiersz Miłosza 1912. *Tytanik*, raczej ćwiczenie kaznodziejskie. „Moim zdaniem (cytuje Miłosz na wstępie jednego z uratowanych pasażerów *Tytanika*) świat dzisiejszy przebudził się 15 kwietnia 1912”. Doprawdy? Miłosz zestawia krótką listę „wypadków-katastrof”, wcześniejszych lecz zdawałoby się świeżych jeszcze w pamięci, gdyby pamięć ludzka umiała i chciała dłużej je przechowywać. Popełnia jednak błąd, włączając do „wypadków-katastrof” trzęsienia ziemi i powódzie, tzw. „kłęski żywiołowe” czy „kataklizmy”, które miały zawsze i zachowały w jakimś stopniu jeszcze dziś posmak „dopustu i bicza Bożego” lub (dla niewierzących) „okrutnego wybryku Natury”. Wolter „oburzał się” na trzęsienie ziemi w Lizbonie w 1755 roku. O „oburzeniu” Woltera mówi w *Czarodziejskiej górze* Settembrini do zdziwionego Castorpa. „Tak jest — nalega Settembrini, — nie godził się na ten brutalny fakt i na fatum, nie chciał przed nimi kapitulować. W imię ducha i rozumu zaprotestował przeciw temu skandalicznemu wybrykowi Natury, którzy zburzył trzy czwarte kwitnącego miasta i zabił tysiące ludzi”. Settembrini reprezentuje „stanowisko humanistyczne”, wrogie „hipokryzji chrześcijaństwa”, domaga się dla ducha śladem Woltera „prawa do krytykowania Natury i jej złej, przeciwnej rozumowi, potęgi; bo jest ona potęgą, a trzeba być niewolnikiem, aby poddawać się potędze, godzić się na nią wewnętrznie”. Słowem, trzęsienia ziemi powinny być ujarzmione przez rozum ludzki, wyzute z irracjonalnych cech fatum.

„Wypadki-katastrofy” typu zatonięcia *Tytanika* bliższe są filozofii Kubusia Fatalisty z powiastki Diderota. Roztropny Kubuś, dla którego „wszystko jest zapisane w górze”, odpowiada pośrednio Settembriniemu: „Rachunek w naszych głowach, a ten co zapisany jest w rejestrach w górze, to dwie bardzo różne rzeczy. Czy my kierujemy losem, czy też los kieruje nami?”. I właściwie, jeśli się dobrze zastanowić, podobne tony — choć z mocą dzwonów — rozbrzmiewają w zakończeniu wiersza Miłosza: „*Tytanik*, koniec ery? Czy dlatego, że nie ma już poczucia bezpieczeństwa? Że nic nas nie chroni?... A czy kiedykolwiek coś chroniło? Bezimienna i bezlitosna, czy mogła być odwrócona fatalność?”

Ale w wypadku *Tytanika* nie było tylko, po kubusiuwemu, „zapisane w górze”. Było także „zapisane w dole”. Dowiaduję się, że w roku 1898, czternaście lat przed katastrofą *Tytanika*, wyszła w Ameryce powieść Normana Robertsona o zatonięciu okrętu *Tytan* dokładnie tej wielkości co *Tytanik* (największy

okręt od początku świata) i dokładnie w takich samych okolicznościach. Ponieważ tej powieści nie czytałem, nie mogę wdawać się w szczegóły, przypuszczam jednak że była nie tyle okazem telepatycznego profetyzmu literackiego, co ostrzeżeniem przed pędem do gigantyzmu tworców rąk ludzkich. Do poczucia fatalności i kruchości świata w obliczu Boga lub Natury dodać więc należy fatalność i kruchość olbrzymich (tytanicznych!) konstrukcji człowieka. W tym sensie miał słuszność uratowany pasażer *Tytanika*, że „świat dzisiejszy przebudził się 15 kwietnia 1912”.

W moim dzienniku z roku 1972 odnotowałem książkę uczonego włoskiego Roberto Vacca, specjalisty w dziedzinie elektroniki, *Il Medioevo prossimo venturo*. „Wizja Średniowiecza (pisałem) jako najbliższej przyszłości ma w niej charakter scenariusza apokaliptycznego o niezwykle wiarygodności”. Banalny stosunkowo wypadek w Ameryce powoduje reakcję łańcuchową, proces rozpruwania się Systemu Kolosalnego. Książka miała podtytuł: *Degradacja Systemów Kolosalnych*. Vacca proponował, w obliczu niewesołej perspektywy bliskiego Średniowiecza, zakładanie już teraz małych wspólnot klasztornych, zdolnych przeprowadzić resztki ludzkości do lepszych dni nowego Renesansu. Współczesny Kubuś Fatalista wytłumaczyłby współczesnemu Wolterowi, że owe wspólnoty klasztorne są już jak wszystko „zapisane w górze”, skoro wciąż nie wiadomo „czy my kierujemy losem, czy też los kieruje nami”.

1 marca

— Bywają w życiu zdarzenia jak gdyby gotowe do wiernej, „dosłownej” transpozycji narracyjnej. Ale często staje coś temu na przeszkodzie. Którego z wielkich pisarzy skarżył się na „kłopoty z prawdopodobieństwem”: zdarzenie prawdziwe, zaczerpnięte z życia, wydaje się, paradoksalnie, mało prawdopodobne w opowiadaniu. To znowu jakieś zdarzenie związane jest nierozzerwalnie z trudną do przekazania atmosferą, bez niej traci w dużym stopniu swój wyraz. Albo też przypomina zanadto rzecz zrodzoną już kiedyś w czyjejs wyobraźni i utrwaloną w druku.

— W twoim wypadku?

— W moim wypadku... Kilkakrotnie próbowałem nadać kształt nowelistyczny temu, co ci teraz opowiem ot tak, w formie prostej i skrótowej relacji, nie siląc się na efekty pisarskie. Przeszkadzały mi pewne analogie literackie, zobaczysz jakie, ale przede wszystkim nie mogłem sobie dać rady z oddaniem atmosfery Londynu. Mieszkałem tam pięć lat, wspominam Londyn — eufemistycznie mówiąc — z niechęcią, niekiedy nawet jak zły sen, lecz wyrazić tego nie potrafię. Był i do dziś pozostał

dla mnie czymś tak obcym, że zdarza mi się wątpić, czy tam w ogóle mieszkałem. I tego właśnie nie umiem uchwycić, atmosfery mojego londyńskiego bycia i nie bycia.

— A więc było to...

— Było to pod koniec mojego pobytu w Londynie, moge nawet określić kiedy z kalendarzową dokładnością. 10 czerwca 1952 wróciłem do Londynu z Burmy. W Domu Pisarza, gdzie mieszkałem, powiedziano mi że poprzedniego dnia zatelefonował jakiś Anglik w poszukiwaniu nauczyciela języka polskiego. Każdy zarobek był dla mnie wtedy ważny, toteż bez namysłu pojechałem pod wskazany adres na Camden Town. Pamiętam jeszcze nazwę ulicy, wołę ją jednak przemilczeć. Była długa, zabudowana okropnymi, zaniedbanymi domami jednopiętrowymi z rachitycznymi ogródkami, prowadziła na dzielnicowy cmentarz. Odnalazłem właściwy numer, niedaleko już cmentarza (widać było u wylotu ulicy niski mur i za nim las nagrobków); w pierwszej chwili zdawało mi się, że zaszła omyłka: nad drzwiami wejściowymi wisiał szyld zakładu pogrzebowego. Zdecydowałem się jednak wejść. Wąskim korytarzem obok odgrodzonego szybą i pustego biura przecisnąłem się do ciężkiej zasłony z plandeki. Gdy ją odchyliłem, wtrąciła mnie jakby do dużego, jaskrawo neonem oświetlonego pokoju. Pośrodku stała na katafalku trumna bez pokrywy, leżał w niej czarno ubrany mężczyzna ze splecionymi na piersiach dłońmi. Po obu jej stronach siedziały na krzesłach dwie kobiety w żałobie z bukietkami kwiatów w rękach. Chciałem się wycofać, lecz usłyszałem nagle ruch w nie od razu widocznym kącie pokoju: z krzesła zerwał się czarno ubrany mężczyzna, bardzo podobny do nieboszczyka w trumnie. Podobny nie w tym sensie, że mógłbyś go wziąć za krewniaka zmarłego; podobny w tzw. „grobowym” wyrazie twarzy, nieokreślonym, stępałym, o oczach prawie całkowicie zasłoniętych powiekami, w ciemnych obwódkach na kredowo białej skórze. Przeprószył zdziwione kobiety, ujął mnie pod rękę i wyprowadził z pokoju. Z oszklonego biura wewnętrzne schody prowadziły na piętro. Tam mieszkał mój przyszły uczeń, nazwijmy go Nobody.

— Do czego londyńskiemu przedsiębiorcy pogrzebowemu potrzebna była znajomość polskiego?

— Właśnie. Ale najpierw opiszę ci pokój w którym mieszkał, bo zdębiałem na jego widok. Był tej wielkości co pokój przedpogrzebowy na parterze. Na czterech ścianach wisiały lalki — tak, lalki! — różnych rozmiarów, lecz bez wyjątku naturalnych ludzkich. Mężczyźni i kobiety w różnym wieku, różnego wzrostu, w różnych ubraniach. I co rzucało się natychmiast w oczy, przyprowadzając o lekki dreszcz, to przestrzegana w sztucznych figurach imitacja osób ni to żywych ni umarłych. Maski z celuloidu

czy plastyku, posępne, pokurczone, galeria wisielców na minutę przed opuszczeniem zapadni szubienicy. Przemknęła mi przez głowę myśl, że mam do czynienia z obłąkanym maniakiem. Zachowywał się jednak ze zbytnią powagą — rzeczową, surową trochę i powściągliwą — by takie podejrzenie mogło się utrzymać. Więcej, zdawał się nie dostrzegać w ogóle mojego zdumienia. W milczeniu zrobił herbatę, usiadł naprzeciw mnie za stołem, spokojnym głosem, dziwnie bezbarwnym i oleistym, przedstawił warunki: trzy lekcje w tygodniu od piątej do szóstej, dwa funty za godzinę. Nie patrzył na mnie mówiąc, jakby umyślnie unikał mojego wzroku. Patrzył przez okno, na jednakowe domy po drugiej stronie ulicy, o tej porze (było późne popołudnie) zmartwiały wzdłuż pustego chodnika. *I want to learn quickly Polish*, powiedział usłyszawszy moją zgodę na warunki, *very quickly*, powtórzył z naciskiem. I wtedy spojrzał mi dłużej w oczy. Używa się wyświechtanego określenia „bezbreżny smutek”, ale zobaczyłem co to znaczy, gdy uniósł nieco powieki: w głębi jego oczu nie było naprawdę brzegu, odsłaniały jałową próżnię. Uprzytomniłem sobie naraz, że nie umiałbym w przybliżeniu nawet powiedzieć, ile ma lat. Czterdzieści? Sześćdziesiąt?

— „Chcę się szybko nauczyć polskiego”. To było wszystko?

— Tak. Parę razy usiłowałem go wybać okrężnymi aluzjami po co. Udawał że nie słyszy, o tym zaś że słyszał świadczyła nerwowa drgawka w kącikach ust. Dałem w końcu za wygraną. Ostatecznie zależało mi na zarobku, jakież więc znaczenie miał rzeczywisty i zatajony cel tych absurdalnych lekcji? A były absurdalne, od samego początku zawisł nad nimi rosnący nieustannie absurd. Niepodobieństwem było zabrać się do nich w sposób systematyczny, szkolny, gdyż uczeń nie miał żadnego chyba wykształcenia poza elementarnym. Moje nauczanie zatem oznaczało w praktyce wbijanie mu do głowy i wpychanie do gardła polskich słówek i krótkich zdań, wystawiając go na nieopisane katusze wymowy. Niekiedy stawały mu w oczach łzy, tak nie licujące z jego twarzą. Wpatrywał się wówczas z większym jeszcze nateżeniem w domy po drugiej stronie ulicy, byle tylko nie napotkać przelotnie choćby mojego wzroku. Uczucie absurdu, z domieszką groteski, podsycał dodatkowo wygląd pokoju obwieszzonego lalkami. Mimo to lekcje odbywały się dalej. Nie rezygnowałem ja, przytrzymywany dobrą zapłatą. Nie rezygnował on, uwięziony w nieodgadnionym mirażu. Któregoś dnia, obserwując go patrzącego przez okno w przerwach między zakrzuszonymi, chrypliwymi dukaniem, uświadomiłem sobie nagle jaka majaczyła mi się niewyraźnie w myślach reminiscencja literacka. Bartleby! Ależ tak, Bartleby, bohater opowiadania Melville'a, przykuty spojrzeniem do muru skryba, niegdyś zatrudniony w urzędzie pocztowym *Dead Letters*, listów niedo-

rażonych z powodu śmierci adresatów. I ten okrzyk końcowy Melville'a: *Ab Bartleby! Ab humanity!* Od tej chwili poczułem przypływ sympatii, czułości niemal do mojego Nobody. I absurd naszych lekcji stał się ni stąd ni zowąd mniej absurdalny. Niebawem zresztą miałem się o nich dowiedzieć czegoś więcej...

— A jednak!

— Czegoś więcej, lecz nie wszystkiego. Były pierwsze dni sierpnia, duszny upał opadł na Londyn, ludzie poruszali się jak w mazi. Wracalem z lekcji do stacji kolejki podziemnej Camden Town. Męczyło mnie pragnienie, wstąpiłem na piwo do małego pubu koło stacji. Ledwie odwróciłem się od kontuaru w stronę „salonu” z kuflem piwa w ręce, zauważyłem samotnego człowieka przy stoliku w rogu obok drzwi. Siedział skulony, z opuszczoną głową. Gdy ją podniósł, poznałem go natychmiast. Nie trudno było poznać, nawet po tylu latach, Gajowego z dużej celi w więzieniu witebskim: miał zajęczą wargę i skazę w prawym oku. Ale on mnie nie poznał, chociaż prześliznął się po mnie mętnym, zmęczonym spojrzeniem. Mógł mnie nie poznać, latem 1940 stłoczono przecież w witebskiej celi dwustu z górą więźniów, przeważnie Polaków. Należał do „grupy nowogródzkiej”, złożonej z bardzo młodych ludzi, był w niej najstarszy wiekiem; mówiono o nim Gajowy, jakkolwiek nazywał się inaczej. Cała grupa była osadzona i skazana za „antysowiecką konspirację”, jak wszyscy w celi czekała na wysyłkę do łagrów. Nikt w niej nie odzywał się do Gajowego ani słowem, ciążył na nim zarzut „sypania” w śledztwie. Zarzut formułowany ogólnikowo, mgliście, ale w sowieckim więzieniu owych czasów najzupełniej wystarczający. Nowogródzianie zarazili swym oskarżeniem celę, dwustu więźniów bojkotowało Gajowego. Mimo że byliśmy w celi ubici jak śledzie w beczce, „zdrajca” leżał w pewnej odległości od innych na barłogu pod okiennym murem. W jego zachowaniu było coś z osaczonego zwierzęcia, nie panował nad ciągłym popłochem, nocami wiercił się i miotał na legowisku, bał się jak sądzę, że go we śnie zatłuką. Miewałem czasem pokusę odezwania się do niego, zbyt słabą jednak w stosunku do siły celi. Nic o jego późniejszych losach nie wiem, wywołano mnie na „etap” przed ruszeniem „nowogródzkiej grupy”. Zapewne przeszedł przez łagry, wstąpił po „amnestii” do wojska i wylądował w Anglii. Być może, pamięć o oskarżeniu kazała mu wieść (z powodzeniem) żywot cienia, zarówno w wojsku jak w wojnie w Londynie. Aż do spotkania w pubie na Camden Town... Powiesz: zbieg okoliczności. Nie ma, według mnie, „zbiegów okoliczności”. Istnieje ukryty przed nami, zawiły deseń losu, którego rąbek odsłania się nam niekiedy w postaci „zbiegu okoliczności”. Posłuchaj jaki był dalszy ciąg spotkania w pubie. Gajowy siedział sam i popijał piwo, rzadko któryś ze stałych

pewnie bywalców pubu podchodził do niego, poklepywał go po ramieniu ze słowami *How are you, Stan* i zaraz odskakiwał gdzie indziej, nie licząc widocznie na pijacką pogawędkę. Gajowy nie reagował nawet na to konwencjonalne pozdrowienie. Siedział nieporuszony, ze wzrokiem albo utopionym w kufle, albo utkwionym w podłodze pod stolikiem. Postanowiłem, nie wiem dlaczego, może tknięty przecuciem, poczekać na jego wyjście z pubu. Wyszedł około ósmej. Ochłodziło się trochę, na głównej ulicy Camden Town było rojno i gwarno. Nie chcę cię zanudzać rozwlekłym opisem. Jak zapałony nurek bez przerwy skacze do wody, tak Gajowy z niesamowitym zapałem, ożywiony i podniecony, nurkował w tłumie, rzucał się wszędzie tam, gdzie powstawało większe zbiegowisko. Nie dość jest chwalony *The Man of the Crowd* Edgara Allana Poe, opowiadanie o samotnym człowieku, który od zmierzchu do późnej nocy przemierza Londyn w gorączkowym poszukiwaniu tłumu, bądź jego topniejących powoli resztek.

— Pamiętam to przejmujące opowiadanie. Poprzedza je motto z *La Bruyère: Ce grand malheur, de ne pouvoir être seul.*

— Względnie łatwe było niepostrzeżone śledzenie Gajowego na głównej ulicy Camden Town. Większej ostrożności wymagało niespuszczanie go z oka, gdy wszedł w boczne ulice. Tam tłum przerzedził się gwałtownie, musiałem więc iść za nim w przyzwoitej odległości po przeciwnej stronie, w przyćmionym odbłasku żółto-zielonych latarni. Skręcił wreszcie w ulicę wiodącą na cmentarz. Zatrzymał się przed zakładem pogrzebowym, gdzie tylko na parterze paliło się jeszcze światło. Po jego wejściu zgasło niebawem i zapaliło się na piętrze. Zdążyłem zobaczyć w oknie tych dwóch, jak okrążali pokój gestykulując. Potem Nobody zaciągnął firanki.

— Koniec pieśni?

— Koniec. Przypuszczalnie nie uszło jednak uwadze Gajowego, że jego cieniowi towarzyszy inny nieznamy cień, przypuszczalnie ocknęła się w nim uśpiona podejrzliwość, bo nazajutrz rano zatelefonował do mnie Nobody. „Nieoczekiwane kłopoty finansowe” zmuszały go do bezterminowego przerwania lekcji.

— Od dawna już błąka mi się po głowie myśl, że z braku tzw. „mięsa narracyjnego” pisarze zaczną konstruować czy rekonstruować szkielety opowiadań.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

W trzecim — do cyrku. Lew nie chciał skakać przez płonącą obrycz.

W drugim — czytał gazety. Formy byłyby zabawne, gdyby nie ich treści i na odwrót.

W ostatnim dniu przed końcem świata Hrabia przygotował kanapki z jajkami na twardo, postawił krzesło na balkonie, owinał się w koc i usiadł, aby nie przegapić momentu, w którym świat się skończy. Miał nadzieję, że przynajmniej to zdarzenie, tak wyjątkowe, nie będzie pozbawione elementu rozrywki.

Nazajutrz świat trwał nadal.

Hrabia z ulgą zaprzestał usiłowań. Okazało się, że zabawa to nic pilnego.

Stawomir MROŻEK

## Pilna sprawa

„Bawmy się, bo nie wiadomo czy świat potrwa jeszcze dwa tygodnie” — powiedział Hrabia i nieomal kupił sobie lody.

Nieomal, ponieważ lodów zabrakło.

Wobec tego postanowił oddać się rozpuście. Lewą ręką ujął tę część aparatu telefonicznego, która niezbędna jest, aby owym aparatem się posłużyć, zaś prawą, przy pomocy palca wskazującego tejże, dokonał odpowiedniej czynności. Głos znajomej pani oznajmił, że jest zajęta. A był już trzynasty dzień przed końcem świata.

W dwunastym Hrabia kontemplował możliwość zmiany upodobań. Jednakże te nie poddały się pracy wyobraźni. Nieubłagany kaprys natury skazywał go na heteroseksualność.

Z równym brakiem powodzenia rozważał Hrabia uroki współzycia ze światem zwierząt, a później nawet roślin i materii nieożywionej — w dniu jedenastym.

Ponieważ konieczność zabawy rosła proporcjonalnie do czasu, który mijał, w dniu numer dziesięć Hrabia postanowił zabawić się w chowanego. Schował się, ale znaleziono go od razu przy pomocy Ewidencji Centralnej (*Central Intelligence Data*). Następne trzy dni spędził w areszcie śledczym, zanim udowodnił, że ukrył się tylko dla zabawy.

W dniu szóstym odpoczywał, co było zupełnie zrozumiałe.

W piątym wyszedł na miasto i odwiedzał znajomych, których błagał, aby mu opowiadali dowcipy. Nie wszystkie były zabawne, a te, które były — Hrabia znał je wszystkie, podobnie jak i tamte, należące do pierwszej kategorii. Bowiem nowych dowcipów już nie było.

W czwartym — na zabawę taneczną. Lecz miał za ciasne buty.

## LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Île, 75004 Paris, France.

Métro: Pont Marie.

Telefon: 43-26-51-09.

KSIAŻKI POLSKIE • KSIAŻKI FRANCUSKIE  
DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ •  
PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA  
FRANCUSKI.

KATALOGI BEZPŁATNE WYSYŁAMY NA KAŻDE  
ŻĄDANIE.

KSIAŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT

WSPÓLCZESNE MALARSTWO POLSKIE I OBCE W SĄSIEDNIEJ

GALERIE LAMBERT

Zapraszamy wszystkich przejeżdżających przez Paryż, by odwiedzili  
najpiękniejszą polską księgarnię i polską galerię na historycznej  
Wyspie Świętego Ludwika.

## PRZEMIJAJĄ KOBIETY

przemijają kobiety  
 topnieją śniegi  
 góry spelzają z mrokiem  
 gwiazdy matowe  
 noc jest pusta  
 dzień będzie, ale mógłby nie być  
 ptak kwili, ale mógłby nie być  
 rzeka płynie, ale mogła by nie pić  
 ze źródeł w górach  
  
 gdzie jesteście  
 dziewczęta  
 zakwitające przelotnie  
 królowe  
 matki pszczół  
 żony  
 kochanki dozgonne

Bogdan CZAYKOWSKI ..

Agnieszka OSIECKA

## MAREK HŁASKO

Rozcinał brzytwą świat z tektury,  
 Świat grzecznych uczniów i uczennic,  
 i brnął przez góry, chmury, bzdury  
 w świat pięknych ludzi z brzydkich dzielnic.

A uśmiech jego? Grymas raczej...  
 Wyznanie? Maską? Czy komentarz?  
 Przypis do nazbyt wielu znaczeń  
 Spiżowych słów zmienionych w cmentarz.

... Żył tu więc chłopiec  
 jak wędrująca gwiazda.  
 Calutkiej on Europie  
 pokazał mińę błazna.  
 Talentu nam zostawił  
 Zaledwie kruchy okruch  
 jak gdyby tu w Warszawie  
 ten talent ktoś mu otruł...

Wiersze

Bogdan CZAYKOWSKI

## ODWIEDZINY 1973

I nie wiedziałem którędy wrócić  
 żeby przez strome góry rzeki  
 jak lata długie czerwce lipce  
 wrócić do sierpnia mroźnych luty  
 tłum mówił  
 moim językiem ale nie moim  
 i to miasto  
 było mi obcobliskie jakby ze snu  
 nie poznał mnie żaden kamień  
 nie ten pył nie te drzewa nie te dzwony  
 moja ojczyzna była głębiej dalej  
 na kresach na ukrainie  
 gdzie piołun siwieje  
 gdzie mój mak się pali  
 gdzie moje koguty zarżnięte  
 drzewa siekierą wycięte  
 jabłoń bije o ziemię jabłkami  
 wiatr zapada na wiśniowe sady  
 i szelest ich języka  
 nie upajał mnie  
 ten język  
 był wielojęzyczny  
 w upał lipca w mroźny sierpień  
 byłem z nimi  
 garstkę ludzi pokochałem  
 tęskniąc gniewnie  
 do ojczyzny

Pamiętasz jak nam było wstyd?  
 On tułał się jak prosty Żyd.  
 On, co mógł chodzić w amarantach,  
 on, z pustą torbą emigranta  
 to tu, to tam wystawiał łeb...  
 Dajże mu wódki.  
 Daj na chleb...  
 Na plażach, gdzie dojrzewa krab,  
 w kraiku, co się trzyma map  
 jak mucha tarczy  
 zostawił garść najświętszych słów,  
 i to wystarczy.

Agnieszka OSIECKA

W związku ze wznowieniem *Pięknych dwudziestoletnich* Marka Hłaski drukujemy wiersz Agnieszki Osieckiej — bez jej wiedzy i zgody.

Joanna SALAMON

### JAK RODACY?

Jeśli wciąż należymy do Zachodniej Europy  
 to czemu te kobiety w chusteczkach na głowie,  
 Marokanki, Turczynki — żony gastarbeiterów  
 podobne są do kobiet z podkrakowskich wsi?  
 I czemu gdy spotkamy się na ulicy  
 uśmiechamy się do siebie jak rodacy?

Powietrze wokół nich już z dala jest znajome  
 i widać jak pulsuje kurczowo, jak wybuchowo drga  
 jakby się wymknęło z uciskanego miechu  
 albo spod pokrywki garnka z wrzątkiem.

I gdy zbliżamy się do siebie krok po kroku,  
 (na odległość lustra? wtajemniczenia?)  
 czuję ten trochę zapomniany już zapach  
 ludzkiego ciała, koszar, lęku

i pod wpływem tego zapachu  
 przyćmiony w pamięci obraz  
 staje się ostry jak ból za mostkiem  
 u chorych na dusznicę.

Joanna SALAMON

grudzień 1986  
 Holandia

## Archiwum polityczne

### Czy mamy życzyć Gorbaczowowi powodzenia?

*Optymista:* — Rozmawialiśmy o Gorbaczowie już nieraz w zeszłym roku. Byłeś bardzo sceptyczny co do jego zamiarów i jego reformistycznych szans. Zezwolenie na powrót Sacharowa do Moskwy uważałeś za propagandowy gest, adresowany głównie do Zachodu. O ile sobie przypominam, powątpiewałeś, czy Gorbaczow napotyka rzeczywiste trudności przy wdrażaniu swojego programu reform, czy tylko rozpuszczane są takie pogłoski, żeby rozjaśniać aureolę jego rzekomego liberalizmu. Plenum sowieckiego KC zostało jednak porządnie opóźnione sprzecznie ze statutem partii, a sam przebieg plenum, zwłaszcza to, jak zebrani przyjmowali wywody Gorbaczowa i to jak bładny był odzew tych wywodów w końcowej rezolucji, przekonały cię chyba, że frakcyjne zmagania na Kremlu są rzeczywistością. Potem doszło do zwolnienia dużej liczby więźniów politycznych, do ogłoszenia projektów tej ogólnopartyjnej konferencji, o której rezolucja plenum milczała, choć Gorbaczow takiej konferencji się domagał. Bardzo wyraźne są wreszcie objawy takiego rozluźnienia w kulturze, jakiego nie było od czasu Chruszczowa. Bodaj obecna odwilż ma nawet większy zasięg. Prawda?

*Pesymista:* — Jak widzę spodziewasz się, że wydarzenia, które wymieniłeś, i te, których nie wyliczyłeś, radykalnie zmieniły moją ocenę planów i szans Gorbaczowa. Niektóre proporcje spraw politycznych rzeczywiście zdają się ulegać zmianie. Zasadniczo jednak mój pogląd na ZSSR i na to, co może ziścić Gorbaczow, nie zmienił się. Gorbaczow jako generalny sekretarz komunistycznej partii sowieckiej chce zwiększyć potęgę swego państwa. Wie on, że nie można tego zrobić powielaniem zużytych haseł i apeli. W swojej książce „W obliczu wojny” (*Devant la guerre*)

Cornelius Castoriadis prezentował obszar sowieckich zbrojeń jako zamkniętą enklawę najwyższej efektywności i sprawności wśród morza powszechnej stagnacji, lenistwa, korupcji, niedołęstwa, marnotrawstwa, tępoty i uprzywilejowania prawomyślnych oportunistów. (Zresztą Castoriadis nie był odkrywcą koncepcji wyizolowanego sektora sowieckiej gospodarki). Castoriadis, ani historyk nauki ani znawca jej rozwojowych tendencji z pierwszej ręki, mylił się o tyle, że obszar wysokiej sprawności przemysłu nie może być całkowicie wyizolowany z dziedzin pracy lichej, planów wykonywanych w sposób pozorowany, z bylejakości, brakoróbstwa i masy podobnych bied. Przerażliwym dowodem tego był Czarnobyl, produkujący pluton do atomowych bomb, a jednocześnie wyżyty elementarnych na Zachodzie zabezpieczeń przed awarią.

Kto myśli, że KGB może wykraść wszystko, co wynajdzie Zachód, ma o technice zbrojeń na schyłku XX wieku wyobrażenia małego Jasia. Reformy są temu imperium życiowo konieczne właśnie przez to, że enklawa pracy wysokiej jakości może istnieć tylko kosztem całej reszty. Gdyby prawie całe społeczeństwo tak pracowało i było tak wynagradzane jak enklawa zbrojeniowa, to socjalizm — nie przestając być autorytarnym zaprzeczeniem demokracji — przestałby być obszarem brakoróbstwa, pijaństwa, *urawniłowki* mas w ubóstwie, a przede wszystkim — wszechkłamstwa. Efekty produkcji musiałyby być wszędzie *autentyczne*. To jest w obecnym stanie rzeczy niemożliwe i to właśnie chce zmienić Gorbaczow.

*Optymista:* — Stajesz się zanadto jednostronny. Pozytywnych zmian w sferze kultury, niezwyklej poprawy w informowaniu społeczeństwa przez środki masowego przekazu albo „dostrzeżenia” — po raz pierwszy w historii PRL i ZSSR — siły polskiego katolicyzmu, roli naszego Kościoła — nie można tłumaczyć zamiarem zreformowania wielkiego przemysłu, czy, szerzej, całej gospodarki.

*Pesymista:* — Nie uważam, żebym był jednostronny. Gdybym chciał być taki, imputowałbym Gorbaczowowi makiawelizm. Coś w rodzaju posunięcia Mao Tse-tunga, który ogłosił politykę stu kwiatów w kulturze, a potem wszystkim kwiatkom, „odchylonym” od partyjnego kursu, poucinał główki. W odniesieniu do Gorbaczowa zaś można być zdania, że ta liberalizacja w kulturze, której powiewy ogarniają już państwa satelickie, ma czysto taktyczny charakter. Ze ona jest ceną, płaconą za wsparcie i pomoc, których *gensek* słusznie spodziewa się od intelektualistów zagranicznych i od głównego odłamu sowieckiej inteligencji z artystami i naukowcami na czele. Takie wsparcie jest mu teraz nie-

słuchanie potrzebne. Można jednak po zwyciężeniu przeciwników — powiedzmy „partyjnych betonów” — na powrót dokręcić śrubę. Nie ma racjonalnego powodu, dla którego taki powrót mrozu byłby niemożliwy. Tym bardziej, że model systemu sowieckiego, zaproponowany przez A. Besançoną, pozostaje w mocy: jako ustroju, który waha się pomiędzy stanem „komunizmu wojennego” i stanem NEP-u. „Komunizm wojenny” to gospodarka nakazowo-rozdzielcza, obostrzona srogimi represjami, gospodarka, która prowadzi do kolosalnych kosztów ludzkich i nie tylko ludzkich a przez to do stagnacji. Wtedy przychodzi konieczność złuzowania śruby, przez wprowadzenie szczypty praw rynkowych. Na tym właśnie polegał NEP. Jednak na pełny leninowski NEP Gorbaczow teraz nie może się powazyć. Byłby to zbyt wyraźny krok wstecz, urągający świętej doktrynie wyższości realnego socjalizmu nad kapitalizmem. Gorbaczow jest w nadzwyczaj trudnym położeniu. Chce usprawnić ustrój udając, że go w zasadzie nie zmienia. Bodaj klasę posiadającą: wysoki i średni aparat partii, przyjdzie mu łatwiej przewyciężyć w oporach, aniżeli całość kierowniczej kadry przemysłu. Partię może przymuszać albo przekonywać. Natomiast nie może kierowniczym kadrom wprawić zupełnie im obcej mentalności z silnymi tendencjami do ryzyka, do inicjatywy, do oryginalnej pomysłowości, do *marketing'u* itd. Zdaje mi się, że Gorbaczow aż za dobrze to rozumie, i dlatego jest skłonny iść dalej, niż uprzednio sądziłem.

*Optymista:* — Co chcesz przez to powiedzieć?

*Pesymista:* — W ujęciu historycznym widać, że gdyby Sowiety trzymały się ortodoksji ideologicznej we wszystkich sferach życia, jak za Stalina, niewiele by z nich do dziś pozostało. W 10 czy 12 lat po roku 1950 spadłyby na tak anachroniczną pozycję, że przypominałyby niemal feudalną Japonię z ubiegłego wieku, kiedy pierwszy raz zetknęła się z zachodnią cywilizacją. Zarówno uzasadniane ideologicznie potępienie cybernetyki, jak potępienie autentycznej genetyki doprowadziłyby do zguby ZSSR. Miczurinowsko-Łysenkowska praktyka do reszty zrujnowałaby rolnictwo, które pod brzemieniem kolektywizacji i tak ledwo żyje. Przekreślenie cybernetyki, więc komputerów, uczyniłoby Sowiety państwem kompletnie zacofanym militarnie. Można dodać jeszcze fizykę relatywistyczną, która zrodziła bombę atomową, bo ta fizyka też była za Stalina wyklinana przez sowieckich filozofów. Nie jako fizyka żydowska, jak w Niemczech Hitlera, ale jako fizyka burżuazyjno-idealistyczna i kosmopolityczna (bo wtedy oficjele życia umysłowego ZSSR zachorowali na wielkorosyjski szowinizm, co rykoszetem odbiło się w Polsce masą złośliwych dowcipów). Żeby ratować naukę przed runięciem w istne

średniowiecze, sowieccy uczeni toczyli boje z dogmatycznymi scholastykami. Boje nieraz niebezpieczne dla uczonych. Przecież znakomity genetyk Wawilow zginął przez Łysenkę. W końcu jednak Stalin okazał się trzeźwiejszy, bardziej cyniczny od Hitlera. Tam, gdzie szło o życiowy interes państwa, władztwo ideologii uległo zawieszaniu. Dzięki temu idealistyczna fizyka pozwoliła zbudować bomby atomowe i wodorowe, a burżuazyjna fizyka — skomputeryzować broje. Jednak po kilkudziesięciu latach te odwroty stają się już niewystarczające. Pomimo częściowej dezideologizacji, Sowiety stały się ekonomicznym karłem z gigantyczną maczugą broni. Przecież ich dochód narodowy nie jest większy od Japonii, a warto porównać na mapie obszary terytorialne tych obu państw... Sowiety obecnie są pierwszą albo drugą (nikt nie wie na pewno, którą) militarną potęgą świata i NICZYM więcej.

To jest paradoks, poza wymiarem militarnym bowiem nie dysponują Sowiety ani okazałym potencjałem gospodarczym ani kulturowym ani organizatorskim, ani ideologicznym. Ich rzekoma atrakcyjność częściowo wynika ze zwyczajnych oszustw — kiedy, dajmy na to, brutalna ekspansja jest, jak w Afganistanie, legitymowana „wyzwoleńczą intencją”, w którą nikt nie wierzy. Częściowo zaś rosnąca dziwacznie estyma, jaką Sowiety cieszą się właśnie w czasie PO ujawnieniu ich potwornych ludobójstw, jest dziełem Zachodu. To, że naga siła, przystrojona figowym listkiem martwej wewnętrznie ideologii, podaje się za „światłą przyszłość świata”, jest tylko paradoksalne. Natomiast groteskowe jest to, czego by nikt przed drugą wojną światową nie uznał za możliwe. Lenin głosił już wtedy, że kapitaliści sprzedadzą Sowietom sznur, na którym się ich powiesi. Ale nawet on nie przypuszczał, że ten sznur będzie dany na kredyt czy raczej darowany jak setki tysięcy ton masła, treściwych pasz i mnóstwa innych dóbr, którymi Europa Zachodnia obsypuje ZSSR.

*Optymista:* — Zawsze dziwiła mnie ta szczodrość i nigdy się nie mogłem dowiedzieć, po co właściwie Europejczycy to robią. Powinni byli od dawna zauważyć, że nie daje im to żadnych politycznych korzyści.

*Pesymista:* — Przypuszczalnie jedną z przyczyn tej szczodrości jest zwyczajny strach przed sowiecką potęgą. Ostatnio to się zresztą wyraźnie objawiło. Sowiety zaczęły ściągać ze swoich łap rękawiczki dyplomatycznej grzeczności kiedy zauważyły, jak bardzo Zachód się ich obawia. Kiedy na Kremlu tupną, niemiecka socjaldemokracja pada na kolana. Incydentów, wprost haniebnych dla samych Niemców, nie warto wyliczać. Ważniejsze jest to, że poza strachem są też inne przyczyny uległości Za-

chodu. Populacyjną liczebnością i (co donioślejsze) mocą gospodarczą Europa Zachodnia góruje nad Sowietami. Nie może jednak uczynić atutu z tej przewagi w grze politycznej, ponieważ składa się z wielu państw o egoistycznie sprzecznych interesach. Ponadto wszystkim państwom dobrobytu, nie tylko zresztą w Europie, bo to dotyczy też USA i Kanady, wspólne są poważne dolegliwości. Tych dolegliwości nie widać co prawda z dna cywilizacyjnej jamy, do której wtrąciła nas sowietyzacja Polski. Sowiety są potrzebne Zachodowi nie tyle i nie tylko jako odbiorca miliardowych prezentów, lecz raczej jako olbrzymi potencjalny rynek zbytu i handlowo-przemysłowy partner. ZSSR to jest istny raj dla kapitalistycznego przedsiębiorcy: siła robocza tania, żadnych związków zawodowych, które by broniły jej interesów, niezwykle bogactwa surowcowe no i powszechny głód wszelkich możliwych produktów i środków spożywczych. Dowiadując się, że magazyn poświęcony modzie kobiecej, BURDA, będzie można wydawać w rosyjskiej wersji na razie w 100 czy 200.000 nakładu, wydawca wprost nie posiada się z radości. Pomóż to przez masę innych przedsiębiorców, uwikłanych w ciężką konkurencyjną walkę na rynkach, przesyconych towarową podażą, a zrozumiesz skwapliwość, z jaką menadżerowie zachodni plotą na siebie sznury i powrozy. Wszyscy chcą robić z Sowietami interesy a Gorbaczow wychodzi im naprzeciw, dopuszczając *joint ventures* z sowiecką przewagą (zachodni przedsiębiorca nie może mieć więcej niż 49 % udziałów).

*Optymista:* — Tak czy owak jest to pierwszy krok w kierunku urynkowania tej gospodarki. Zarazem uzależnienie dyrektorów od podwładnej załogi, w postaci wyborów z pięcioletnią kadencją, plus rotacja 30 % członków rady robotniczej, powinna przeciwdziałać fatalnej w tym systemie negatywnej selekcji. Może i dla nas zaświta w tych zmianach nadzieja.

*Pesymista:* — Aktywności Gorbaczowa, niemal bezprecedensowej w niektórych dziedzinach, przyglądam się — wyznaję — z mieszanymi uczuciami. Najpierw trzeba podkreślić, że wszelka, byle niezmysłona, niepotemkinowska przemiana w Sowietach łatwo staje się korzyścią dla państw podległych, jak Polska — nawet, jeżeli późną konsekwencją tej przemiany będzie przykręcenie śruby. W Sowietach nie ma partii politycznych w liczbie mnogiej, ale to nie znaczy przecież, że naprawdę panuje tam politbiurowa czy rządowa jednomyślność. W jednym ręku skupiał władzę Stalin za cenę rzek krwi. Po nim kierownictwo stało się w tym sensie kolektywne, że każdy nowy *genssek* musi powściągać na wyżyny KC, politbiura i inne kluczowe stanowiska swoich ludzi. Bez tego nic. Okres tej przepychanki, tradycyjnie



maskowany w Sowietach jak się dało — jako okres względnego bezwładu czy aż paraliżu, sprzyjał pewnemu rozluźnieniu u satelitów, o ile z kolei w ich państwach istniały po temu przesłanki. W „Nomenklaturze” Woslenskiego można ponadto przeczytać, jak bardzo kandydat na nowego *genseka* musi udawać przez czas wspinania się w górę nijakość i przeciętność. W przeciwnym razie aparat go zmiele czy wypluje. Dlatego mieliśmy ponure przedstawienie w postaci serii półżywych starców na Kremlu. Frakcyjne sprzeczności były widocznie takie, że atrybutem, którym kandydat szczególnie zdobywał głosy oligarchów, była jego agonialna nieruchawość. To nie mogło jednak trwać, bo doprowadziłoby do upadku imperium — naturalnie nie rychło. W każdym razie zdecydowali się na człowieka względnie młodego, bardzo ambitnego i co teraz najważniejsze — skłonnego wysłuchiwać prawdziwych ekspertów. Domagał się przede wszystkim diagnozy i usłyszał ją. System składa się z dwóch części: autentycznej i pozorowanej. Część pozorowana ma tendencję do pochłaniania autentycznej.

*Optymista:* — Nie bardzo rozumiem, co to ma znaczyć?

*Pesymista:* — Produkcja wysokogatunkowej stali czy stopów tytanu dla łodzi podwodnych i rakiet musi być autentyczna. Produkcja wiadomości może być pozorowana. W Sowietach niewiele się poprawiło od czasów Lejzorka Rojtszwańca. Mam na myśli hodowlę tysięcy królików na papierze sprawozdań bez realnych królików. Ponoć do dziś działa w ZSSR wydział ministerstwa transportu, zajęty poszukiwaniem całych pociągów, które gdzieś przepadły. Poziom sowieckiej medycyny, także z jej bazą techniczną i lekową, jest fatalny. Zresztą znaczniejsza część przemysłowej bazy jest przestarzała w porównaniu z Japonią czy z Zachodem. Wydajność pracy jest bardzo niska. Całą tę dziedzinę najtrafniej opisują zwięzłe dowcipy, w rodzaju „robotnicy udają, że pracują a władze udają, że im płacą”. Odautentycznienie życia zaszło już tak daleko, że sztuczna, w całości manipulowana jest tak zwana opinia publiczna, dochodząca do głosu w listach czytelników do prasy również wtedy, gdy trzeba nie potępić jakiegoś Sołżenicyna lub Sacharowa, ale, na odwrót, domagać się demokratyzacji! Dlatego właśnie jest tak trudno pojąć, co Gorbaczow naprawdę zamierza zrobić, kto naprawdę stoi mu na przeszkodzie i co może mu się udać podług zamierzeń, a co będzie nieosiągalne.

*Optymista:* — W tym zakresie osądy są na Zachodzie rzeczywiście mocno sprzeczne. A co ty uważasz?

*Pesymista:* — Ten system jest niesamowicie trudno naprawić.

A to z dwóch przyczyn, splecionych, choć różnych. Niemiecki totalitaryzm trwał ledwo dwanaście lat, a zostawił ruiny i góry trupów. Dokopywanie się rzeczywistych mechanizmów tego systemu, dzieło wieluset historyków, jeszcze nie zostało ukończone, chociaż system uległ kompletnemu strzaskaniu. Sowiecki system jest jak lodowiec, który się nawarstwiał dziesiątkami lat, a każda kolejna warstwa składała się z trupów ludzi, ich wysiłków, ich łaknień i ich nadziei. Każda kolejna odwilż pozwala odsłonić jakąś drobną część tego gigantycznego cmentarza, na którym do grobów złożono utopię marksowską. Oczywiście nikt wewnątrz systemu nie może dokonać „całkowitej odwilży”, bo ona ukazałaby monstrualny koszt i potworną daremność tego przedsięwzięcia, którego tylko dlatego nie uważamy za wariactwo, że stanowi już nierozdzielny człon dziejów powszechnych. Wszelkie odwilżowe rewelacje w rodzaju osławionego przemówienia Chruszczowa trzeba powściągnąć i zatrzymać w arbitralnie wybranym miejscu. Na przykład Chruszczow ograniczył się do „dobrych komunistów”, którzy stali się ofiarami Stalina, a i to większości nie użyczył dobra pośmiertnej rehabilitacji (bo by musiał wymieniać nazwiska przez kilka tygodni dniem i nocą, bez przerwy). To jest pierwsza przyczyna nienaprawialności: nie można roztopić lodowca trupów, bo — chociaż obrzydliwie to zabrzmiał — nie objawi się nic prócz zgniłego smrodu. *Po wtóre*, wszystkie dotychczas podjęte próby modyfikacji, modernizacji czy innego polepszenia systemu nie dały definitywnie dobrych rezultatów. W Jugosławii stawiano na samorząd, u Gorbaczowa można wyraźnie dostrzec podobieństwa czy zapożyczenia z tego programu w gestii przemysłowo-agrarnej. U nas przez pewien czas, mniej więcej w drugiej połowie istnienia „Solidarności”, idee samorządowe cieszyły się dość dużą popularnością. Ale Jugosławia wcale na tym modelu dobrze nie wyszła. Nie mogę wchodzić w szczegóły analizy. Faktem jest, że samorząd nie był żadnym panaceum na typowe bolączki „realnego socjalizmu”. Jugosłowian nikt nie zmusza by produkowali cokolwiek pół darmo lub za nic dla Sowietów, a mimo to ich gospodarka robi bokami. Kolosalna inflacja, bezrobocie, poszczególne republiki są ze sobą na bagnety, korupcja, czarny rynek, głód energetyczny. Teraz wzięli się do poszerzonej reprivatyzacji przedsiębiorstw.

*Optymista:* — To chyba dobrze?

*Pesymista:* — Widzisz, jeżeli chcę zbudować wieżę tak wysoką jak wieża Eiffla a w połowie budowy filary zaczynają się giąć i zdecyduję się zbudować wieżę leżącą na boku, jako długi szereg chałup, to przecież nazywając te chałupy wieżą tylko bym się ośmieszył. System sowiecki, centralnego planowania i nakazowo-

rozdzielczej produkcji i dystrybucji dóbr, nie może współistnieć z systemem rynkowym, z jego prawami podaży i popytu. Częściowe wprowadzenie rynku to mniej więcej tyle, ile mówi anegdota o Chruszczowie wracającym z Anglii. Widział tam lewostronny ruch uliczny, powiada więc towarzyszą, że warto by to wypróbować w ZSSR, ale na początek niechaj tylko 10 % aut jeździ lewą stroną ulic.

*Optymista:* — To dobry dowcip, ale złośliwa przesada. Gdyby nie polskie luzy z ich prywatną inicjatywą, wyglądalibyśmy jeszcze gorzej, niż wyglądamy.

*Pesymista:* — Zapewne, ale co dobre dla dostarczenia na rynek szczypiorku albo jaj nie wystarczy dla optymalnego zreorganizowania nowoczesnej produkcji środków produkcji, ani dla zmodernizowania przemysłu lekkiego. Obecnie rewolucje w technice zachodzą co 2-3 lata, a nie co 30-40 lat, jak do połowy XX wieku. Obecnie nawet państwa, które dostały się do czołówki, jak RFN, ale które uległy (mówiąc obrazowo) „ośluszczeniu”, mają problemy, ponieważ taka Japonia, gdzie koszt pracy ludzkiej jest niższy (ponieważ stopa życiowa jest skromniejsza), okazuje się innowacyjnie wyprzedzona do przodu. Myśląc o doskonaleniu systemu sowieckiego, nie można stosować mikroskopijnej skali w rodzaju firm polonijnych. Popatrzmy raczej na Chiny.

*Optymista:* — A nie na Węgry?

*Pesymista:* — Nie, bo Węgry dotarły już do granic efektywności, jaką daje ich reforma, zresztą tylko przemysłowa, bo wbrew fałszywym opiniom Zachodu, w kulturze mają Węgrzy dotychczas mróz większy niż Polacy. Reforma sowiecka musi być na chińską skalę, bo oba kraje są olbrzymie. Po rozwiązaniu kolchozów produkcja rolna Chin skoczyła i chłopcy poczuli się nie na żarty bogaci. Na tak prymitywnym poziomie rolnictwa, jak chiński, wyzwolenie z pęt kolektywizacji uruchomiło wielkie rezerwy pracy a reszta dokonała udzielona chłopom swoboda wyboru upraw. Natomiast przemysłu nie można w ten sam sposób „spuścić z powroza” nakazowo-rozdzielczej gospodarki.

*Optymista:* — Właśnie. Dlaczego nie można?

*Pesymista:* — Bo jeżeli ceny nie są realne, czyli nie odzwierciedlają realnych kosztów pracy, międzypodmiotowa konkurencja nie będzie realna. Ceny są przecież całkiem arbitralne, umowne.

Model kapitalistyczny w postaci czystej, oparty na stosunku popytu do podaży, okazuje się bezlitosny dla wszystkich przegry-

wających konkurencyjną „walkę o byt”. Prognoza Marksa o postępującym bogaceniu się kapitalistów i pauperyzacji proletariatu upadła na rzecz państwa „umiarkowanego kapitalizmu”. Tworzy ono administrację zajęta taką redystrybucją dochodu narodowego, by słabsi ekonomicznie nie popadli w skrajną nędzę. Redystrybucja ta z czasem się komplikuje, obejmując rosnące podatki pośrednie i progresję podatków wymierzanych jednostkom, co tworzy fundusz zasiłków dla bezrobotnych, dla kultury (dla deficytowych teatrów na przykład), subwencji itp. System z uniwersalną opieką społeczną, wbudowaną jako „ssąca pompa” w dochód narodowy, może działać tylko do pewnej granicy. Jeżeli zasiłki dla bezrobotnych rosną, to motywacja podjęcia pracy maleje nawet, jeśli istnieją wolne stanowiska pracy. Jeżeli koszty leczenia się zwiększają, można je pokrywać tylko do pewnego stopnia. Jeżeli społeczeństwo się starzeje i jeżeli zarazem postępuje bezrobocie młodzieży (to są typowe dolegliwości najbogatszych państw), ludzie pracujący są coraz bardziej obciążani podatkami. Niwelizacja dochodów rujnuje motywację inwestorów i nowatorów. Są to różne błędne koła, których rozcięcie wymaga kompromisów. Japonia ma się dziś wciąż lepiej niż Norwegia lub Austria dlatego, że państwo japońskie jest bogate, natomiast stopa życiowa Japończyków jest niższa niż zamożnych Europejczyków. Lecz już i w Japonii zaczyna się owa zmiana w obrębie dochodów, dzięki której tradycyjna hierarchia zawodów ulega odwróceniu: wykwalifikowany pracownik fizyczny (na przykład technik-elektronik) bywa tak samo, lub lepiej, płatny niż wykładowca uniwersytecki z naukowym tytułem. W USA menadżerowie, wykwalifikowani fachowcy i urzędnicy administracji tworzą trzon bytujących najpewniej, jako najmniej zagrożonych utratą pozycji socjalnej i dochodów. Wspierają ich wielkie związki zawodowe, wielkie konsorcja i trwałość państwowej biurokracji (z wyjątkiem wyższych stanowisk, traconych przy zmianie rządowej administracji). Natomiast reszta siły roboczej podlega znacznie szerszemu życiowemu ryzyku.

Dobrobyt ponadto jest osobliwą pułapką, ponieważ poza konsumpcyjnym nie tworzy żadnego popularnego wzorca życiowej postawy. Utowarowieniu ulegają nawet potrzeby metafizyczne i stąd proliferacja religijnych sekt, których przywódcy stają się milionerami. Demokracja kapitalistyczna jest współistnieniem grup o sprzecznych interesach, a jeżeli niektóre z nich odmawiają zgody na kompromis, poczynają niszczyć podstawy demokracji. Tak postępowały na przykład angielskie związki zawodowe, pchając Anglię ku przepaści, aż „żelazna lady” umniejszyła ich uprawnienia ustawowo. Inną społeczną siłą, ciężącą ku utopijnemu tym razem ekstremizmowi, są Zieloni w RFN. Program państwa dobrobytu, opartego na ideałach socjaldemo-

kracji, ulega zagrożeniu, gdy upaństwowiony przemysł deficytowy ratuje się subwencjami wyciskanymi z podatków, żeby ratować miejsca pracy. (Tak było na przykład w Austrii).

Zjawiskiem powszechnym u bogaczy jest bezrobocie, inflacja oraz zasadnicza nierentowność produkcji rolnej. Przy tym zasiłki dla bezrobotnych mają większą siłę nabywczą od przeciętnych dochodów Rumuna czy Polaka, a produkcja rolna idzie do śpichlerzy i chłodni, tworząc przysłowiowe góry zboża, masła, pasz treściwych itp. Sytuację, w której rolnicy są opłacani za to, że *mniej* produkują, oni sami uważają już za normalną, aczkolwiek w innych częściach świata panuje głód. Wszystko, co powiedziałem, trzeba mieć na uwadze, gdy myśli się o zreformowaniu realnego socjalizmu. Proszę zważyć, że przyspieszonym zmianom podstawowych technologii towarzyszą ogromne zmiany w strukturze zatrudnienia. W USA trzy czwarte pracujących kobiet znajdujemy w usługach, gdzie stanowią połowę wszystkich zatrudnionych. Natomiast przemysł zatrudnia 1/5 kobiet i 4/5 mężczyzn. Zmiany te mają tendencję wzrostową i powodują społeczną destabilizację, rozpad wartości tradycyjnych [rodzina, posiadanie i wychowywanie dzieci], przy czym jako wypadkowa obniża się poziom społecznej solidarności a swoboda jednostkowego postępowania rośnie. Efekty są niekorzystne dla demokratycznej dynamiki. Bezwzględna mniejszość może wymuszać ustępstwa na większości. Może więc niszczyć demokrację, co widzimy w RFN, gdzie „Zieloni” chcą zarazem być w rządzie i obalić istniejący porządek państwowy, gdzie 20 sędziów i sędzin łamiąc prawo blokadą „siadania na ulicy” zamyka dostęp do amerykańskiej bazy wojskowej w Mutlangen a policja musi na rękach wynosić z drogi tych „strażników prawa”.

*Optymista:* — Czy godzi się obrzydzać głodnym jedzeniem, opisując niestrawności żarłoków?

*Pesymista:* — Problem jest zbyt poważny, żeby go można było załatwić żartem. Albo Gorbaczow zamierza przybrać sowiecki bunkier fikcyjnymi hasłami o tajnych wyborach, o wielości kandydatów, o regułach merytokracji przeciwko wręcz dziedzicznej nomenklaturze (która w takiej na przykład Rumunii stała się dynastyczno-nepotyczną, władzą szewskiej głupoty i szewskiej pasji), albo chce te hasła wprowadzić w życie. Sądzę, że nie idzie mu *tylko* o propagandowe wywieszki dla Zachodu, aczkolwiek pewien jestem, że chodzi mu o propagandowe efekty *także*. (Zwłaszcza w sferze rozbrojeniowej i kredytowych negocjacji). Prasowe kampanie korespondencyjne są (jak zawsze) wystereowane. Inaczej już nic w ogóle w tym kraju nie można począć, ponieważ autentyczna opinia publiczna należy do ofiar, dawno

temu zamordowanych przez reżym. Opinia ta może się jednak z czasem odrodzić. Opinię taką, jako pospólną i potajemne porozumienie, można było za czasów wojny dostrzec w republikach mużułmańskiego południa ZSSR, gdzie naszych wywozonych ludzi pytali miejscowi, jacy właściwie są ci Niemcy: liczyli bowiem na wyzwolenie przez Wehrmacht. Opinia publiczna, chociaż zatajona, istnieje tam, gdzie istnieje poczucie tożsamości narodowej i (albo religijnej), znajdującej się pod uciskiem wieloletnich prześladowań.

Nie wiem, jak daleko Gorbaczow zamierza iść w „odkręcaniu śruby” (zwłaszcza, że jest wiele „śrub do odkręcenia” i że odkręcenie wielu naraz doprowadziłoby do rozsypki imperium). Nie wiem, jak daleko będzie mógł iść w tym kierunku. Ponieważ oparzony dmucha na zimne, zachodni kremlinolodzy przekrzykują się teraz wzajem napomnieniami, że Gorbaczow na pewno *nie może* być ani liberałem, ani demokratą. A zatem odwilż służyć ma nie utworzeniu strefy swobód, lecz odtworzeniu motywacji pracowniczej, innowacyjnej, modernizacyjnej, organizatorskiej i tak dalej. Co wyłoni się z tak chociażby potrosze odtaśniętego lodowca? Czy wyleci motyl, czy owa ćma, o jakiej pisał Mickiewicz? Tego nie wiemy. Nie wie tego nikt. Jedyną pewną rzeczą jest dla mnie, że tego nie wie również sam Gorbaczow, ponieważ wstępuje na drogę, nieprzetartą dotąd przez nikogo. Zdaje się on wszakże pojmować — i to uznałem za argument przemawiający za jego inteligencją — że nie może być uruchomienia ludzkich inicjatyw na konieczną skalę *bez politycznego rozluźnienia*. Ponieważ jednak nigdzie dotąd nie pojawił się „realny socjalizm”, zreformowany tak, ażeby mógł wytrzymać porównanie ze współczesnym kapitalizmem pod kątem przystosowania do ciągłych i przyspieszonych zmian w technikach produkcji, pod kątem wydajności pracy, płynących z niej satysfakcji, dostępności dowolnych dóbr materialnych i informacyjnych, zakresu indywidualnej swobody postępowania, jednym słowem owego wszechnadmiaru w zaspokajaniu potrzeb, jakiego mirażem idea komunizmu od powstania tumania i mamiła wielkie rzesze ludzkie — przyszłość pozostaje zupełnie nieznana. Wydaje się nader wątpliwe, ażeby sowiecki system mógł ulec zreformowaniu, dostatecznemu dla wytrzymania porównań z kapitalizmem choćby tylko pod względem jednej z wymienionych przeze mnie cech.

*Optymista:* — Życzysz Gorbaczowowi, żeby skończył jak Chruszczow?

*Pesymista:* — Nie jest wykluczone, że przegra jak Chruszczow, chociaż na pewno nie dokładnie tak samo. O tym jednak, abym

zyczył mu takiej klęski, nie ma mowy. Alternatywa, przed którą stają Sowiety, przedstawia się dla ich imperialnego trwania groźnie. Jeżeli Gorbaczow podzieli los Chruszczowa i prawie nic nie zostanie się z jego reformistycznych zapachów, będzie źle. Jeżeli natomiast powiedzie mu się, będzie niedobrze.

*Optymista:* — Doprawdy jesteś prawdziwym, rzetelnym pesymistą! Powiedziałeś, że może być albo źle, albo niedobrze? I nic nas nie uratuje?

*Pesymista:* — Z nami osobna sprawa. Jeżeli Gorbaczowowi się nie powiedzie, to za trzydzieści do czterdziestu lat ZSSR będzie miał do wyboru albo wojnę albo regres jako zejście ze światowej sceny politycznej do roli drugorzędnej, już tylko terytorialnie i ludnościowo znacznego kolosa. A to dlatego, że wymagania natury organizacyjno-społecznej, kształceniowej, kadrowej, jakie stawia wciąż przyspieszający rozwój nauki i techniki, są tak wielkie, że coraz trudniej im sprostać nawet tym państwom, które dotychczas przodowały cywilizacyjnie. Przez to właśnie powstały napięcia i tarcia między Japonią, Stanami Zjednoczonymi i Europą. Ponadto coraz więcej państw takich jak Brazylia pozostaje w tyle i coraz cięższym zadaniem dla opóźnionych staje się dogonienie czołówki. To jedno. Po drugie, granic enklawy, zawierającej zbrojeniowy przemysł, nie można już ostro wytyczyć. Coraz większa ilość coraz dalszych od siebie i coraz bardziej różnorodnych specjalności naukowych uczestniczy w wytwarzaniu nowych broni i w usprawnianiu dotychczasowych. W bojowe środki biopochodne jest zaangażowana cała biologia na czele z genetyką i całą medycyna z farmakochemią. Balistyka, to już nie armaty i reszta broni palnej, ale cała kosmonautyka, z rozrastającym się sektorem automatów i komputerów. Sam tylko zwiad poszerza się o coraz bardziej wyrafinowane układy satelitarne, a tu należy oczekiwać przybywania nowych technik z objętej wojskową tajemnicą sfery SDI (strategicznej inicjatywy obronnej). Znaczący to, że arsenałów ani zakładów zbrojeniowych nie da się już utrzymać jako wyspy w zamknięciu jakichkolwiek murów. Sądzę, że taka argumentacja gra istotną rolę w eksperytach, które czyta Gorbaczow. System sowiecki potrafi osiągnąć wiele przy wysokiej koncentracji wysiłków i przy najlichszym gospodarowaniu „całą resztą”. Otóż taki podział nie jest na dłuższy dystans do utrzymania. Tak więc, państwo, które chce być mocarstwem, musi pozostawać w czołówce cywilizacyjnej, a nie tylko w czołówce producentów bomb atomowych, rakiet, czołgów i szpiegów. Obecnie Sowiety gniją od środka i są przez to jak ogromny nowotwór, który wewnątrz toczony jest rozkładem, chociaż z jego powierzchni zewnętrznych wciąż wydostają

się zatrute tkanki aby dawać rakowe przerzuty. Tak działa przecież GRU i KGB. Albo Sowiety okażą się niezdolne do adaptacyjnego uelastycznienia jako eurazjatycki system cywilizacyjny i wtedy — zamiast doganiać czołówkę — napadną ją. Oznaczałoby to wyjście atutem zgubnym dla wszystkich — atutem wojny światowej. Tak rozumiem porażkę Gorbaczowa i jego ekipy. Albo też Sowiety wbrew wszystkim dotychczasowym doświadczeniom będzie można przekształcić, ażeby sprostały XXI stuleciu i to będzie oznaczało nową, wyolbrzymioną potęgę tego supermocarstwa.

*Optymista:* — Przypuszczasz zatem, że albo zostaniemy bezradnym, słabym krajem prywiślańskim u boku udoskonalonego kolosa, albo zginiemy razem z nim i z resztą ludzkości? To ma być rozstajna droga, przed którą stoi Gorbaczow?

*Pesymista:* — Rzeczywistość ma to do siebie, że nie daje się skutecznie przewidywać i rysowanie wykluczających się wzajem scenariuszy zajęć jest zabiegiem nie tylko ryzykownym lecz co gorsza odwodzącym od złożoności, właściwej realnemu światu.

Niezwykłe tchnienie ciepła, które przyszło od najmniej spodziewanej strony, sowieckiego Łodowca, podzieliło od razu państwa satelickie. Czechosłowacja i NRD są przeciwne Gorbaczowskiemu zapędowi, to samo Rumunia z jej tyrańskim szewcem w czerwonej koronie. Węgry i PRL przytakuja nowemu *gensekowi*. Przyczyny tego podziału są oczywiste. Ekipa czechosłowacka została usadzona na Hradczynie przez Breżniewa jako zapora przeciw wszelkim pomysłom reformatorskim rodem z Praskiej Wiosny. Trudno by ci, co od 1968 roku do więzienia wsadzają za wypowiedzenie słowa „reforma”, nagle nabrali dla niej sympatii. (W Pradze piszą nie o „reformach” ale o „rekonstrukcji” gospodarki: tabuizacja pewnych słów ujawnia więc marksizmu z magią). NRD ma się najlepiej dzięki jawnej i skrywanej pomocy RFN, toteż ten barak jest w socjalistycznym obozie najlepiej zaopatrzony. (To nie znaczy, by mógł wytrzymać porównanie na przykład z Islandią). O Rumunii należy z litością zamilczeć. Węgry były za Breżniewa, Andropowa i Czernienki mniej lub bardziej chłodno tolerowane ze swymi eksperymentami, toteż nic dziwnego, że poczuły się wsparte, gdy nastał Gorbaczow. W gruncie rzeczy paradoksalna jest tylko pozycja PRL-u z Jaruzelskim, który zdaje się — przynajmniej chwilami — naprawdę sądzić, że on też uruchomił w kraju coś na kształt „reformy gospodarczej”. Ta reforma została już w powiciu zaduszona tysiącem ustawowych zastrzeżeń. Efektami jej są: rozrost katastrofy ekologicznej, gospodarka rabunkowa ludźmi i kopalinami, niezdolność obsługi samych tylko ODSETEK polskiego zadłużenia oraz

galopująca inflacja. Wszystko lub prawie wszystko stąd, że „reforma” ma działać z wyłączeniem choćby skromnej samorządności społeczeństwa. Jaruzelski tworzy wciąż nowe potemkinowsko-dekoracyjne ciała doradcze, konsultacyjne, ratownicze, bogoojczyźniane, jakby myślał, że jadłem namalowanym na teatralnej dekoracji można karmić lud. Propagandyści generała przestali już temu ludowi wymyślać w zmonopolizowanych środkach masowego przekazu, jak tuż po wojnie polsko-jaruzelskiej i teraz wdzięczą się głosząc, że „my też” robimy i to, co wymyślił Gorbaczow i nawet więcej. Ponieważ jednak tej fikcji nie da się długo utrzymać przyjdzie czas obrachunków, bilansów i to jest nasza, polska szansa na średni dystans. Zanim — powiedzmy — Gorbaczow z kretesem przegra, albo zanim — alternatywnie — uda mu się postawić na swoim w strategicznych sektorach gospodarki, będzie trwała odwilż. Niechaj ta odwilż potrwa 7 czy 8 lat — a pozbywszy się obecnych dziś przy sterze szumowin i durniów okrzepniemy w kulturze i może nawet uda się rozpocząć kontrbatalie na dwu frontach największego zagrożenia: katastrofy ekologicznej i katastrofy ekonomicznej. Na razie bowiem nikt obu nawet diagnostycznie nie tknął jak należy. Rząd polewa kucami papierowego pieniądza te społeczne grupy, których głównie się boi — więc załogi wielkich zakładów, górników itp. Współcześnie mamy w Polsce więcej słoni, niż reformy gospodarczej. Toteż nie warto mówić o tym, czego nie ma.

Nie twierdę, że rozpoznałem przyszłość.

Na pytanie: czy mamy życzyć Gorbaczowowi powodzenia odpowiadam: jeśli życzymy sobie zagłady imperium najprawdopodobniej razem z resztą świata — *nie*. Jeżeli jednak samo dalsze istnienie ludzkości może napoić nas nadzieją lepszego jutra — odpowiem: *tak*. Zresztą idzie o przyzwolenie lub negowanie czysto mentalne, ponieważ decyzje, które zapadną, zapadną poza nami.

P. ZNAWCA

Luty 1987

**Kraj**

## Spółeczeństwo podziemne 1987

(Z WIKTOREM KULERSKIM ROZMAWIA  
JAN CZERNIAKOWSKI)

JAN CZERNIAKOWSKI: — *Blisko rok temu\* rozmawialiśmy o społeczeństwie podziemnym. Pytałem, jak te koncepcje, które wraz z Bujakiem ogłosiliście na początku stanu wojennego sprawdziły się po czterech latach. Obraz sytuacji był dla nas wtedy dość klarowny: społeczeństwo niezależne istniało. Związek je wspierał i wspomagał — powstał obszar społeczny, w którym czuliśmy się gospodarzami i w którym mogliśmy realizować wartości takie jak pluralizm, niezależność, samorządność, odpowiedzialność.*

*Sytuacja ogólna zmieniła się, choć nie wszyscy są zgodni co do tego jak bardzo. Jak więc zmieniły się twoje poglądy na tę sprawę, czy raczej zespót spraw?*

WIKTOR KULERSKI: — *Co zmieniło się w sytuacji ogólnej? Między innymi a chyba przede wszystkim: komuniści zwolnili prawie wszystkich więźniów politycznych. Po drugie: po pięciu latach bezskutecznych prób zdławienia społeczeństwa podziemnego procesami sądowymi i więzieniami, zrezygnowali z tej metody i przerzucili się na nową, mianowicie na represjonowanie grzywnami. Po trzecie: niektóre raczej eksponowane podziemne struktury przeszły do działalności jawnej, a ponadto powstało szereg nowych, jawnych struktur niezależnych. Po czwarte: wygląda na to, że ZOMO zostało z powrotem wzięte na smycz i nałożono*

\* „Spółeczeństwo podziemne” — Rozmowa z Wiktorem Kulerskim, *Kultura Niezależna* Nr 19, kwiecień 1986 oraz *Kultura* Nr 10/469, październik 1986.

mu kaganiec. Po piąte: w niektórych zakładach produkcyjnych wystąpiły próby stworzenia nowych niezależnych jawnie działających związków zawodowych, obejmujących jeden zakład, jak to miało miejsce w Stoczni Remontowej i w Porcie w Świnoujściu. A gotowa do tego samego jest Stalowa Wola i parę innych ośrodków. Wszystko to są oczywiście sukcesy wywalczone przez społeczeństwo podziemne. Niewątpliwie przy poparciu Kościoła, międzynarodowej opinii publicznej oraz — i to trzeba powiedzieć także — w sprzyjającej naszym działaniom, a niekorzystnej dla komunistów sytuacji ekonomiczno-politycznej.

Spółeczeństwo podziemne stosując taktykę faktów dokonanych, czyli przemawiając jedynym językiem rozumianym przez komunistów jak na razie wywalczyło początki milczącej, choć gniewnej tolerancji dla opozycji, zmuszając komunistów do rewizji pewnych metod postępowania. Być może zbliżamy się do etapu, w którym istotnie określenie „społeczeństwo niezależne” będzie bardziej odpowiadało rzeczywistości niż określenie „społeczeństwo podziemne”. W tej sytuacji moje poglądy nie mogły się zmienić w sposób zasadniczy. Nadal uważam że społeczeństwo podziemne — na dziś — utrudnia postępy sowietyzacji, broni nas przed nią i stanowi najskuteczniejszy środek nacisku na komunistów. Na jutro przygotowuje nas do demokracji.

J.C.: — *Pozwolę sobie na pewien sceptycyzm. Panuje powszechnie pogląd, że w strukturach NSZZ „Solidarność” powstał zamęt. Nie wiadomo kto się czym zajmuje. Nie wiadomo, do czego służy Rada „Solidarności”. Są głosy, że władza wykonawcza — ciało anonimowe, jakim stała się TKK — nie będzie miało żadnej skuteczności działania.*

*Konkretnie: kto podejmuje decyzje polityczno-strategiczne i kto je wykonuje? Kto podejmuje decyzje doraźne i jak je egzekwuje? I najważniejsze, jaki wpływ mogą mieć związkowcy na decyzje NSZZ „Solidarność”?*

*Czy nie wyłania się możliwość, że powstaje grupa związkowych „onych”?*

W.K.: — Związek zawodowy nie może w nieskończoność działać w podziemiu i w sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy, uważam, że najważniejszym zadaniem jest możliwość odzyskania prawa do jawnego i oficjalnego działania. Nie ryzykując stawiania wszystkiego na jedną kartę stworzyliśmy jawnie działające ekipy na szczeblu krajowym i w niektórych regionach, pozostawiając równoległe niejawne ekipy w podziemiu, po to, aby ewentualne niepowodzenie tej próby nie stało się jeszcze jedną klęską całego Związku.

Jest to sytuacja przejściowa, w której podejmowanie decyzji

politycznych, strategicznych a nawet taktycznych może i powinno należeć do ekip jawnych, a zadania operacyjne, techniczno-organizacyjne do ekip niejawnych, które w ten sposób stają się ekipami wykonawczymi, zdolnymi jednak do powtórnego przyjęcia na siebie zadań i kompetencji ekip jawnych — kiedy te nie będą mogły działać. Do takiego podziału ról skłaniają między innymi uwarunkowania zewnętrzne i względy bezpieczeństwa. Ekipy jawne mają dużo lepsze możliwości rozeznania w sytuacji, wymiany informacji, lepszą orientację w sferze politycznej, natomiast nie mogą pełnić funkcji organizacyjno-technicznej ze względu na zagrożenie dla struktur wykonawczych. Ekipy niejawne mają dużo większe możliwości operacyjne i organizacyjno-wykonawcze, ze względu na anonimowość i tajność są natomiast ograniczone w innych sferach. Trudno im o szeroki szybki dostęp do informacji, o szybką, szeroką wymianę poglądów, a zatem o sprawne wypracowywanie decyzji politycznych a nawet taktycznych. Zresztą właśnie to nie raz dotkliwie odczuliśmy w okresie stanu wojennego, i później także. Taki schemat podziału ról został opracowany przez doradców TKK.

Jednak w rzeczywistości dzieje się nieco inaczej. TKK nie okazała się skłonna do przyjęcia nowej roli, postrzegając ją nie jako odciążającą, ale jako ograniczającą. W dodatku nie będąc w stanie podołać wszystkim zadaniom, którymi jest przeciążona, wybrała inny, przeciwny wariant, a mianowicie stopniowe przekazywanie niektórych istotnych decyzji organizacyjnych działaczom powołanym w pierwotnym zamierzeniu do pełnienia funkcji wyłącznie wykonawczych.

J.C.: — *Nie bardzo to wszystko rozumiem.*

W.K.: — TKK nie będąc w stanie sprawnie załatwiać tego mnóstwa spraw bieżących, jakie przynosi codziennosc powołała paru działaczy i powierzyła im dziedzinę, w których mają oni wykonywać zlecenia TKK — ściśle według instrukcji TKK. To jest właściwie coś w rodzaju urzędników wykonawczych. Otóż niektórzy spośród tych działaczy mając własne wizje urzędowania rzeczywistości i ambicje do ich zrealizowania, oczywiście korzystają z okazji, chętnie wyręczają TKK idąc w tym dalej, niż należy. Rozszerzają oni tym samym zakres własnych kompetencji, niekiedy podejmując bynajmniej nie błahе decyzje organizacyjne niejako za TKK, co już kilkakrotnie pociągnęło za sobą poważne perturbacje.

J.C.: — *Prawda jest taka, że Rada poza tym, że powstała, nie wydała dotychczas żadnego oświadczenia a idzie czwarty miesiąc. Podobnie postąpiły (przepraszam bardzo) te wszystkie jawne*

struktury. Czyli — powstaje wrażenie, że one nie robią nic. Natomiast decyzje podejmuje w tej chwili organ kompletnie anonimowy, w dodatku (z tego, co mówiłeś) obrastający własnym aparatem, również anonimowym. Mamy więc sytuację, gdzie ci co dotychczas uwiarygodniali władze „Solidarności” — ludzie z nazwiskami, osobistym autorytetem, budzący zaufanie — są w praktyce odsunięci. TKK przeszła na pełną anonimowość. W moim poczuciu ruch „Solidarności” jest wystarczająco szeroki, by można się było zaniepokoić, że jego członkowie nie mają na decyzje żadnego wpływu, są zarządzani przez ciało anonimowe, tym samym nie ponoszące żadnej odpowiedzialności osobistej za podejmowane decyzje. Czy tak nie jest?

W.K.: — Niezupełnie tak jest. Dlatego, że członkowie Związku mogą dotrzeć do TKK przez ogniwa regionalne. Każde z większych ogniw regionalnych ma swojego przedstawiciela w TKK i TKK składa się z przedstawicieli regionów.

J.C.: — Ale co innego dotrzeć, a co innego mieć wpływ. Przed tą wielką zmianą istniał na przykład obyczaj konsultowania. Rzeczywiście co pewien czas przychodziły do rozmaitych struktur pytania na rozmaite tematy. Co prawda nigdy nas nie informowano jakie były wyniki tego sondażu.

W.K.: — Ten obyczaj nie zniknął. Przed miesiącem Region Mazowsze wysłał do wszystkich ogniw zakładowych ankiety i część tych ankiet już wróciła, na część czekamy. Były to ankiety z gotową propozycją pewnych działań, z pytaniem o możliwości tych działań i o konkrety dotyczące zakładu: w jakiej sferze te działania może podjąć. Ostatnie ankiety zostały wysłane do zakładów przed paroma tygodniami.

J.C.: — W jakiej liczbie?

W.K.: — W dużej. Chodziło o to, żeby one dotarły do każdego dużego i średniego zakładu pracy — przede wszystkim produkcyjnego. Ja sam rozprowadziłem kilkadziesiąt. A rozprowadzało te ankiety co najmniej kilkanaście, jeśli nie parędziesiąt osób.

J.C.: — To jest jakaś odpowiedź, to mnie trochę pociesza. Co jednak z Radą, która powstała i milczy?

W.K.: — Sprawność funkcjonowania TRS w roli, jaką powinna pełnić, jest w obecnej sytuacji znacznie ograniczona przez konieczność nieustannego porozumiewania się i konsultowania każdego słowa z TKK.

J.C.: — Tak więc to, co miało usprawnić w gruncie rzeczy strasz-

liwie wszystko utrudniło. TRS nie jest w stanie niczego ogłosić, bo ciągle coś konsultuje.

W.K.: — Powołanie TRS stało się ponadto przyczyną poruszenia w kręgu zaniepokojonych doradców i zaktywizowało ich, niekoniecznie w najlepszy sposób. Przykładem jest list w sprawie sankcji ekonomicznych stosowanych wobec PRL przez Stany Zjednoczone. Wystosowany został niedługo po powołaniu TRS, ale bez jakiegokolwiek uzgodnienia z nią. To była samodzielna inicjatywa doradców, ich samodzielny krok bez choćby uprzedzenia TRS o nim. Wśród tych sprzeczności musi się poruszać i jakoś je godzić Przewodniczący Związku. To jest zadanie nie do pozazdroszczenia. Jest to sytuacja, w której decyzje polityczno-strategiczne — jak je nazwałeś — są wypadkową różnych orientacji i ścierających się wpływów. Decyzje doraźne — rozumiem, że masz na myśli decyzje operacyjne — są podejmowane głównie na szczeblu regionalnym i realizowane na tym samym albo na niższych szczeblach w miarę możliwości poszczególnych struktur. Jeśli chodzi o egzekwowanie — trudno o tym mówić, bo znam tylko sporadyczne przypadki bezwzględnej konieczności egzekwowania, a i możliwości tego mamy praktycznie żadne.

J.C.: — Po tym co powiedzieliśmy, przestaję dostrzegać wagę roli ośrodka ogólnego, czy ogólnokrajowego, czy to jest TRS czy TKK. Skoro decyzje bieżące podejmowane są na szczeblach regionów, a regiony mają bardzo różną specyfikę, bardzo różną ilość komórek, strukturę władzy itd. jaką właściwie rolę mogą odgrywać ciała ogólnopolskie?

W.K.: — Dam przykład: powstawanie nowych niezależnych związków zawodowych lokalnych w zakładach pracy. To są sprawy, wobec których nie można sobie wyobrazić, by różne stanowiska zajmowały poszczególne regiony. Tutaj wspólne stanowisko musi być wypracowane na szczeblu krajowym. I te sprawy powinny być domeną działalności TRS z Przewodniczącym Związku.

J.C.: — Ale to, co mówisz — to jest branie życzeń za rzeczywistość.

W.K.: — Niezupełnie. Wiem, że TRS się tymi sprawami zajmuje i interesuje się tym również TKK. Przypuszczam, że z czasem stanowisko w tych sprawach zostanie opublikowane.

J.C.: — Dobrze, ale czy jest chociaż gwarancja, że gdy któryś z tych organów zabierze głos, to będzie wiadomo, że został wypracowany konsensus między wszystkimi trzema? Czy nie grozi nam, że TKK będzie oświadczała swoje, Rada się z tym nie będzie

*zgadzała, albo będzie milczała albo będzie oświadczała swoje, a Przewodniczący jeszcze co innego?*

W.K.: — Nie chciałbym się bawić w proroka. Uważam jednak, że TRS, w której jest Przewodniczący Związku, w której są przewodniczący dużych regionów występujący z imienia i nazwiska, myślę o Bujaku, Frasyniuku, Lisie, Pałubickim i jeszcze paru innych osobach, które ponadto mają możliwość współpracy z doradcami Związku — otóż uważam, że to jest ciało kompetentne i przekonany jestem, że będzie zabierał głos w sprawach istotnych w sposób przekonywający. Sądzę też, że słusznie postępuje TRS usiłując zasięgać opinii i dokonywać uzgodnień. Pytasz mnie o to, czy mogą być rozbieżności? Jeśli TKK nie uzna w pełni kompetencji TRS, jeśli będzie uważała, że TRS prowadzi politykę sprzeczną z interesami TKK, to trudno mi powiedzieć, co zrobi.

J.C.: — *Wymknęło ci się jakieś bardzo szczególne sformułowanie — o interesach TKK. Sądziłem, że tu jednak powinno się myśleć o interesach Związku jako całości.*

W.K.: — Trafnie to zauważyłeś. Ale to jest tylko z pozoru bulwersujące. Trzeba pamiętać, że przez cztery i pół roku ogromna kadra ludzi pracowała w podziemiu. Coś zbudowała, do tego podziemia jest przywiązana. Teraz powstają struktury jawne, co więcej powstają lokalne związki niezależne, które...

J.C.: — *Co to są lokalne związki niezależne?*

W.K.: — Mówiłem już, ale powtórzę, bo to ważne. Na przykład pracownicy Stoczni Remontowej i Portu w Świnoujściu chcą powołać swój związek równoległy do związku rządowego. Taki sam związek chcą powołać robotnicy Stalowej Woli i innych ośrodków. Nie wiadomo na jaką skalę te ruchy się rozwiną. Jeśli chodzi o niezależne struktury jawne to przyjmuje się, że ich budowanie, czy rozbudowywanie powinno być oparte na ludziach niezaangażowanych dotychczas w pracę podziemną. Czy zawsze tak będzie? Czy nie może być tak, że ludzie zaangażowani w pracę podziemną będą chcieli wziąć udział także w tych działaniach jawnych? Tego wykluczyć nie można. Jest zrozumiałe, że przy pewnym sposobie myślenia, jaki wytworzył się u działaczy przez cztery i pół roku pracujących w podziemiu i je budujących działalność jawna może być postrzegana jako w pewien sposób zagrażająca, umniejszająca, przeszkadzająca działalności podziemnej. Zresztą takie głosy pojawiły się natychmiast po powołaniu TRS i jawnego RKW Mazowsze. TKK — jako podziemne ciało anonimowe, ciało zawiadujące strukturami podziemnymi — być

może ma nieco zwężoną perspektywę. To jest zrozumiałe, to są działacze przywiązani do działalności podziemnej. Być może, iż wartość, jaką stanowi podziemie nie pozwoli im w niektórych momentach na dostrzeganie spraw równie ważnych. I to jest tło, na którym łatwiej zrozumieć sprzeczności między TRS, a tym co nazwałem interesami TKK, czyli mówiąc teraz inaczej — intere-sem struktur podziemnych — związkowych.

J.C.: — *Czy tak rzeczywiście jest? Gdyby tak było, gdyby TKK reprezentowała w pełni interesy wszystkich podziemnych struktur, to by z tymi strukturami podziemnymi miała rozległe kontakty, to by im starała się pomóc.*

W.K.: — Przepraszam, ja nie powiedziałem, że TKK reprezentuje interesy wszystkich podziemnych struktur. TKK jest podziemnym kierownictwem podziemnego Związku i dba przede wszystkim o interesy podziemnych struktur związkowych, z którymi jest silnie i bezpośrednio związana, ponieważ przedstawiciele regionów w TKK są związkowymi działaczami podziemnymi.

J.C.: — *Kto to jest działacz podziemny? W tej chwili już ich w zasadzie nie ma... poza jednym zdaje się?*

W.K.: — Działacz podziemny to jest w tej chwili działacz anonimowy zaangażowany w strukturach tajnych — przynajmniej w zamierzeniu.

J.C.: — *Co to za struktury, i co robią?*

W.K.: — Tajne Komisje Zakładowe, Porozumienia Międzyzakładowe, Porozumienia Terenowe, tajne Komisje Regionalne, a także sama TKK. Tajne Komisje Zakładowe zajmują się między innymi sprawami zasiłków statutowych, kolportażu, zbieraniem składek, prowadzeniem lokalnych bibliotek związkowych, wydawaniem gazetek zakładowych (a w wielu zakładach takie gazetki są) utrzymywaniem normalnych więzi związkowych i w tych granicach, w jakich można — pomaganiem związkowcom, chronieniem ich interesów. Jeśli chodzi o Porozumienia Międzyzakładowe, Porozumienia Terenowe — w sferze ich działania znajdują się przede wszystkim związkowe drukarnie, czasopisma międzyzakładowe np. „Wola”, albo terenowe. Na przykład „Sektor”, który jest gazetką południowo-zachodniego sektora Warszawy i przyległości, oraz „Baza” miesięcznik polityczno-społeczny, wydawany przez toż Porozumienie. Dalej: pomoc zakładom w wydawaniu gazet zakładowych, zajmowanie się kolportażem prasy, koordynowanie działań między zakładami współpracującymi w Porozumieniu Międzyzakładowym, względnie w Porozumieniu Tere-



nowym. Dalej: grupy ulotkowe, audycje radiowe, wchodzenie na fonię i na obraz w telewizji. W tej chwili mamy już w Warszawie dwa programy radia związkowego, radia „Solidarności”. Jedna z rozgłośni nadaje audycje co tydzień, druga co dwa tygodnie. To jest ogromny wysiłek organizacyjny, ogromny zwłaszcza tam, gdzie chodzi o mniejsze ośrodki pozawarszawskie — choćby takie Siedlce. To wszystko mogą robić wyłącznie struktury podziemne. Na to są potrzebne fundusze, potrzebna łączność, siatka kolportażu, informacji, sprzęt, zaplecze techniczne, materiałowe. Tym wszystkim zajmują się struktury związkowe poczynając od Tajnych Komisji Zakładowych, poprzez Porozumienia Międzyzakładowe i Porozumienia Terenowe, Komisje Regionalne — aż do TKK.

J.C.: — *Wróćmy jednak do pytania o wpływ członków „Solidarności” na decyzje władz Związku.*

W.K.: — Nie możemy skorzystać z najważniejszego i najskuteczniejszego instrumentu wpływu na politykę władz NSZZ „Solidarności”. Tym instrumentem są niewątpliwie wybory: dawanie lub wstrzymywanie kredytu zaufania. Mocnym sposobem jest też jednak uznawanie lub nieuznawanie słuszności decyzji przez wprowadzanie ich w życie i podporządkowywanie się im — lub nie. Nasi związkowcy nie raz z tej możliwości skorzystali. Chcę przypomnieć tylko tak różne przykłady, jak: kontrola frekwencji podczas tzw. wyborów, rzeczywiście — całkowicie zaaprobowana, przyjęta, wykonana decyzja. I inny przykład: niedoszedł do skutku strajki. To jest bardzo mocny instrument wpływu na politykę władz związkowych. Dalej idą niezależna prasa i wreszcie konsultacje, ankiety itp.

J.C.: — *Mimo wszystko jednak, mimo istniejących powiązań i kontaktów zaczyna się mówić o władzach „Solidarności” wśród związkowców: „oni”. „Oni” się między sobą żrą, „oni” nie wiedzą co robią... Czy przypadkiem już nie powstał związkowy odpowiednik „onych”, jak ich nazwała Torńska?*

W.K.: — Dla mnie „oni” to ludzie, którzy wyłonili się, wychynęli z otchłani anonimowości nie dzięki gotowości służenia innym ludziom, nie dzięki przymiotom umysłu lub charakteru, nie dzięki własnemu dorobkowi intelektualnemu, twórczemu, duchowemu, czy też choćby tylko materialnemu, lecz dzięki temu, że w pewnym momencie dzięki własnemu sprytowi lub sprzyjającej koniunkturze zdołali ucześcić się, wskoczyć na jakiś szczebel, stopień, na jakąś platformę konstrukcji, jaką jest struktura społeczno-polityczna, kierując się przy tym własnym interesem różnie przez różnych pojmowanym. Obojętnie czy to będzie partia, zwią-

zek, stowarzyszenie. I tutaj ci ludzie zdołali się — jak to się mówi — załapać.

J.C.: — *To jest tylko geneza „onych”, jedna z możliwych: w ten sposób z nikogo można zostać kimś. Dla mnie jednak „oni” to ludzie, którzy się oderwali. Mogli być wyłonieni w wyborach, mogli być kiedyś uwielbiani — a potem się wyobcowali.*

W.K.: — *Pozycja „onych” w hierarchii społecznej jest moim zdaniem ściśle związana ze stanowiskiem, jakie zdobyli.*

J.C.: — *Zaczęłbym od tego, że „oni” — to nie są ludzie, których decyzje w tym samym stopniu dotyczą „ich” co i nas, to nie ci, którzy mają te same obyczaje, to samo życie. To władza, która żyje własnym życiem.*

W.K.: — *Moim zdaniem, jeśli pozycja „onych” bierze się wyłącznie lub przede wszystkim z miejsca, które gdzieś w tej konstrukcji, na tym szkielecie, rusztowaniu, zajęli, wynikają z tego przynajmniej trzy rzeczy: po pierwsze będą czynić wszystko co mogą, by co najmniej utrzymać raz zasiedlone stanowisko, a nawet wspiąć się na wyższe, bardziej widoczne, bardziej eksponowane, wygodniejsze, dające więcej siły, władzy. Po drugie: każdego innego osiedleńca będą postrzegali jako rywala, a nawet będą usiłowali go zepchnąć niżej, na gorszą pozycję. Po trzecie: będą każdą konstrukcją inną, aniżeli ta, którą sami wzniesli albo, którą sami zasiedlają, postrzegali jako konstrukcję rywalizującą, zagrażającą ich własnej. Wszyscy zatem, którzy budują coś innego, wszystek materiał, który zużyty jest na coś innego, wszystko to jest szkodliwe, albo co najmniej bezużyteczne, bowiem służy umocnieniu nie tego siodła na którym oni siedzą sami.*

„Oni” znajdują się w każdym systemie, w każdej strukturze społeczno-politycznej, tyle tylko, że gdy istnieje coś takiego jak wolne wybory — klimat dla „onych” staje się mniej sprzyjający. A ci, którzy się znajdują wśród tych „onych” — mnożą się gorzej, rozwijają się gorzej, podlegają selekcji, a więc nie są w stanie zdominować struktury społecznej. Związkowi przeprowadzenie wolnych wyborów uniemożliwiono, to nastroja pesymistycznie. Z drugiej strony jednak Związek nie posiada sił egzekucyjnych, którymi dysponowałiby związkowi „oni”. To nastroja optymistycznie. Ponadto w opozycji istnieje wolność prasy.

J.C.: — *Czy rzeczywiście tych sił władze Związku nie posiadają? Czy na przykład wydanie o jakimś zjawisku opinii nie jest już w tym przypadku samą formą sprawowania władzy?*

W.K.: — *Tak. Masz rację, ale jeśli mówimy o formach egzeku-*

cyjnych pozwalających „onym” zdominować społeczeństwo, nawet jeśli mówimy o społeczeństwie podziemnym, to takie siły egzekucyjne nie wystarczą. Potrzebna jest jeszcze co najmniej cenzura, by już nie mówić o czymś takim, jak policja. Nie uważam żeby Związek był wyjątkową, idealną strukturą społeczno-polityczną, a więc jak w każdej normalnej strukturze i w nim z założenia „oni” muszą być obecni. Widzę zagrożenie Związku przez „onych” dokładnie w takiej samej mierze, w jakiej widzę zagrożenie każdej struktury społeczno-politycznej i każdego społeczeństwa przez „onych”. Przy czym bardziej zagrożone są te społeczeństwa, które pozbawione są demokracji, mniej zagrożone te, które ją posiadają.

J.C.: — *Ale właśnie nasz Związek w tej chwili demokracji nie posiada.*

W.K.: — Nie posiada wolnych wyborów, ale z drugiej strony posiada wolną i niezależną prasę, a przynajmniej taka jest jej ogromna większość.

J.C.: — *Mówisz o naturalnej niedoskonałości struktur społecznych, a więc i struktur „Solidarności”. Wyobraź sobie jednak instytucję, która powstaje i przez cztery miesiące nie podejmuje żadnej decyzji, nie wydaje żadnego tekstu. Otóż ja widziałem często struktury niedoskonałe, ale takiej, która by — jak TRS — po powstaniu z wielkim szumem — nie zrobiła kompletnie nic — takiej nie widziałem.*

W.K.: — Uważam, że mówisz nieprawdziwie i niesprawiedliwie. Po pierwsze: zaraz po powstaniu TRS były sprzeczne, kłócące się, ale były oświadczenia TKK i TRS...

J.C.: — *O tym, że są, że istnieją...*

W.K.: — ... 16 stycznia ukazał się komunikat TRS z posiedzenia w Warszawie. Przyjęty i ogłoszony został dokument dotyczący grzywnien a przygotowany przez Komisję Interwencji i Praworządności. Jest wspólne oświadczenie TRS i TKK z drugiej połowy stycznia na temat gospodarki. Czyżbyś też nie wiedział o ogromnej akcji petycyjnej, która ma zasięg krajowy? Chodzi mi o poparcie dla wniosku prawników do Trybunału Konstytucyjnego. Ta akcja zaczęła być prowadzona w grudniu i w tej chwili w całej Polsce odbywa się zbieranie podpisów.

J.C.: — *Przecież to nie Rada wymyśliła, tylko grupa prawników.*

W.K.: — Tak, grupa prawników skierowała do Trybunału Konstytucyjnego wniosek o wszczęcie postępowania celem stwierdzenia

nia niezgodności ustawy o związkach zawodowych z Konstytucją PRL, Paktami Praw Obywatelskich i Politycznych oraz Konwencją nr 87 Międzynarodowej Organizacji Pracy. Chodzi o doprowadzenie do przywrócenia pluralizmu związkowego. Następny list, popierający, wydała duża grupa czołowych działaczy związkowych. Później komisje regionalne zwróciły się do związkowców i nie tylko do związkowców w swoich regionach z apelem o masowe zbieranie podpisów popierających ten wniosek. Czy tobie się zdaje, że przeprowadzenie całości tej akcji, to jest coś, co tak można z rękawa wytrząsnąć?... Chciałbym wreszcie powiedzieć i to, że same oświadczenia mocno zdewaluowały się i unikamy ich nadmiaru. Przede wszystkim muszą być konkretne poczynania, a te trzeba dobrze przygotować, co wymaga czasu, podobnie jak akcja z wnioskiem.

J.C.: — *Mówicie wiele o konieczności wypracowania programu. A to, o czym rozmawialiśmy rok temu: o budowie niezależnego społeczeństwa — o tym się teraz jakoś nie mówi. Chciałbym wiedzieć — dlaczego? Czy to jest tak oczywiste, że do tego nie wracamy? Czy też jest to niedoceniane?*

W.K.: — Prawdę mówiąc na forach związkowych niezależne społeczeństwo było problemem mocno kontrowersyjnym. Tu przypomnę, że hasło jego budowy padło właśnie w ostrej polemice, a następnie społeczeństwo to było budowane jeśli przy aprobacie, to niezbyt entuzjastycznej ze strony TKK.

Od początku do dziś dnia istnieją w Związku dwie różne orientacje w tak zasadniczej sprawie, jak kształt „Solidarności” w Polsce. Jedna orientacja, to orientacja na Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność”, widziany jako struktura hierarchiczna, scentralizowana i monopolistyczna. Co najwyżej z przybudówkami w postaci agend, komisji do spraw itp. oraz marginesowymi ugrupowaniami, których w żaden sposób nie da się inkorporować. Taki związek miałby jakoby lepiej odpowiadać potrzebom chwili, potrzebom walki w podziemiu. Jako wyznawców tej orientacji postrzegam niektórych podziemnych działaczy szczebla krajowego z ostatnich lat na przykład z Wrocławia, ze Szczecina, a także działaczy z Brukseli. Druga orientacja jest to orientacja na społeczny ruch „Solidarności” zorganizowany w społeczeństwo niezależne, pluralistyczne i zdecentralizowane, złożone z bardzo różnych niezależnych i samorządnych struktur jednoczonych wspólnymi ideałami „Solidarności” oraz wspólnotą celów, jak demokracja i niepodległość. W tej wizji NSZZ „Solidarność” zajmuje tylko jedno, bardzo ważne, może najważniejsze, ale niemniej tylko jedno z miejsc w całości ruchu. Jest równoprawnym partnerem różnego rodzaju komitetów spo-

łecznych, partii politycznych, ugrupowań młodzieżowych, konsorcjów, zrzeszeń itp. Taka orientacja zakorzeniła się wśród działaczy Regionu Mazowsze. Sądzę, że kontrowersje wokół właśnie tego problemu legły u podstaw różnicy zdań między naszym regionem, a niektórymi innymi regionami.

Na ogólnokrajowej mapie ruchu „Solidarności” region Mazowsze stanowi ośrodek o największym potencjale. Warszawa to największa aglomeracja miejska, największe skupisko inteligencji, najżywszy ośrodek myśli politycznej i społecznej, najłatwiejsze kontakty z zagranicą, najwięcej niezależnych oficyn wydawniczych, czasopism, największa różnorodność struktur niezależnych. Niejako z natury rzeczy właśnie tu musiała zrodzić się i zakorzenić koncepcja pluralistycznego ruchu „Solidarności”, która ten potencjał zaktywizowała i tak dalece, jak to jest dziś możliwe pozwoliła mu zaowocować. Jest to koncepcja oparta na wierze w ludzi, w ich odpowiedzialność, inicjatywę, rozum i wolę, dojrzałość społeczeństwa. Powiedziałbym: koncepcja humanistyczna. Być może, iż dla działaczy z nastawieniem bardziej paternalistycznym, by nie rzec autorytarnym, wychowanych już bez reszty w systemie komunistycznym, taka koncepcja jest nieco przerażająca. Może pozbawia ich poczucia panowania nad sytuacją, upatrują w niej zagrożenie; może właśnie tutaj odzywa się także coś, co można określić jako ego „onych”. Jak by nie było, trzeba przyznać, że na poziomie krajowego kierownictwa NSZZ „Solidarność” istnieje rozbieżność poglądów co do tego, czy ma być scentralizowana, hierarchiczna „Solidarność”, a później długo, długo nic i wreszcie marginesowe ugrupowania bez większego znaczenia — czy pluralistyczny ruch „Solidarności”, którego jednym z składników, choć najważniejszym, jest NSZZ „Solidarność”. Mam wrażenie, że właśnie to powoduje (z rzadka tylko przerywane) milczenie Związku na temat niezależnego społeczeństwa, samorządności i niezależności jego składników — mimo szermowania ogólnikowym hasłem pluralizmu. W tej różnicy poglądów tkwi jeszcze jedno niebezpieczeństwo. Otóż w niektórych ośrodkach, wśród niektórych załóg, o jakich już mówiłem, wobec niepowodzeń z jakimi spotyka się dążenie do odbudowy jawnej i oficjalnej „Solidarności” widać próby utworzenia lokalnych niezależnych i samorządnych związków zawodowych obok związków rządowych. Jak do tego ma się ustosunkować NSZZ „Solidarność”? Czy próby takie traktować jako odstępstwo, herezję, czy też odwrotnie — wesprzeć je, widząc pewną szansę na odrodzenie niezależnego, jawnego i oficjalnego ruchu związkowego? Obawiam się, że i w tej materii krajowe kierownictwo Związku jeszcze przez jakiś czas zachowa milczenie, bo sprawa ta również wiąże się ze sposobem widzenia kształtu „Solidarności”.

J.C.: — *Krótko mówiąc, ty jako ty i jako członek RKW Mazowsze byłbyś za tym, żeby takie próby spontanicznego budowania czegokolwiek niezależnego uznać a w każdym razie przyjrzeć im się z życzliwą uwagą. A są inni, którzy nie są do tego skłonni. Czy tak mam to rozumieć?*

W.K.: — Tak. Ja patrzę się na społeczeństwo m.in. również z punktu widzenia biologicznego. W biologii prawidłem jest to, że ekosystemy monolityczne — np. tajga, która jest uboga w gatunki, ale każdy z nich występuje masowo — bardzo łatwo ulegają klęskom. Pożar borem szpilkowym idzie jak huragan, nie zostawia nic. Kiedy pojawiają się szkodniki — mnożą się i wędrują z łatwością pożerając i niszcząc taki bór na ogromnych obszarach. Z drugiej strony — ekosystemy w których jest bardzo dużo gatunków, choć mniej liczebnych, są bardzo odporne. Różne gatunki nawzajem uzupełniają się, równoważą. Różnorodność blokuje powstawanie, rozwijanie i przenoszenie się zaraz, klęsk, pożarów. Uważam, że ze społeczeństwem dzieje się podobnie, że społeczeństwo, które jest ubogie w różnego rodzaju struktury — jest słabe, nieodporne wewnętrznie, bardziej podatne na różne zakłócenia i zwyrodnienia, a ponadto nie jest w stanie uruchomić ogromnych pokładów ludzkiej aktywności w wielu najrozmaitszych dziedzinach. I dlatego jestem zwolennikiem różnolitego, pluralistycznego społeczeństwa niezależnego.

J.C.: — *Mówimy o zaletach pluralizmu. Co ma więc znaczyć dziwna sprawa z oświadczeniem TKK z 4 października 1986 roku, opublikowanym w nowojorskim Nowym Dzienniku i dopiero po dłuższym czasie przedrukowanym w kraju, przez „PWA”. Oświadczenie to głosi między innymi, że: «TKK prosi donatorów o powstrzymanie się — w miarę możliwości — od precyzowania sugestii alokacyjnych dotyczących poszczególnych donacji. Pozwoli to zapobiec chaotycznym alokacjom środków przyznawanych niekiedy przez zagranicznych donatorów na poszczególne dziedziny aktywności „Solidarności”. (...) TKK NSZZ „Solidarność” prosi Zarządy MKWZZ, ŚKP oraz AFL-CIO i innych krajowych central związkowych o niedopuszczanie do starań o poważne fundusze bądź organizowanie dużych zbiórek pieniędzy na „Solidarność” przez osoby lub organizacje nie mające upoważnienia TKK, NSZZ „Solidarność” albo Biura NSZZ „Solidarność” w Brukseli. Jakiegokolwiek dotychczas istniejące upoważnienia tracą moc, a udzielane w przyszłości będą uwierzytelniane przez Biuro w Brukseli, zgodnie z Uchwałą TKK w sprawie Biura z dnia 04. 10. 1986. (...) TKK NSZZ „Solidarność” sprzyja pozyskiwaniu pomocy materialnej z zagranicy przez inne ugrupowania niezależne w Polsce. TKK jest jednak zdecydowanie prze-*

ciwna postępowaniu się nazwą „Solidarność” lub osiągnięciami „Solidarności” przez organizatorów takiej pomocy...».

Dotarli do nas — zanim jeszcze znaleźliśmy tekst — liczne opinie zza granicy, że „Oświadczenie” jest fałszywe i czym prędzej należy je zdementować. Bo na tle obyczajów przyjętych w społeczeństwach Zachodu jest ono nie tyle szkodliwe, co — przede wszystkim — kompromitujące. Wszelkie zachodnie fundacje i związki zawsze wspomagają to, co budzi ich sympatię i zaufanie. Pouczanie donatorów co i komu należy dawać jest mało eleganckie. „Oświadczenie” stanowi przykład skrajnego centralizmu biurokratycznego, a przede wszystkim jest sprzeczne z tym, co na temat pluralizmu i samorządności głosi „Solidarność” — a co właśnie zyskuje jej taką popularność na Zachodzie.

Dotąd nie opublikowano „Oświadczenia” oficjalnie w kraju, ale i nie zdementowano. Jeśli jest więc autentyczne — to na czym użytek zatajone? Co to w ogóle za obyczaje?

W.K.: — Chciałbym tu oddzielić te rzeczy o których wiem, o których będę mówił zaraz — od pewnych moich opinii, domniezań, sądów, o których powiem następnie.

Otóż „oświadczenie” z 4 października 1986 roku sygnowane przez TKK nie jest oświadczeniem uchwalonym ani podpisanym przez TKK. Zostało wyprodukowane przez jednego z działaczy, powołanych przez TKK do pełnienia funkcji pomocniczych. Mimo to TKK oświadczenia tego nie zdementowała, ani autora oświadczenia nie odwołała ze stanowiska za oczywiste przekroczenie zakresu uprawnień. To są fakty. A teraz moje osobiste opinie:

Moim zdaniem do zdementowania tego oświadczenia nie doszło co najmniej z dwóch powodów, po pierwsze: oświadczenie to w swojej treści odpowiada poglądom przedstawicieli niektórych regionów w TKK, więc trudno było osiągnąć konsensus co do dementi. Po drugie: są oni związani z działaczami i ośrodkami bezpośrednio zainteresowanymi wydaniem właśnie takiego oświadczenia, a być może czują się nawet uzależnieni od nich. Podkreślam, że są to wyłącznie moje osobiste opinie. Sądzę, że nieopublikowanie tego oświadczenia w kraju wynikało z obaw, że stałoby się ono co najmniej kontrowersyjne. A co do obyczaju wedle jakiego przedsięwzięto te posunięcia, to obraz, przynajmniej dla mnie, układa się nader charakterystycznie. Oto główne motywy tego obrazu w porządku chronologicznym: 1) zawarcie, podpisanie i opublikowanie dwustronnego paktu-porozumienia, mam na myśli umowę TKK z OKN-em z wiosny 1986 roku, 2) wydanie niejawniej instrukcji wykonawczej (mam na myśli oświadczenie z 4 października) *de facto* sabotującej realizację tegoż paktu i łamiącej go; 3) próba zachowania tej instrukcji w tajemnicy przed partnerem i przed własnym społeczeństwem,

choćby podziemnym; 4) zachowanie milczenia po opublikowaniu tej instrukcji przez nowojorski *Nowy Dziennik* a następnie przez PWA; 5) zarzucenie dziennikarzom z PWA iż działali na zlecenie mocodawców czyli Zbyszka Bujaka; 6) Zarzucenie „mocodawcy” machinacji mających na celu jątrzenie, podważanie, dywersję lub tym podobne bezcelestwa. Sądzę, że ten schemat wskazuje na pewną metodę o widocznych zapożyczeniach.

J.C.: — A więc to prawda, że niektórzy działacze mają za złe Bujakowi, że PWA przedrukował „oświadczenie”. To znaczy — rozumują: musiała być w tej sprawie zgoda „szefa”, bez niej do publikacji by nie doszło.

Ten drobny szczegół ma dla nas znaczenie kapitalne. My wiemy, że niezależna prasa jest naprawdę niezależna, żadna — z tych, które znamy — redakcja nie daje nikomu tekstów do zatwierdzania — i uważamy, że tak powinno być. Skoro istnieją na tę sprawę inne poglądy, świadczy to, że duch PRL przeniknął do podziemia. Co o tym sądzisz?

W.K.: — Tak, to jest prawda. I właśnie o tym mówiłem przed chwilą. Z punktu widzenia takiego przedstawiciela jednego z dużych regionów w TKK, który kontroluje osobiście każdy numer regionalnego czasopisma związkowego przed puszczaniem go do druku, musi wydawać się nie do pomyślenia, aby PWA mógł opublikować tak ważny dokument, w dodatku nie udostępniony prasie krajowej, bez zgody Zbyszka, albo nawet — więcej — bez jego jednoznacznego polecenia. Wiem że z kolei z perspektywy regionu Mazowsze taka interpretacja brzmi wręcz niewiarygodnie, absurdalnie, ale jest faktem, iż tak właśnie zinterpretowano krajową publikację oświadczenia. A co o tym sądzę? Niewiele. Widzę w tym jeszcze jeden widomy symptom, że zaraza przeniknęła do samej Grenady, że nas samych dotknęła czerwonym paluchem i na nas samych wypaliła czerwone piętno. Poza tym ten drobny epizod rzuca nieco światła na podłoże, charakter trudności z jakimi spotyka się współpraca Mazowsza z niektórymi innymi regionami.

J.C.: — W powszechnym odczuciu „oświadczenie” wymierzone jest w niezależne firmy, jak OKNO, Fundusz Niezależnych Wydawnictw, Zrzeszenie Video oraz dziesiątki wydawnictw, pism posiadających własnych przedstawicieli za granicą i uzyskujących własne środki. Jeśli tak — byłoby to ostre zanegowanie koncepcji społeczeństwa niezależnego, podważenie samych zasad niezależności i samorządności oraz karykaturalna próba scentralizowania władzy i decyzji. Można podejrzewać — co się nie mieści w głowie — że komuś bardziej zależy na centralizacji i władzy niż na istnieniu niezależnego społeczeństwa.

W.K.: — W moim odczuciu oświadczenie to wymierzone jest nie tylko w struktury, jakie wymieniłeś, ale ponadto także w region Mazowsze, który prowadząc działalność na chyba największą skalę musi uzyskiwać własne środki dodatkowe i zawarł szereg umów o współpracy z zagranicznymi związkami zawodowymi oraz posiada własnego przedstawiciela w osobie Ireny Lasoty, upoważnionej do pośredniczenia w naszych kontaktach z niezwiązkowymi organizacjami społecznymi na obszarze Ameryki. Zresztą i inne regiony posiadają podobne umowy oraz swoich zagranicznych przedstawicieli. To, co powiedziałeś wydaje się absurdem ze złego snu, nocnym koszmarem, ale niestety nie potrafię do tego nic dodać ani ująć. Być może jestem w złym nastroju. Jednak w chwili obecnej myślę o pewnych faktach, z których nie da się wywieść zaprzeczenia tego, co powiedziałeś. Jeśli próbowałbym to czynić — oszukiwałbym przede wszystkim sam siebie, a także ciebie i czytelników.

Aby nie być gołosłownym przytoczę jeden przykład może najbardziej drastyczny, ale pouczający; dotyczy on mianowicie sytuacji w Łodzi. Tam przewodniczący regionu, Andrzej Słowik, który skądinąd potrafił zachować nieugiętą, wspaniałą postawę i niezwykły hart ducha w więzieniu, po powrocie do regionu zastał całkiem nieźle zorganizowane i funkcjonujące podziemie, mające swojego przedstawiciela w TKK. Niestety, współpraca i porozumienie — jak dotychczas — okazują się niemożliwe. Przewodniczący ma swoje centralistyczne wizje, a struktury podziemne obawiają się dezorganizacji i — co tu dużo mówić — apodyktyczności przewodniczącego. Ten jednak zdołał zablokować dostawy środków przeznaczonych dla funkcjonujących struktur. Środki te dostały się następnie w ręce innych grup. To by było jeszcze pół biedy, gorszą i gorszą rzeczą jest równoczesne podjęcie dalszej bezpardonowej walki przeciwko tajnym strukturom regionalnym nie wyłączając Komisji Regionalnej, walki prowadzonej w tak otwarty sposób i przy użyciu takich środków, że nie pozostaje ona tajemnicą nawet dla służby bezpieczeństwa. Właśnie dlatego mogę, a nawet czuję się zmuszony mówić o tym otwarciu.

Nie chciałbym jednak dramatyzować tego, co dzieje się w Łodzi. Historia różnych struktur społeczno-politycznych, różnych stronnictw, ugrupowań dostarcza nam nader licznych przykładów podobnych przypadków i nie jest to rzecz bezprecedensowa. Parę lat temu konflikt z nadto ambitnym Kornelem Morawieckim a następnie jego secesję przeżył region Dolnośląski, sytuacja wydawała się dramatyczna. Później stosunki jakoś się ułożyły i obecni przywódcy związkowi tego regionu współpracują z secesjonistą, a także w innych regionach współpraca z „Solidarnością Walczącą” się ułożyła. Uważam — podobnie, jak moi

koledzy z RKW Mazowsze, że na ułożenie, uporządkowanie takich spraw potrzeba czasu i cierpliwości.

J.C.: — Są firmy, które przyjmują, że „oświadczenie” z 4 października jest to wyłącznie sprawa Związku (ewentualnie mierzy w „Solidarności Walczącej”) i reszty niezależnego społeczeństwa nie może dotyczyć. Gdyby usiłowano objąć przepisami zawartymi w „oświadczeniu” całość ruchu oporu w Polsce, niezależne firmy będą musiały podkreślić publicznie, że są niezależne również od Związku. Czy nie byłoby to wielce szkodliwe dla nas wszystkich?

W.K.: — Tak. Niewątpliwie byłaby to wielka szkoda. Ale rozumiem was. Sam stoję wobec dylematu — przyzwalanie na kroki ku wielkiej centralizacji, czyli w moim przekonaniu wyrażenie zgody na podcinanie korzeni ruchu „Solidarności”, a więc i samego Związku, prowadzące do unicestwienia tego, co zdołaliśmy zbudować przez pięć lat — czy przeciwstawienie się krokom ku wielkiej centralizacji, co być może przyczyni się do zwiększenia napięcia wewnętrznych w Związku. Obawa przed tym właśnie często leży u podstaw powściągliwości moich kolegów z RKW.

Jeśli decyduję się na drugą ewentualność, udzielając tego wywiadu — czynię to z paru powodów. Po pierwsze widzę w przeciwstawianiu się dążeniom do centralizacji większą szansę ocalenia rzeczywistej jedności ruchu. „Solidarność” przetrwała nie jedną ostrą kontrowersję. Po drugie: jeśli miałyby przetrwać jako wielka centralizacja, naznaczona piętnami „kierowniczej roli” i „centralizmu demokratycznego”, a więc kosztem rezygnacji z pluralizmu, niezależności i samorządności — czyli upodobniona do struktur komunistycznych, to do takiego przetrwania nie mam ochoty dokładać ręki. Po trzecie: nie uważam by takie środki mogły prowadzić do dobrych celów. Byłbym wreszcie w niezgodzie z prawdą, gdybym nie powiedział, że nadmiarem cierpliwości nie dysponuje.

J.C.: — Kiedy przed rokiem mówiliśmy o relacjach między „Solidarnością” a firmami niezależnymi — rola Związku wydawała się jasna. Sytuacja się zmieniła, co już sobie powiedzieliśmy, jak jednak widzisz tę zmianę?

W.K.: — Wydaje mi się, że sytuacja wewnętrzna ruchu „Solidarności” zorganizowanego w społeczeństwo niezależne wydaje się zmieniać pod pewnymi względami na niekorzyść. Jak pamiętasz, podpisanie umowy TKK z OKN-em w pewnej chwili stało się koniecznością wobec prób ingerencji niektórych działaczy związkowych w sprawy organizacyjne OKN-a, co tylko utrudniało jego działanie. Do zawarcia umowy doszło nie bez oporów, zwłaszcza ze strony przedstawiciela Dolnego Śląska. Umowa ta

została źle przyjęta również przez Brukselę, a opublikowania za-  
twierdzonej wówczas instrukcji wykonawczej w ogóle nie udało  
się wywalczyć. Obecnie zdecydowanym zwolennikiem rzeczywis-  
tego a nie tylko werbalnego pluralizmu ruchu „Solidarności”,  
a więc pełnej niezależności i samorządności nie tylko naszego  
Związku, ale i wszelkich innych struktur (mam tu na myśli komi-  
tety społeczne, oficyny poligraficzne, fonograficzne i videograficz-  
ne, czasopisma, ale także inne) pozostaje nadal region Mazowsze.  
*De facto*, choć nie werbalnie przeciwnie stanowisko zajmują w  
TKK przedstawiciele głównie dwóch regionów: Dolnośląskiego  
i Szczecińskiego — przy ambiwalentnym, zmiennym stanowisku  
lub neutralności pozostałych.

Gdzie leży przyczyna takiego przesuwania się akcentów, ta-  
kiego kierunku zmian? Mówiąc o tym chciałbym na wstępie  
zaznaczyć, że jeszcze przed grudniem w stosunku do innych struktur  
też występowały w Związku te obie tendencje — zarówno  
dążenie do centralizacji, jak i dążenie do poszerzenia zakresu auto-  
nomii poszczególnych regionów i branż. Po grudniu w podziemiu  
nasz Związek mógł odbudowywać się na pozostałościach struk-  
tury przedgrudniowej. Inne struktury niezależne powstały róż-  
nie, jedne na skutek uniezależniania się inicjatyw społecznych,  
które przed grudniem z konieczności chroniły się pod parasol  
związku i traktowane były jako mało ważne jego agendy, inne  
były kontynuacją struktur z okresu KOR-u, a jeszcze inne zaczy-  
nały od zera. Wszystkie te struktury stanowiły jakby mikropo-  
tencjały nie mające porównania ze Związkiem. Wówczas także  
aktywność Związku, nadzieje w nim pokładane, zainteresowanie  
społeczne jakim były darzone sprawy, którymi się zajmował, a  
wreszcie środki, jakimi dysponował były znacznie większe w po-  
równaniu do sytuacji innych struktur niezależnych. Stopniowo  
ten stan rzeczy zmieniał się. Głównymi ośrodkami aktywności  
społecznej stały się środowiska pozazakładowe, związkowe poro-  
zumienia międzyzakładowe i terenowe, środowiskowe ośrodki  
działalności kulturalnej i oświatowej, wydawnictwa oraz kręgi ich  
odbiorców. Siłą rzeczy prowadziło to do zwiększenia aktywności  
komitetów społecznych, działających na polach praw człowieka i  
obywatela, kultury, oświaty, nauki, zdrowia i in. Poszerzało krąg  
ich klienteli, że się tak wyrażę, prowadziło do zwiększenia fun-  
duszy na nie łożonych. Można zaryzykować stwierdzenie, że rów-  
noległe i w pewnym stopniu odwrotne procesy zachodziły w od-  
niesieniu do Związku. Sytuacja wymagała nawiązania ściślejszej  
współpracy Związku z odpowiednimi pozazwiązkowymi struk-  
turami niezależnymi i otoczenia większą opieką ze strony Zwią-  
ku tych obszarów życia społecznego, które zaczęły wykazywać  
tendencje rozwojowe. Tak stało się m.in. w regionie Mazowsze.  
W skali kraju pierwszym krokiem w tym kierunku było pod-

pisanie umowy między TKK a OKN-em. Później niestety zbyt  
wielu eksponowanych działaczy związkowych z niektórych innych  
regionów, jak również zza granicy potrafiło w procesach o któ-  
rych mówiłem dostrzec tylko zagrożenie dla Związku, być może  
iż również dla osobistej roli. Moim zdaniem tu właśnie leży  
przyczyna rozdzwięku między Związkiem nie będącym w stanie  
otrząsnąć się z ciągłot do osławionej „kierowniczej roli” i „cen-  
tralizmu demokratycznego” — a innymi wybijającymi się struk-  
turami niezależnymi.

Przypomina mi się tu pewien epizod z okresu mojej pracy  
nauczycielskiej. Kiedy młodziźka zniechęcona do harcerstwa prze-  
żartego komunistycznymi obyczajami, odwróciła się od niego roz-  
winęła autentyczne uczniowskie samorządy. Cieszyły się dużym  
uznaniem i zainteresowaniem. Przy nich komunistyczne drużyny  
harcerskie stały się właściwie fikcją. Lokalne władze zwoływały na-  
radę tzw. aktywu, by znaleźć sposób na podniesienie rangi i  
uzdrowienie harcerstwa. Znalazły tylko jeden przepis: rozwią-  
zać samorządy uczniowskie, albo podporządkować je harcerstwu.  
Obawiam się, czy nieco podobny styl myślenia nie występuje  
u niektórych działaczy związkowych.

J.C.: — *Zmieniając temat chciałem dodać dwa pytania: 1) Stwier-  
dziliśmy, że od pamiętnej daty 11 września, drastycznie spadła  
ilość kontaktów własnych, w naszym przypadku regionu, z roz-  
maitymi firmami niezależnymi.*

W.K.: — Od 11 września?...

J.C.: — *Od ujawnienia się...*

W.K.: — Ujawnienie się było 30 września.

J.C.: — *11 września, to jest — uznana za historyczną — data  
amnestii. Wtedy zaczęło się coś nowego. A kontaktów z RKW  
mamy mniej. Czyli jakby zmniejszyła się pula wspólnych inte-  
resów. Czy ty również to zjawisko obserwujesz?*

W.K.: — 30 września została utworzona w regionie, to znaczy  
przeszła do jawnej działalności Regionalna Komisja Wykonaw-  
cza. Cały aparat pomocniczy został w podziemiu. Wysłała tylko  
Regionalna Komisja Wykonawcza, to jest kilka osób. To wszyst-  
ko. W związku z tym my sami musimy spełniać nie tylko tę rolę,  
co w podziemiu, ale także do pewnego stopnia przejąć funkcje  
aparatu wykonawczego, którego nie mogliśmy ujawnić, który po-  
został zamrożony w podziemiu... Być własnymi łącznikami,  
sekretarzami itd.

Z drugiej strony nastąpiło zjawisko odwrotne, ponieważ znaj-

dujemy się pod swoimi adresami, jesteśmy działaczami jawnymi, w związku z tym wszyscy mają do nas łatwe dotarcie. Otóż na drugi dzień po ujawnieniu się otrzymałem pierwszy z serii listów, które nadal co dwa, co trzy dni znajduję. Była to karteczka, napisana przez robotnika, która miała treść następującą: Jesteś naszym delegatem, jesteś przez nas wybrany, o godzinie tej i tej, tu i tu masz spotkanie z przedstawicielami załogi tego i tego zakładu. Koniec. Kropka. Oczywiście musiałem iść. I otóż chcę wam powiedzieć, że od 30 września do tej pory nie spędziłem ani jednego dnia w domu, dlatego że każdy z nas jest zapraszany na tyle spotkań, tylu ludzie chce się z nami zobaczyć. Jeśli teraz zestawicie to z obciążeniem organizacyjnym, które mamy, to zobaczycie że po prostu brak nam czasu nie tylko dla Was, ale nawet dla siebie. I uważam, że jeśli zmniejszyła się ilość kontaktów ze strukturami podziemnymi, to raz ze względów bezpieczeństwa mamy utrudniony kontakt z nimi, po drugie zostaliśmy bez aparatu pomocniczego. Po trzecie jesteśmy tak obciążeni spotkaniami ze związkowcami, że gonimy w piętę.

J.C.: — *Bardzo interesujące, krzepiące. To że nie masz czasu dla nas, to znaczy, że jednak masz czas dla licznych związkowców. Bardzo dobrze! Ale jak owocne są tego rodzaju spotkania?*

W.K.: — Na owoce tego co się dzieje od 30 września, czyli przez trzy miesiące trzeba będzie jeszcze poczekać. Proszę zwrócić uwagę, że przez 5 lat działaliśmy w podziemiu. Organizacja struktur podziemnych kosztowała dobre dwa lata. Przeszliśmy do działalności jawnej. To jest zupełnie inny mechanizm działania, zupełnie inny styl działania, dla którego również nie ma wzorców, bo to jest działalność jawna na dużą skalę, ale nieakceptowana przez władzę. Jawna, ale ścigalna. To wymaga zupełnie innego sposobu działania, zupełnie innych mechanizmów działania, zupełnie innych struktur, inaczej przygotowanych, inaczej nastawionych. Jeśli przez dwa lata organizowaliśmy struktury podziemne, zanim zaczęły jako-tako funkcjonować, to trudno wymagać byśmy w ciągu 3 miesięcy zdołali przy nowym rodzaju działalności zacząć funkcjonować sprawnie.

J.C.: — *Ale z tego, co mówisz wnioskuję, że jest to w każdym razie interes, który się rozwija, a nie zwija.*

W.K.: — To jest interes, który przechodzi stadium przeobrażenia.

J.C.: — *Co teraz — w praktyce — robi Związek dla firm niezależnego społeczeństwa, a co według ciebie powinien jeszcze robić?*

W.K.: — Co masz na myśli mówiąc Związek? Jeśli miałbym mówić tylko o części Związku, o wąsko pojętym własnym podwórku, czyli o regionie Mazowsze, to odparłbym, że robimy dla innych struktur niezależnych — wszystko, co tylko jesteśmy w stanie zrobić aby je podtrzymać, wspierać i z nimi współpracować. Jeśli mówię o Związku w skali krajowej i o niektórych innych regionach to życzyłbym sobie, i nie tylko sobie, jednej podstawowej rzeczy — a mianowicie tego żeby niektórzy działacze związkowi wreszcie zaczęli widzieć w innych strukturach niezależnych swoich sojuszników zarówno w walce z komunizmem, jak i we wzmacnianiu znaczenia, potencjału i aktywności samego Związku, efektywności jego działania, a nie postrzegali jako rywali, którzy zagrażają Związkowi, a może nawet pozycji tego czy innego działacza. Gdyby tak się stało, to co najmniej nie szkodzilibyśmy sami sobie takimi skandalami, jak „oświadczenie” z 4 października 1986, by nie mówić o zakulisowych grach mających na celu podważenie wiarygodności takich czy innych struktur niezależnych, ich działaczy oraz współpracowników, także zagranicznych. A więc na pytanie: co robić? odpowiadam starą zasadą: najpierw nie szkodzić. Jeśli uda się to osiągnąć w niektórych innych regionach i za granicą, to dalej chętnie służyliśmy doświadczeniami z regionu Mazowsze, z Górnej Śląska i nie tylko.

J.C.: — *Mam pytanie pomocnicze. Czy jest szansa, że „oświadczenie” z 4 października nie zaszkodzi?*

W.K.: — Uważam, że potencjalnie jest to na pewno szkodliwe, a czy zaszkodzi praktycznie i w jakim stopniu, tego po prostu nie wiem. Zależy ile rozsądku i oleju we łbie będą mieli ci, którzy je czytają, i jakie mają rozeznanie w sytuacji.

J.C.: — *Istnieją — najogólniej — dwie postawy wewnątrz opozycji. Jedna — że z komunistami nie da się rozmawiać, trzeba się od nich odwrócić i robić swoje. Druga — że na władzę należy oddziaływać, uprawiając z nią grę polityczną, wskazując jej obszary wspólnego interesu, dopracowując się konsensusu etc. Naszym zdaniem nie jest dobrze, gdy występuje konflikt między tymi postawami, gdy zwolennicy pierwszej oskarżają innych o zdradę, natomiast zwolennicy drugiej chcą coś załatwić z władzą kosztem tych pierwszych. Czy widzisz możliwość współistnienia, współdziałania tych postaw na różny sposób konstruktywnych?*

W.K.: — Te dwie postawy: odwracania się od komunistów i dogadywania się z nimi uzupełniają się. Potrzebne, a nawet konieczne są obie, choć przyznam, że należę do zwolenników pierwszej. Po prostu nie lubię z komunistami rozmawiać. To

jest jednak moja osobista sprawa i zgodnie z tym przekonaniem zajmuję takie a nie inne miejsce. Uważam, że postawa odwrócenia się, tworzenia faktów dokonanych, tworząc realne zagrożenie dla komunistów zmusza ich do targów z tymi, którzy chcą się targować. Z kolei gdyby nie było tych ostatnich może nasza walka przynosiłaby mniejsze, albo późniejsze owoce, wymagałaby większego nakładu i pociągałaby za sobą większe koszty.

Uważam że komuniści mają chyba tylko jedną receptę nie na likwidację podziemia, ale na zmniejszenie jego zasięgu. Ja nie mam nic przeciwko temu, żeby z tej recepty skorzystali. Tą receptą jest stworzenie takiego marginesu swobód obywatelskich, który dawałby ludziom aktywnym poczucie możliwości i sensu jawnych i oficjalnych a jednocześnie autentycznych choć ograniczonych działań społecznych, i który by to margines nie stanowił istotnego zagrożenia dla sprawowania władzy przez komunistów. Jestem przeświadczony, że taki margines istnieje i jest możliwy do znalezienia. Gdyby doszło do jego wykorzystania to uruchomione zostałyby liczne grupy społeczne dotychczas odmawiające aktywności zarówno po stronie komunistów, jak i w podziemiu.

Jednocześnie nastąpiłby niewątpliwie pewien odpływ ludzi z podziemia, tych którzy woleliby zająć się przecież sensowną, autentyczną, skuteczną i w jakiś sposób, choć ograniczenie, niezależną działalnością — a jednocześnie o ileż bardziej bezpieczną. Do szukania tego marginesu skłonić może komunistów tylko aktywność i siła bardzo niewygodnego dla nich podziemia. Ten margines byłby dla nich po prostu mniejszym złem. Jednocześnie jestem przeświadczony, że do zupełnej likwidacji podziemia już nie są w stanie doprowadzić w obecnej sytuacji. Zbyt liczne jest grono nieprzejeźdźnych po czterdziestu latach komunistycznych represji, oszustw i rabunków. W takiej sytuacji zwężanie tego marginesu i przykręcanie śruby prowadziłoby do przyboru w podziemiu. I odwrotnie poszerzanie tego marginesu i luzowanie śruby powodowałoby odpływ z podziemia. Na wypracowanie takiego stanu chwiejnej równowagi trzeba lat, ale byłoby to już coś.

Niech ci, którzy paktują z komunistami szukają dla siebie niszy ekologicznej, że się tak wyrażę, na tym marginesie — ale nie kosztem przeciwstawiania się podziemiu, nie za cenę przyzwolenia na wykorzystanie siebie przeciwko podziemiu. Z drugiej strony nieprzejeźdźni powinni docenić wartość jaką jest możliwość uruchomienia tych pokładów aktywności społecznej, jakich nie mogą uruchomić ani komuniści, ani podziemie — i nie rzucać zbyt pochopnie anatem na paktujących o ile tylko nie załatwiają swoich spraw i nie szkodzą podziemiu. Na przykład jeśli chodzi o

inicjatywę Marcina Króla i *Respubliki*, to uważam że miałyby zupełnie inny wydźwięk, gdyby podjęto ją nieco później, po zwolnieniu więźniów politycznych. Inaczej także przedstawiałoby się przystąpienie Władysława Siły-Nowickiego do Rady Konsultacyjnej gdyby nie jego mocno przedwczesne cenzurki moralności dla komunistów wystawiane w Ameryce. Inaczej wyglądałaby sprawa listu doradców i paru innych intelektualistów dotyczącego zniesienia sankcji, gdyby zaznaczyli, że występują z nim właśnie po pierwszych przejawach jakiego-takiego tolerowania przez komunistów nowopowstających jawnych struktur niezależnych, zamiast całkowicie to przemilczeć. Chyba tylko aptekarskie wyważanie między partykularyzmem a dobrem publicznym umożliwiłoby współdziałanie o jakim mówisz.

J.C.: — *Dlaczego wyszedłeś z podziemia?*

W.K.: — Z chwilą zwolnienia więźniów politycznych osiągnięty został jeden z podstawowych celów naszej walki w podziemiu i — co więcej — otworzyła się szansa postawienia istotnego kroku ku następnemu celowi. Tym krokiem było przejście do działań jawnych. Właśnie wówczas, kiedy komuniści nie chcą mieć więźniów politycznych, kiedy poczuli się zmuszeni do ich uwolnienia był czas na próbę podjęcia działań jawnych ze znacznie większym aniżeli poprzednio prawdopodobieństwem powodzenia. Podziemie nie jest wartością samą w sobie ani celem samym w sobie, jest tylko koniecznością i środkiem do realizacji innych celów. Jeśli na jakimś szczeblu, w jakiejś roli pozostawanie w podziemiu nie jest niezbędne i konieczne dla dalszego prowadzenia tych samych działań, wiodących ku tym samym celom, to na takim odcinku można i należy z podziemia zrezygnować. Uznałem, że nie tylko można ale należy podjąć próbę przejścia do działalności jawnej. Dlatego skoro tylko pojawiła się szansa na uchwycenie przyczółków na powierzchni i utrzymanie ich przez jakiś czas — skorzystaliśmy z tej szansy. Krajowe i regionalne jawne struktury związane są właśnie takimi przyczółkami mającymi oparcie w głębokim zapleczu podziemia, stanowiącego nasze główne siły, które długo jeszcze muszą być pieczołowicie chronione, pozostając w tym podziemiu. Przyczółki, jakie utrzymujemy i poszerzamy, powinny uzyskać wsparcie ze strony tych sił, jakie dotychczas nie były bezpośrednio zaangażowane w robocie podziemnej. Jest, płynie i upływa czas, w którym jawne działania powinny podejmować różnego rodzaju stowarzyszenia, kluby, niezależne i równoległe do rządowych zakładowe związki zawodowe itp. Jeśli takiego wsparcia nie uzyskamy, to — być może — dojdzie do tego, że w końcu utracimy w pewnej chwili te przyczółki, które wreszcie, po pięciu latach zdołaliśmy uchwycić.



J.C.: — *Mówiłeś o zdobytym przycótku jawności i o zachęcaniu innych środowisk, aby też takie przycótki dla siebie zdobyły, bo inaczej ten może być stracony.*

Jednak w oglądzie społecznym ten przycótek jawnej działalności — TRS — wygląda niezachęcająco. Po prostu jest to wywołanie innych środowisk do wyłaniania jawnych grup, które się wyłonią — i co? My uważamy, że powoływanie instytucji bez konkretnych zadań jest po prostu fikcją, jest marnowaniem pewnego potencjału. Otóż, jak mówię ta Rada i inne jawne ciała jeżeli nie będą miały wyraźnie sprecyzowanych terenów działania, i to działanie nie będzie widoczne, nie pociągną za sobą innych.

W.K.: — Na wszystkich szczeblach poczynając od zakładów pracy jesteśmy przeciwni zaczynaniu od wywieszania szyldów. Jeśli znajdują się grupy ludzi ze stowarzyszeń, związków twórczych, jakiegokolwiek inne grupy ludzi, które mają coś do zrobienia i chcą coś zrobić, to niech po prostu to robią. Natomiast nie chcemy żeby mieli tylko jeden pomysł na życie — wywieszenie szyldu. Proszę bardzo: niezależna Filharmonia im. Romualda Traugutta — jest, istnieje, żyje, występuje. W porządku, niech ma nazwę. Jeśli natomiast zebrałaby się grupa muzyków, którzy się ogłoszą Filharmonią im. Romualda Traugutta i nie dadzą żadnego koncertu, to to nie ma po prostu sensu.

J.C.: — *Dlatego prosimy o koncert Tymczasową Radę. Koncert potrzebny jak najszybciej... Mimo wszystko — potrzebny jest nam także w większym stopniu optymizm. Jakie widzisz powody do optymizmu?*

W.K.: — Bardzo nie lubię takich określeń: optymizm, pesymizm nawet realizm czy idealizm, i podobnych. To są słowa zużyte, nigdy nie wiadomo, co oznaczają. Jeśli już chcesz żebym powiedział coś w tej materii, rozumiem, że chodzi ci o coś osobistego — powtórzę słowa, jakie niedawno w niezapomnianej dla mnie rozmowie zacytował człowiek, którego pozwolę sobie nazwać moim przyjacielem, a mianowicie Bohdan Kosiński. Bohdan Kosiński przypomniał słowa Pascala: „Nie potrzebuję nadziei aby żyć, nie potrzebuję celu aby działać”. Niech czytelnik przekłada je sobie tak, jak uzna to za właściwe. Ani optymizm, ani pesymizm, ani realizm czy idealizm a tylko — samo życie.

## Notatki z Polski

(GRUDZIEŃ 1986 — STYCZEŃ 1987)

Już szósty miesiąc ekipa generała Jaruzelskiego stroi liberalne miny, nie wprowadzając żadnych rzeczywistych zmian liberalizacyjnych, a zarazem nekając opozycję na różne sposoby. Wyraził to *expressis verbis* nowy odwilżowy minister kultury i sztuki, prof. Aleksander Krawczuk: „Tak zwanego drugiego obiegu nie popieramy, ale i — oczywiście nie wchodząc w kwestie prawne — nie tępiamy zbytnio” (na konferencji prasowej 3 lutego). Nie tępić zbytnio — taka jest teraz linia nie tylko wobec podziemnego ruchu wydawniczego, ale i wobec wszelkich niezależnych działań. Władza ma poczucie, że — odkąd zamieniła sądy na kolegia, a cele więzienne na grzywny — może bez szkody dla swego *image'u* szafować tym bez umiaru. Od listopada, kiedy to w kodeksie wykroczeń znalazła się większość czynów „przeciwko państwu i porządkowi publicznemu”, do końca stycznia przed kolegiami stanęło sto kilkadziesiąt osób, a suma grzywnien według ostrożnych szacunków wyniosła 7 milionów złotych.

Intencja jest doskonale czytelna: chodzi o to, żeby represją objąć możliwie najszerszy krąg ludzi i jak najdotkliwiej ugodzić w nich finansowo. Ponadto nie bez znaczenia jest również funkcja odstrasząca. Co prawda niektórzy ukarani przez kolegia dostaliby przed 11 września sankcję prokuratororską i siedzieliby w więzieniu, ale też znaczna część w ogóle nie kwalifikowałaby się do niczego więcej niż rewizja czy zatrzymanie na 48 godzin. Teraz przychodzi im płacić wysokie grzywny za kilka bezdebitowych książek stojących na półce czy pojedyncze egzemplarze podziemnych gazetek, i to nie najświeższych. Jeszcze niedawno za coś takiego nic nie groziło. Doszło do tego, że kolegium nie zawahało się orzec 50 tys. zł grzywny za znaleziony w torebce w jednym egzemplarzu maszynopis z zapisem dyskusji na niezależnym zebraniu (skład orzekający obydwu instancji nawet go nie przeczytała, ponieważ inkryminowany tekst przez cały czas był w depozycie służby bezpieczeństwa) czy 30 tys. za wygłoszenie wiersza podczas odczytu w Tygodniu Kultury Chrześcijańskiej, co zakwalifikowane zostało jako „próba wywołania niepokoju publicznego”.

Zwraca uwagę fakt, że z reguły w sprawach politycznych grzywny są orzekane bez zamiany na areszt i że najczęściej kolegium korzysta z najwyższej możliwej kary 50 tysięcy (za to ani razu nie zasądziło jej w dolnym wymiarze 10 tys. zł). Mało tego, bez zastanowienia decyduje o przepadku przedmiotów, które arbitralnie uznaje za służące do popełnienia wykroczenia: trzech magnetofonów, bo na jednej kasecie było nagrane oświadczenie Tymczasowej Rady „Solidarności”; czterech maszyn do pisania

należących do różnych członków rodziny, bo podczas rewizji znaleziono tłumaczenie polskie *Amnesty International Newsletter*; komputera wraz z drukarką i dyskietkami, znajdującego się w mieszkaniu matematyczki, którą zatrzymano na granicy Czechosłowacji z podejrzeniem przekazania tam bibuły w plecaku (plecaka nie odnaleziono); radia, które miało na skali zaznaczone polskojęzyczne zachodnie rozgłośnie.

Najbardziej bulwersujące jest orzekanie przypadku samochodów. Od listopada do stycznia zarekwirowano ich osiem — więcej niż zawyrokowały sądy w sprawach tego rodzaju przez pięć lat od wprowadzenia stanu wojennego. W ten sposób w ręce kolegów, charakteryzujących się wyjątkowym prymitywizmem i brakiem kultury prawnej, dostało się bezprecedensowe uprawnienie, które pozwala beztrasko pozbawić obwinionego dorobku niekiedy całego życia (przypomnijmy, że cena małego fiata to równowartość ponad 40 przeciętnych pensji). Oburzająca jest możliwość orzekania kary tak drastycznej bez kontroli sądu.

Przedstawiając opinię prawną na ten temat, *Tygodnik Mazowsze* pisze: „Zespół ekspertów Komitetu Helsińskiego podkreśla, że praktyka ta odrywa się od całego systemu prawa wykroczeń. Przepadek rzeczowy jest bowiem karą dodatkową i stanowić jedynie uzupełnienie kary zasadniczej, powinien być z nią współmierny. Tymczasem wartość samochodu wielokrotnie przekracza górną granicę grzywny, jest to więc co najmniej częściowa konfiskata mienia, a takiej instytucji kodeks wykroczeń nie zna. Nawet kodeks karny przewiduje konfiskatę mienia tylko wyjątkowo, w przypadku niektórych groźniejszych przestępstw. Jest to kara majątkowa, o charakterze restytucyjnym (rekompensata szkód), podczas gdy kary za wykroczenia powinny ograniczać się do funkcji zapobiegawczej i wychowawczej. Tymczasem w praktyce kolegów przepadek samochodu przekształca się w środek represji majątkowej, nieuprawnionej na gruncie podstawowych zasad prawa wykroczeń”. Istnieje co prawda możliwość, by o przypadku środka transportu decydował organ pozasądowy — ma takie uprawnienia Izba Skarbowi — ale dla porównania przyjrzyjmy się, jakimi ograniczeniami jest to obwarowane: 1. przepadek może objąć środek przewozowy przysposobiony do przewożenia przedmiotów przestępstwa (jak np. samochód ze skrytką); 2. przypadku nie orzeka się, gdy wartość środka przewozowego znacznie przewyższa wartość przedmiotu przestępstwa (nie spełniałby tego warunku nawet samochód wypełniony bibułą po dach); 3. przepadek można orzec tylko przy skazaniu za przestępstwa, a nie za wykroczenia skarbowe; 4. ukarany ma prawo żądać skierowania sprawy do sądu. Tak więc zarówno w świetle analogii z kodeksem karnym jak i z ustawą karno-skarbową niedopuszczalne jest konfiskowanie samochodów na podstawie ogólnikowego sformułowania o możliwości przypadku przedmiotów służących do popełnienia wykroczenia.

Dodajmy do tego jeszcze, że kolegia w ogóle nie zastanawiają się, czy obwiniony rzeczywiście używał swego wozu do transpor-

tu „nielegalnych” wydawnictw. Zarekwirowano np. małego fiata zaparkowanego kilkaset metrów od dworca kolejowego, na którym złapano właściciela z walizką bibuły i kluczycami w kieszeni — na podstawie domniemania, że musiał tę walizkę przewieźć rzeczonym samochodem; innego „malucha” skonfiskowano, ponieważ jego właściciel miał przy sobie solidarnościowy kalendarz, lokalną gazetkę związkową z 1983 roku, broszurę o wydarzeniach poznańskich 1956 i *Zapis* z 1978 roku. Widać wyraźnie, że orzekanie przypadku stało się regułą, choć przepisy kodeksu wykroczeń mówią tylko o możliwości takiej kary dodatkowej. Nie ulega wątpliwości, że są w tej sprawie odgórne instrukcje, skoro niejednokrotnie rozprawa zaczyna się od pytania: a gdzie samochód?

Jest oczywiste, że związek musi zwracać pieniądze za grzywny i rekompensować konfiskaty samochodów — ludzie w takiej sytuacji nie mogą przecież być pozostawieni sami sobie. Nowa „depenalizacyjna” polityka władz pociąga więc za sobą groźbę finansowego wyniszczenia „Solidarności”. Zdarza się, że po dużej akcji w jakimś regionie trzeba płacić kilkaset tysięcy złotych. Tak było na Śląsku po grudniowych uroczystościach pod kopalnią „Wujek”, kiedy suma grzywnien nałożonych na 26 osób wyniosła 1.200.000 zł. Zbigniew Bujak zaapelował wówczas o pomoc finansową do związków zawodowych za granicą, zwłaszcza górniczych. Podobną łączną kwotę grzywnien orzeczono we Wrocławiu w związku z pokojową demonstracją ekologiczną na rzecz zamknięcia huty „Siechnice”. Wtedy również grupa dolnośląskich działaczy z Władysławem Frasińskiem zwróciła się do społeczeństwa polskiego i zagranicznych przyjaciół „Solidarności” o zbiórkę pieniędzy. Dramatyczny apel w tej sprawie ogłosiła Komisja Interwencji i Praworządności, powołana przez Lecha Wałęsę: „W warunkach nędzy zagrażającej ogromnej ilości rodzin — możliwość rekompensaty grzywnien może stanowić o perspektywach dalszej działalności NSZZ 'Solidarność'”. Jest to na tyle oczywiste dla wszystkich, że Tymczasowa Rada „Solidarności” uznała ten dokument za swój, poparała go również TKK, a Lech Wałęsa powołał specjalny Fundusz Grzywnien. Kampanię na rzecz gromadzenia pieniędzy na refundację podjęła prasa podziemna i struktury związkowe. Ten wspólny front dowodzi, że związek trafnie odczytał intencje władzy i zmobilizował się do przeciwdziałania.

Działania samoobronne są tym bardziej konieczne, że najwyraźniej władza zamierza posuwać się dalej w stosowaniu pozasądowych represji, które pozwalają jej legitymować się brakiem więźniów politycznych, a jednocześnie skutecznie nękać opozycję. Wymownym przykładem jest tu sterowany przeciek o projektowanych konfiskatach mieszkań wykorzystywanych do „nielegalnej działalności”. Fakt, że dokument taki wydostał się z Ministerstwa Sprawiedliwości, można uważać za próbę zastraszenia, ale nie sposób też wykluczyć, że pomysł taki mógł się zrodzić w kaprałskich umysłach rządzących. „Próba wprowadzenia w życie tej metody walki z opozycją oznaczałaby drastyczne

pogwałcenie zasad obowiązujących w cywilizowanych społeczeństwach i jako taka zasługuje na powszechne i stanowcze potępienie" — pisze Komitet Helsiński 14 stycznia do uczestników Konferencji KBWE w Wiedniu.

Do nowej linii świetnie pasuje też wykorzystywanie ustawy o pasożytnictwie, która dotąd właściwie nie była stosowana do zwalczania opozycji. Są już pierwsze przypadki grzywien wobec byłych więźniów politycznych, zwolnionych z „amnestii” 11 września — za to, że nigdzie nie pracują i nie zarejestrowali się w urzędzie zatrudnienia. Jednocześnie wielu z tych, którzy się tam zgłosili w poszukiwaniu pracy, odesłano z kwitkiem. Władysław Frasyniuk np., nieprzyjęty do macierzystego MPK, gdzie brakuje kierowców, zgłosił się do urzędu zatrudnienia i mimo jego pośrednictwa nie dostał pracy. Innym przykładem jest historia sześciu byłych więźniów politycznych z Lubina i Głogowa, którzy w liście do Sejmu napisali: „Wszystcy byliśmy górnikami, często z kilkunastoletnim stażem, o nienagannej opinii. Odmówiono nam pracy, pomimo że posiadaliśmy ważne skierowania z Urzędu Zatrudnienia. Czy możemy inaczej nazwać ten stan rzeczy, jak tylko zemstą za naszą postawę?”. Podajemy akurat te przykłady, ponieważ dotyczą zawodów, w których jest największy deficyt rąk do pracy. *Berufsverbot* w PRL stał się klasyczną bronią w walce z opozycją i nic nie wskazuje na to, by władza — monopolistyczny pracodawca — zamierzała z niego zrezygnować.

To samo można powiedzieć o polityce paszportowej. Co prawda na konferencji prasowej 3 lutego Urban przechwalał się, że „w ubiegłym roku 4,5 milionów Polaków wojażowało za granicę” — rzecz jednak nie w statystyce. W przyznawaniu paszportów panuje pełna dowolność, a odmowy są stosowane jako kara za nieprawomyślność. Choć wybiórczo, stosuje się jednak ten środek represji dość szeroko, od Lecha Wałęsy poczynając, a kończąc na zakładowych działaczach „Solidarności” i osobach podejrzewanych o aktywność podziemną na prowincji. W tej sprawie 25 naukowców Uniwersytetu i Politechniki Wrocławskiej w liście do gen. Jaruzelskiego z 9 stycznia poinformowało, że nie dostają paszportów bez względu na wagę spraw, jakie składają ich do starań o wyjazd (udział w międzynarodowych kongresach, przewodniczenie obradom, wygłaszanie referatów). Szczególnie drastyczne jest niewypuszczanie za granicę osób, które mają się tam leczyć, a nie podobają się władzy. Głośny stał się przypadek poety i krytyka literackiego z Wrocławia, Lothara Herbsta, który traci wzrok i przez wiele miesięcy musiał się dobijać o paszport, żeby wyjechać do RFN na operację oczu (dostał go wreszcie w styczniu br. po interwencji u gen. Kiszczaka).

Cały ten system nękania i szykan uwidacznia, jak fałszywe są deklaracje władzy o woli dialogu: teraz bat tnie może mniej dotkliwie, ale nadal pozostaje batem. Na drodze do porozumienia narodowego jest jeszcze jedna przeszkoda: „to, co się u nas nazywa walką ideologiczną” — powiedział Jerzy Jedlicki na spot-

kaniu dyskusyjnym grupy „Consensus” 12 grudnia. — „Jeśli pod tą nazwą rozumieć spór idei z ideami, to jest go u nas raczej za mało niż za wiele. U nas jednak walka ideologiczna oznacza coś innego: robenie z ludzi szmat, agentów i zdrajców. Manufaktura paszkwilów i obelg pracuje w Polsce nieprzerwanie od przeszło czterdziestu już lat (...). Ta manufaktura wciąż pracuje na wysokich obrotach”. I tutaj 11 września niczego nie zmienił. W ostatnich miesiącach np. obiektem szczególnie zjadliwych propagandowych ataków stał się Ruch „Wolność i Pokój”. Z prostego powodu: jest to w tej chwili najbardziej widoczne ugrupowanie opozycyjne. Jego akcje na rzecz zamknięcia huty „Siechnice” pod Wrocławiem, zatruwającej ujęcie wody pitnej dla miasta, przyczyniły się do tego, że władze zapowiedziały zlikwidowanie zakładu będącego źródłem zanieczyszczeń. Nie przeszkadza to jednak w opluwaniu „WiP”-u i szkalowaniu jego uczestników.

Stosunek władzy do „WiP”-u i jego postulatów jest dobrą ilustracją tego, że owo nowe, z którym mamy rzekomo do czynienia, to tylko słowa, słowa. Jednym z podstawowych celów „Wolności i Pokoju” jest umożliwienie odmawiającym służby wojskowej z powodu sprzeciwu sumienia odpracowania jej w społecznie użytecznej instytucji cywilnej. Specjalnie w tej sprawie zwołana została 16 stycznia konferencja prasowa z rzecznikiem Ministerstwa Obrony Narodowej i przedstawicielem Sztabu Generalnego LWP, którzy oświadczyli, że każdy poborowy ma do tego prawo. W rzeczywistości uwzględnia się tylko prośby osób o złym stanie zdrowia, a Wojewódzkie Sztaby Wojskowe mają wyznaczone limity poborowych, których corocznie mogą skierować do odpracowywania wojska. W tej chwili co prawda nie zamyka się „WiP”-owców, ale w więzieniach za odmowę służby wojskowej nadal siedzą świadkowie Jehowy.

Jedno trzeba przyznać: ekipie Jaruzelskiego naprawdę zależy na tym, żeby dobrze wypaść. Po staremu uprawia w tym celu naiwną grę pozorów. Na tradycyjnym noworocznym spotkaniu ministra Kultury i Sztuki z twórcami i artystami znienacka pojawił się gen. Jaruzelski, a nazajutrz prasa opisała je jako spotkanie I sekretarza z ludźmi kultury (tu lista stu kilkudziesięciu nazwisk i następnego dnia kolejnych kilkudziesiąt). Duże fotografie generała z pisarzami i aktorami na pierwszych stronach gazet mają nas przekonać, że porozumienie ze środowiskami twórczymi stało się faktem. Tymczasem Polska Sekcja PEN-Clubu jest nadal uśpiona, nie ma mowy o reaktywowaniu Stowarzyszenia Dziennikarzy i Związku Plastyków, nie było też żadnych propozycji dla pisarzy pozostających poza neo-ZLP czy aktorów, którzy nie chcieli wstąpić do nowego ZASP-u. Do pełnego obrazu trzeba dodać, że rodzona w bólach przez blisko pół roku Rada Konsultacyjna — która miała być ozdobą i ukoronowaniem liberalizacji — w ciągu dwóch miesięcy swego istnienia nie zabrała głosu w żadnej ważkiej sprawie.

W notatkach z zimowych miesięcy nie sposób pominąć zimy. Kilka mroźnych i śnieżnych dni pokazało, jak blisko jesteśmy „Małej Apokalipsy” Konwickiego: w coraz to innym miejscu pękały rury centralnego ogrzewania i wodociągowe, wysiadały instalacje elektryczne w całych kwartałach, ulice były prawie nieprzejezdne, nie działały niektóre linie telefoniczne, psuła się sygnalizacja świetlna na skrzyżowaniach. W wielu fabrykach stanęła produkcja, na wsi wystąpiły dramatyczne braki węgla. Część szkół została zamknięta, w innych skracano lekcje albo kazano dzieciom siedzieć w lodowatych klasach. Komunikacja miejska była zdeorganizowana, niektóre pociągi odwołane podczas mrozów nie kursują do dzisiaj. A przecież nie była to zima stulecia, tylko normalne styczniowe mrozy...

(ja)

## Sygnaly bez odpowiedzi

Piszę ten felieton na przełomie lutego i marca, w którymś już miesiącu ministrowania profesora Krawczuka, który wszem i wobec — choć miotając się w przeróżnych sprzecznościach — ogłosił w kulturze erę liberalizacji. Data tu szczególnie ważna: wydarzenia biegną z szybkością meteora, nie ma prawie dnia, aby od wschodu nie docierały pobudzające do zadumy nowiny. Zdarzyć się więc może, że kiedy ten tekst ukaże się w druku, trzeba będzie wszystko to włożyć już do historycznego lamusa. Ale póki co dzieją się rzeczy, którym należy baczenie się przyglądać. I nie stronić od uważnej lektury czasopism w rodzaju *Polityki*, który to organ, będący permanentnym „wentylem” dla każdej kolejnej ekipy, ma zawsze zainstalowany w redakcji czujny sejsmograf. Ostatnio drgania tego instrumentu są szczególnie częste i nader mocne. Jeszcze jesienią ubiegłego roku najbystrzejszy z dziennikarzy *Polityki*, Adam Krzemiński, w relacji ze zjazdu PEN-Clubu w Niemczech Zachodnich wspominał, że nieobecność polskiego PEN-u na arenie międzynarodowej przysparza krajowi sporo szkody. Była to nieśmiała jaskółka, ale jej pojawienie się nie mogło ująć uwagę; coś to przecież oznaczało.

Prawdziwy worek z rewelacjami rozpruł się jednak dopiero w kilka miesięcy później. Poprzedził je bzdurny, ale nader znamienity tekst zawsze gorliwego Koźniewskiego, zatytułowany „Moja propozycja”. To *curiosum*, istne pomieszenie z poplątaniem, a także dowód całkowitego braku orientacji w nastrojach literackiego środowiska, miało być czymś w rodzaju aktu łaskawości dla pisarzy pozostających poza nowym Związkiem Litera-

tów. Trudno odmówić sobie przyjemności, aby nie zacytować choć kilku zdań z tego elaboratu.

„Zarząd Główny winien winien ogłosić, poprzedzając stosownym wezwaniem ogólnym, że jeżeli w ciągu najbliższego pół roku (sprawa nie powinna być rozciągana na dłużej) zgłosi się do ZLP co najmniej stu (można dyskutować: stu pięćdziesięciu, dwustu?) dawnych członków ZLP, to będą oni mieli możliwość wybrania spośród siebie pięciu kolegów, którzy zostaną dookoptowani do ZG ZLP, a jeden spośród nich nawet do Prezydium ZG ZLP”.

Nie trzeba wspominać, że te miraży roztaczane przez samozwańczy „zlep” nie skusiły nikogo. Koźniewski — jak to już nieraz w przeszłości bywało — pozostał ze swoją propozycją z ręką w nocniku. Bo też „wiatr wolności” ze wschodu zawiewa coraz mocniej. Wieści, które dochodzą z ojczyzny rewolucji muszą wzbudzać zdumienie u największych nawet sceptyków. Nieoceniony Andrzej Drawicz — przeciskając się coraz śmieiej przez sito cenzury — nie żałuje w *Tygodniku Powszechnym* coraz to bardziej rewelacyjnych nowinek. A to z hukiem zlatują ze swoich foteli, jeden po drugim, zaufani dotąd działacze Związku Pisarzy, wciąż nowe, coraz śmielsze książki ukazują się w księgarniach, wyklęci dotąd autorzy podnoszą głowy. To samo dzieje się w filmie, w teatrze. Aż wierzyć się nie chce, że to jawa nie sen.

Tymczasem ostatniego stycznia sejsmograf w redakcji *Polityki* o mało się nie rozleciał; trzęsienie ziemi nabrało skali nieoczekiwanej. Na łamy pisma zawędrował przedruk artykułu z *Literaturnej Gazety*, pióra członka Akademii Nauk ZSSR, przewodniczącego sowieckiego Funduszu Kultury, Dmitrija Lichaczowa. Autor — nieklamany w swoim kraju autorytet moralny i naukowy — uderzył frontalnie. Bez żadnych osłonek, oświadczając na samym wstępie z zadziwiającą pewnością, że wszystko co się dziś w ZSSR dzieje ma charakter trwały i nieodwołalny, po kolei wymienił grzechy główne minionego okresu. Podpierając się tu i ówdzie Leninem — może ze względów taktycznych, a może rytualnych — oznajmił, że „u nas pisarstwo jest uważane za swojego rodzaju 'koryto'. Wydaje się książki i łokciami przebijają się do Związku Pisarzy, żeby nigdzie nie pracować, zapominając o tym, że chleb sztuki jest czerstwy i trudny”.

Następnie w najbardziej gorzkich słowach przytoczył nazwiska Pasternaka, Bułhakowa, Achmatowej, domagając się chociaż pośmiertnej sprawiedliwości dla dzieł tych i innych wielkich pisarzy, tak bardzo krzywdzonych za życia. W tym kontekście wymienienie „Doktora Żiwago” jako jednego z przykładów fałszywych ocen nie może już zaskoczyć. A dalej, to już niemal wyłącznie zdania, których na pewno nie powstydziliby się nasz drugi obiegi.

Ten sygnał z kraju „wielkiego brata” nie mógł pozostać bez echa. Aż się przecież prosiło, żeby dać jakiś głos z rodzimego podwórka, gdzie Żukrowski z Auderską wciąż trzymają się mocno. I oto jakby na zamówienie pojawiają się w tym samym nu-

merze dwa listy do redakcji na temat Związku Literatów Polskich.

Autorem pierwszego listu jest profesor Andrzej Lam, znany dotąd w środowisku filologów jako bynajmniej nie liberał. Lam — idąc z duchem czasu i pomny widać bzdur wypisywanych przez Koźniewskiego — postuluje spieszne zwołanie Nadzwyczajnego Zjazdu ZLP, na który winni być zaproszeni wszyscy członkowie dawnego Związku, z prawem korzystania z możliwości wyboru spośród siebie delegatów. Pikantnym szczegółem w tym tekście jest zawołana sugestia, że „koledzy obejmujący funkcje przedstawicielskie powinni sami wiedzieć, czy ich obecność stwarza sytuację otwartą”. To oczywiście odnosi się do aktualnego prezydium „neozlepu” z Wojciechem Żukrowskim na czele.

List następny, sygnowany przez dwóch mało znanych członków aktualnego ZLP w Gdańsku, idzie w swoich żądaniach jeszcze dalej. Domaga się zwołania w trybie szybkim walnego zjazdu wszystkich polskich pisarzy, na którym „wypracowano by jakąś formułkę umożliwiającą scalenie obu grup w taki sposób, który pozwoliłby obu stronom wyjść z twarzą”.

*Politykę* przelicytował jednak wszechobecny w prasie i telewizji profesor Krawczuk, o którym ktoś wtajemniczony powiedział, że pomysł, aby mianować go ministrem kultury i sztuki wyszedł od pani Jaruzelskiej. Może to prawda, może jeszcze jeden kawiarniany koncept, ale fakt faktem, że w dniu 3 lutego na konferencji prasowej dla dziennikarzy krajowych i zagranicznych przeskoczył w wolnościowym zapale wszystkich.

Oto słowa pana ministra, które przytaczam za PAP-em:

„Jeśli chodzi o tak zwany drugi obieg wydawniczy, to my go specjalnie nie popieramy, ale i specjalnie nie prześladowujemy. Może jest to nawet pozytywne w tym sensie, że tworzy się atmosferę swobody. Boleję bardziej nad czymś innym, nad tym, że od wielu lat w „drugim obiegu” nie ukazało się nic nadzwyczajnego”.

Ta chwalebna troska o los literatury, wciąż przecież tępionej i zakazanej, nie powinna nikogo szczególnie podniecać. Nie powinny także te obrazoburcze słowa — ministra i nie tylko ministra — ludzi, że u nas już naprawdę przełom i pełna wolność. Nigdy chyba dotąd w krajach obozu nie zaznaczały się w dziedzinie polityki kulturalnej tak daleko idące rozbieżności w metodach działania. Wpływają na to różne mechanizmy i niuanse. Na Węgrzech w nieskrępowanych wyborach do władz Związku Pisarzy weszli ludzie, darzeni autentycznym zaufaniem przez większość. W wyniku tego stanu rzeczy wyrzuceni za burtę ulubieńcy władz poczuli się pokrzywdzeni. Rebelia trzydziestu najbardziej prominentnych pisarzy, którzy na znak protestu wystąpili ze Związku, jest wypadkiem dotąd nieznanym. Będzie interesujące obserwować, co z tym pasztetem zrobią węgierskie władze: poświęcą swoich pieszczochów czy zastosują jakieś bardziej przemysłowe środki represji. Należy sądzić, że polski przykład nie będzie dla nich wzorem. Najwyraźniej bowiem węzeł

gordyjski związany z likwidacją Związku Literatów Polskich wciąż wydaje się nie do rozsąpania, choć nie ulega wątpliwości, że sygnały nadawane „wentylem” *Polityki*, a także wypowiedzi Krawczuka wskazują, że są w kraju siły, które chciałyby ten hańbiący krok puścić w niepamięć. Ale jak to zrobić, tego nie wie nikt. Nikt tego nie wie. Wiadomo jedno: przepaść między ludźmi, którzy kiedyś — pomimo różnicy poglądów — nazywali siebie kolegami, jest już nie do zasypania. Poza tym Żukrowscy *et consortes* działają wciąż z niemałą energią. A dobra władza zawsze znajdowała w przeszłości sposoby, aby ich podeprzeć. Czyżby teraz nagle miało się coś zmienić? Pożyjemy, zobaczymy.

Tomasz ŁOMŻA

## GŁOS KATOLICKI

TYGODNIK POLSKIEJ EMIGRACJI

wydawany przez  
POLSKĄ MISJĘ KATOLICKĄ WE FRANCJI

Pismo porusza zagadnienia natury religijnej, społecznej, kulturalnej i historycznej.

Pismo informuje o życiu polskich wspólnot na Zachodzie i życiu Kościoła w krajach, w których istnienie Jego i działalność są zagrożone lub represjonowane.

Pismo nabyć można w polskich parafiach na terenie Francji, Belgii, Niemiec Zachodnich oraz w księgarniach polskich w Paryżu.

Cena egzemplarza: 4,50 F (we Francji), 25 FB (w Belgii), 1,50 DM (w Niemczech Zachodnich).

Ceny prenumeraty rocznej: 190 F (we Francji), 1100 FB (w Belgii), 70 DM (w Niemczech Zachodnich).

Adres redakcji: 263 bis, RUE ST-HONORÉ, 75001 PARIS  
(numer konta — CCP 12 777 08 U).

Przedstawicielstwo w Belgii: P. AUGUSTIN MULLER  
RUE DE MONTIGNY 84, 6000 CHARLEROI  
(numer konta — CCP 000-0249081-82).

Przedstawicielstwo w Niemczech Zachodnich:  
KÖNIGSTEINER VOLKSBANK eG, BLZ 500 925 00,  
KATOLISCHE STIMME (numer konta — 1462.18).

## O religii bez namaszczenia

### Korespondencja z Rzymu

WATYKAN I MOSKWA

Nowy kurs Gorbaczowa zakłada „rewaloryzację” religii jako zjawiska społecznego, aczkolwiek brak jeszcze konkretów świadczących o zmianie polityki wyznaniowej. Taki wniosek wyciągnęli delegaci Stolicy Apostolskiej, uczestniczący w lutowym międzynarodowym „forum pokojowym” w Moskwie. Uznali oni, że wprawdzie trzeba zachować powściągliwość i ostrożność (w oczekiwaniu na fakty), ale też należy wykorzystać nową sytuację jako być może niepowtarzalną „szansę historyczną”. Niezbędne jest więc podjęcie pewnego ryzyka.

Zarówno w płaszczyźnie dyplomatycznej i politycznej, jak ściśle religijnej i ekumenicznej kompetentne instancje watykańskie wychodzą z założenia, że Jan Paweł II przetań nową szlaki ku Wschodowi, ale dotąd był źle rozumiany, zwłaszcza w zachodnich, konserwatywnych środowiskach antykomunistycznych i wśród uchodźców z Europy Wschodniej. Wbrew bowiem panującemu tu i ówdzie stereotypowi nie jest on „polskim nacjonalistą”, zapatrzonym w „rzekome dobrodziejstwa kapitalistycznego Zachodu”. Jest natomiast rzecznikiem przewyższenia podziału naszego kontynentu i dowartościowania wschodniego, „drugiego płuca” chrześcijańskiej Europy. Nie tylko Polacy, Czesi i Słowacy, ale również Rosjanie, Ukraińcy, Litwini i Białorusini stanowią integralną i aktywną część wspólnej Europy i powinni uczestniczyć w procesie pojednania. Papież dał temu wyraz po raz pierwszy w słynnym przemówieniu w Gnieźnie w 1979 roku.

Pomimo wysiłków propagandy ateistycznej religijność w ZSSR nie tylko przetrwała, ale — jak podkreślił niedawno dziennik *L'Osservatore Romano* — wciąż narasta, zwłaszcza wśród młodzieży. Czy tzw. nowy kurs Gorbaczowa spowoduje rzeczywiście przeobrażenia systemu, jeśli chodzi o jakość życia osobistego i

zbiorowego? Odpowiedź dziennika watykańskiego brzmiała: „Nowość, z jaką mamy do czynienia czeka na potwierdzenie w postaci uznania praw ludzkich, które są oparte także na poszanowaniu swobód religijnych”. Tylko wówczas — sądzi się w kręgach watykańskich — można będzie mówić o „radikalnych reformach”, ponieważ prawa człowieka stanowią nie tylko podstawę, ale również najskuteczniejsze narzędzie jakiegokolwiek reformy. Oczekuje się więc, że w ślad za dobrymi intencjami i gestami nastąpi zapowiedziana na ten rok rewizja obowiązującego ustawodawstwa, co powinno położyć kres praktyce traktowania wierzących jako obywateli drugiej kategorii, poddawanych nieraz swoistemu systemowi *apartheid'u*.

Sygnały pozytywne, jakie z Moskwy docierają do Watykanu, są pilnie śledzone i analizowane. O otwartym stanowisku wobec zmian w ZSSR świadczy m.in. wypowiedź niemieckiego jezuita, Bernda Grotha, profesora Uniwersytetu Gregoriańskiego, kierującego międzynarodową „delegacją do spraw rosyjskich” (*pro rebus russicis*), powołaną dwa lata temu przez generała Towarzystwa Jezusowego, a składającą się z 40-tu ekspertów reprezentujących różne ośrodki naukowe. Oświadczył on 10 lutego br.: „ZSSR był w pewnej mierze demonizowany, ponieważ w chrześcijaństwie szatan jest wielkim przeciwnikiem Boga i wierzących. Nie jest jednak rzeczą słuszną demonizowanie tego czy innego systemu politycznego. Posługiwanie się dziś językiem emocjonalnym nie pomaga rozwiązaniu żadnej sprawy”. Gorbaczow — jego zdaniem — zabiega o rozwiązanie palących problemów społecznych, „choć nie jest całkiem jasne, jakie są jego konkretne plany. Jeśli jednak doprowadzi do faktycznej separacji pomiędzy Kościołem i państwem, to otworzy się pełna nadziei przyszłość dla wszystkich wspólnot religijnych w ZSSR”. Ta przyszłość wiąże się w jego mniemaniu i w opinii szeregu przedstawicieli dykasterii watykańskich, odpowiedzialnych za sprawy wschodnie, z planowanym jubileuszem tysiąclecia chrześcijaństwa, który będzie obchodzony w Moskwie w czerwcu 1988 roku. O ile dojdzie do udziału Papieża w tej uroczystości (do tej pory brak przesłanek zarówno dyplomatycznych, jak ekumenicznych) — czego w zasadzie nie można wykluczyć — otworzy to drogę do wielkiej rekuncylacji ze Wschodem.

Ostatnio coraz częściej słyszę, że „Kościół w Polsce może odegrać rolę pomostu w procesie normalizacji stosunków między Stolicą Apostolską i ZSSR”. Jest oczywiście jeszcze za wcześnie, by przewidywać, do czego doprowadzi niespodziewany początek zmiany polityki sowieckiej wobec Kościoła polskiego. Być może chodzi o jeden z elementów przygotowania terenu dla przewidzianej oficjalnej wizyty Gorbaczowa w Rzymie i Watykanie. Nie wyklucza się tu, że chodzi o próbę załagodzenia — poprzez Polskę — spornych spraw z Kościołem katolickim i wyciszenie napięć z Zachodem. Padają jednak ostrzeżenia, że ten nagły zwrot jest „mocno podejrzany” (stosunek ZSSR do Kościoła polskiego był dotąd zawsze wrogi) i stąd zalecenie jak największej ostrożności. W maju odbędzie się międzynarodowa konferencja teolo-

giczna, zwołana przez patriarchat moskiewski. Uczestniczyć w niej będą m.in. delegacje watykańska i Kościoła polskiego, składające się z hierarchów w randze biskupiej (w przeciwieństwie do forum lutowego, na którym obie delegacje miały niższy szczebel). Jesienią dojdzie prawdopodobnie do podróży Prymasa Polski na dawne polskie ziemie wschodnie. Jeden z warunków przyjęcia tego zaproszenia — odwiedziny Wilna — został przyjęty. Drugi dotyczy swobody spotkań z przedstawicielami wspólnot wiernych, aby podróż ta nie przekształciła się w „operację fasadową”. Skoro już mowa o roli wyznaczonej przez watykańską *Ostpolitik* Polsce w ogóle, a zwłaszcza jej Kościołowi, to łączy się ona z dążeniem do uniknięcia zachwiania szansą równowagi, jaką do stosunków Wschód-Zachód wprowadza nowy kurs Gorbaczowa. W kręgu miarodajnych funkcjonariuszy watykańskich panuje w związku z tym krytyczna ocena „Solidarności”, która przez swoje antyrosyjskie (nie tylko antysowieckie!) wystąpienia doprowadziła do załamania się szansy na wcześniejsze stworzenie tej, choćby względnej, równowagi. „Można było rozsądniej rozegrać tę kartę, ten polski eksperyment — powiedział mi pewien kompetentny ekspert watykański. — Był ważny dla Europy, ale jego znaczenia nie doceniono na Zachodzie. Trzeba teraz zacząć na nowo, działając w sposób bardziej przemyślany i roztropny”.

W strategii watykańskiej nowy kurs Gorbaczowa implikuje trzy zasadnicze elementy:

1. Widoczna tendencja zmierzająca do wzrostu autonomii Kościoła prawosławnego wobec władzy państwowej i jego roli w społeczeństwie. „Jest to mimo wszystko Kościół żywy i trzeba go podeprzeć” — Watykan jest w tym zainteresowany. Równocześnie stara się uwzględnić w dialogu ekumenicznym „kompleksy psychologiczne” rosyjskiego prawosławia, lękającego się o utratę wpływów na rzecz dynamicznego Kościoła katolickiego.

2. Sprawa normalizacji sytuacji Kościoła rzymskokatolickiego, zwłaszcza na Litwie i Białorusi. Istnieją sygnały stopniowej poprawy, o czym świadczą niedawne wypowiedzi publiczne abpa Povilona z Kowna i ks. prałata Gutauskasa z Wilna. Wynika z nich, z drugiej strony, konieczność likwidacji resztek poselstwa Litwy przy Stolicy Apostolskiej, reprezentującego ośrodek emigracyjne (analogicznie do likwidacji w swoim czasie ambasady Rzeczypospolitej Polskiej, kierowanej przez ambasadora K. Pappée). Wygląda na to, że Moskwa dąży do pewnego rodzaju przetargu: zgoda na nominację biskupa dla Białorusi (ponad milion polskich katolików), obsada wakujących stolic biskupich na Litwie i w ogóle normalizacja struktur Kościoła rzymskokatolickiego w ZSSR w zamian za rezygnację Watykanu z popierania ukraińskich unitów.

3. Kwestia unicka, tj. ukraińskich katolików obrządku bizantyńskiego, stanowi niewątpliwie główną przeszkodę w procesie normalizacji stosunków na linii Watykan-Moskwa. Jest to przeszkoda zarówno o charakterze politycznym, jak i ekumenicznym, bo stanowi barierę wzniesioną przez władzę i patriarchat mos-

kiewski. Ilekroć Jan Paweł II dotyka tej bolesnej sprawy, tylekroć przedstawiciele patriarchatu gwałtownie protestują i grożą zablokowaniem dialogu ekumenicznego. Nie ma mowy o tym, by Papież odepchnął i poświęcił tych, którzy pozostali wierni unii ze Stolicą Apostolską, mimo prześladowań i wyrzeczeń (przymusowe ich wcielenie do prawosławia w 1946 roku zostało potępione, a uchwała tzw. soboru lwowskiego unieważniona w 1980 roku). Inna rzecz natomiast, że Watykan wyraźnie oddziela element narodowy od religijnego, który nie może sprostować się do narzędzia ukraińskiego nacjonalizmu antyrosyjskiego. Zwraca się też uwagę na fakt, że na Ukrainie przygniatającą większość stanowią prawosławni. To prawda, wiadomo jednak, że to nie Cerkiew prawosławna, lecz ukraiński Kościół greckokatolicki jest nośnikiem tożsamości narodowej — trudno więc w praktyce przeprowadzić tę postulowaną separację.

Przedstawiciele zainteresowanych dykasterii watykańskich (Kongregacji Kościołów Wschodnich, Sekretariatu Jedności Chrześcijan, Rady d/s Publicznych Kościoła) zwracają uwagę na to, że katolicy ukraińscy mają wprawdzie prawo pierwszeństwa do celebrowania milenium chrztu Rusi — ale za czasów św. Włodzimierza kijowskiego nie było nie tylko Rosji, ale i Ukrainy, uformowanej znacznie później. Jan Paweł II odprawi dla nich uroczyste nabożeństwo w Rzymie w lipcu 1988 roku — „nie będzie to jednak w żadnym razie uroczystość konkurencyjna dla centralnych obchodów w Moskwie”. Chodzi jedynie o uszanowanie słusznych praw i uczuć Kościoła Partykularnego w unii ze Stolicą Apostolską, posiadającego własną autonomię, liturgię, tradycję i dyscyplinę. Ukraińskim katolikom w diasporze, ich organizacjom kościelnym i świeckim zarzuca się natomiast, że nie wykorzystują należycie okresu przygotowań do milenium dla programu pozytywnego („nie można niemal wszystkiego opierać na negacji prawosławia”), że „uprawiają cierpiętnictwo, co na Zachodzie budzi litość, ale nie zrozumienie”, że wydają propagandowe broszury, zamiast wydać np. tom wystąpień Jana Pawła II w ich sprawie! Niewiele zrobili ponadto — brzmi inny zarzut — by umieścić obronę swoich postulatów na szerszej płaszczyźnie współpracy z pobratymcami, co wzmocniłoby ich szanse i międzynarodową pozycję. Tak czy inaczej, jedna rzecz wydaje się pewna: od śmierci nieodżałowanej pamięci kardynała Slipyja czas dla ukraińskich katolików zatrzymał się jakby w miejscu. Krytyczne reakcje ze strony watykańskiej wydają się w tym stanie rzeczy w dużej mierze uzasadnione. To „dreptanie w miejscu” katolików ukraińskich jest tym bardziej frapujące, że nowy kurs Gorbaczowa niewątpliwie przyspieszył rozwój wypadków również na linii Watykan-Moskwa, co wymaga wzmoczonej mobilizacji sił twórczych.

Pewien dygnitarz Kurii Rzymskiej, z którym rozmawiałem niedawno w związku z udziałem delegacji watykańskiej w międzynarodowym forum pokojowym w Moskwie, powiedział mi z włoskim umiarem i ostrożnością, ale również z odcieniem optymizmu: „wydaje się, że przeszkody w realizacji zamysłu podróży Papieża

do ZSSR są dziś dużo mniejsze niż jeszcze pół roku temu. Wydarzenia nabrały rozpędu”.

*Dominik MORAWSKI*

Pisane 9 marca 1987 r.

*P.S.* Sprostowanie: w mojej korespondencji w nr. 1-2/1987 *Kultury* tytuł redakcyjny pierwszej noty, „Skonfiskowany wywiad”, nie odpowiada stanowi faktycznemu. Fakt bowiem, że tekst ten nie ukazał się na łamach katolickiego miesięcznika *Więź* nie był spowodowany interwencją cenzury, lecz wewnętrznymi względami redakcji.

*D. M.*

## Nowy wywiad Prymasa

Kardynał Glemp, przebywający na początku marca w Watykanie, gdzie przedstawił Janowi Pawłowi II szczegółowy program Jego pielgrzymki do Polski, udzielił wywiadu korespondentowi AFP. Oto on:

**PYTANIE:** — *Jakie znaczenie ma trzecia pielgrzymka Papieża do ojczyzny?*

**ODPOWIEDŹ:** — Będzie to inna wizyta w innych, mniej napiętych okolicznościach. Kraj jest bardziej dojrzały, bardziej świadomy i jeszcze bardziej spragniony słowa Jego Świątobliwości. Podróż zbiega się w czasie z kongresem eucharystycznym, który ogłosił apel o odrodzenie moralne społeczeństwa.

**P.:** — *Czy Papież odwiedzi grób księdza Popiełuszki?*

**O.:** — Wizyta taka nie figuruje w oficjalnym programie. Niczego specjalnego nie będzie.

**P.:** — *Ksiądz kardynał udzielił wywiadu sowieckiemu tygodnikowi Literaturnaja Gazeta, posłał też ksiądz duchownego na „forum pokoju” do Moskwy. Czy w ZSSR zmienia się coś w dziedzinie religii?*

**O.:** — Wiemy, że trwa ruch reform społecznych, zmierzających do większej uczciwości i większej demokracji. Nie znaczy to, że zmieniło się cokolwiek w dziedzinie religii. Propaganda ateistyczna trwa. Jednak wprowadzane reformy mogłyby zapewnić wierzącym trochę więcej osobistego bezpieczeństwa, więcej odwagi, by praktykować wiarę.

**P.:** — *Czy pojedzie ksiądz kardynał do ZSSR?*

**O.:** — Niczego nie wykluczam, pod pewnymi warunkami. Taka podróż musiałaby mieć charakter duszpasterski i pozwolić mi spotkać się z wierzącymi w ZSSR.

**P.:** — *Co ksiądz kardynał sądzi o niedawnej wizycie generała Jaruzelskiego w Rzymie?*

**O.:** — Polska wychodzi z izolacji. Ma do tego prawo, ma prawo do stosunków z Zachodem. Generał Jaruzelski reprezentuje interesy naszego kraju, a jego rząd zdobywa sobie coraz więcej uznania w planie praktycznym. Z jednej strony rząd jest konieczny dla uniknięcia chaosu. Z drugiej uznają go nawet grupy opozycjonistów, które definiują się jako opozycja w stosunku do niego.

**P.:** — *A osoba samego generała?*

**O.:** — Jest to prawdziwy Polak, który dobrze zna polską historię i literaturę. Wyznawca patriotyzmu socjalistycznego, jak sam się wyraża, i stałej tezy, że los Polski jest związany z Moskwą.

**P.:** — *Czy możliwe jest odrodzenie projektu fundacji rolniczej, z którego Kościół wycofał się w ubiegłym roku?*

**O.:** — Ani Zachód, ani Kościół, ani rząd polski nie wierzą już w tę koncepcję. Wydaje mi się, że musieliśmy z niej zrezygnować z powodów politycznych: upatrywano w niej coś w rodzaju próby przeniknięcia gospodarki zachodniej w socjalistyczny monolit, który się zaczął bronić. Nie należy jednak uważać, że fundacja ta mogła „uratować” całe polskie rolnictwo...

**P.:** — *Zgodnie z nowym statutem konferencji episkopatu polskiego, który zostanie uchwalony prawdopodobnie w bieżącym roku, przewodniczący episkopatu będzie wybierany co pięć lat. Dotychczas funkcję tę pełnił dożywno prymas Polski.*

**O.:** — Nowy statut, zgodny z nowym kodeksem prawa kanonicznego, nie został jeszcze oficjalnie ogłoszony. Można jednak sądzić, że najbliższe wybory uszanują naszą tradycję i przewodniczącym episkopatu zostanie wybrany prymas.

**P.:** — *Polski Kościół nadal nie ma statusu prawnego. Czy to jest główną przeszkodą na drodze do ułożenia pełnych stosunków dyplomatycznych między Warszawą a Stolicą Apostolską?*

**O.:** — Dwa pytania. Status prawny a stosunki dyplomatyczne nie są tak ściśle ze sobą związane. Pracujemy nad ich rozwiązaniem. Stolica Apostolska pragnie otworzyć nuncjaturę, chce być obecna w kraju takim jak Polska. Episkopat także tego pragnie i doprowadzimy do tego: pomieszczenia dla nuncjatury już są gotowe.

## Fragmenty listu otrzymanego z kół watykańskich

... Było to z pewnością spotkanie skrupulatnie przygotowane, w ciągu znacznego okresu czasu i poprzez głośne nawet gesty polityczne ze strony gen. Jaruzelskiego i jego współpracowników. Spotkanie nie pozbawione także przeszkód, wynikających ze skomplikowanej sytuacji międzynarodowej



i jej wpływu zarówno na płaszczyźnie Polska - Watykan jak i na płaszczyźnie włosko - polskiej, co uwarunkowało co najmniej czasowy aspekt wizyty Jaruzelskiego u papieża. Te przeszkody były (i w pewnym sensie są jeszcze teraz, po wizycie) bardziej natury politycznej niż religijnej.

... Długa rozmowa Jaruzelskiego z papieżem dotyczyła w zasadzie trzech kwestii: problemy pokoju i polityki międzynarodowej; problemy Polski — wewnętrzne i międzynarodowe; problem stosunków Kościoła - Państwo w Polsce i stosunków Polska - Watykan. Podczas rozmowy, która rozwijała się organicznie, wspomniane problemy przeplatały się także dlatego, że są wzajemnie ze sobą związane.

Generałowi J. nie było trudno wyrazić głębokie uznanie dla wysiłków Stolicy Apostolskiej i „polskiego papieża” na rzecz pokoju światowego. Problem pokoju i rozbrojenia był wspólnym zmartwieniem rozmówców, nawet jeśli zabrakło między nimi identyczności poglądów na poszczególne aspekty pokoju, bezpieczeństwa międzynarodowego i współpracy między państwami... Jan Paweł II zapewnił Jaruzelskiemu pomoc dyplomacji watykańskiej w dziele ułatwienia stosunków między Polską i państwami zachodnimi, i nie tylko na płaszczyźnie stosunków gospodarczych, ale wyraził także życzenie, aby podobne wysiłki zostały podjęte ze strony rządu polskiego dla polepszenia stosunków z Zachodem; mówił o możliwościach i obowiązkach, jakie ma Polska w dziele popierania inicjatyw pokojowych, działając w obrębie bloku państw związanych z jednym z dwóch wielkich sojuszków militarnych na świecie. (Stolica Apostolska już od pewnego czasu rozważa możliwości dyplomacji polskiej która, nie naruszając swych powiązań międzynarodowych, mogłaby wyróżnić się jako element konstruktywny w interesie pokoju, rozbrojenia i współpracy międzynarodowej w łonie Paktu Warszawskiego oraz pomiędzy krajami tego sojuszu i krajami zachodnimi). Jaruzelski przedstawił papieżowi trudności, jakie napotkała Polska w swoich stosunkach z Zachodem, zapewniając, że on i jego rząd mają najlepsze intencje stania się elementem aktywnym w polityce pokoju i współpracy międzynarodowej.

Papieżowi nie było trudno powiązać ten problem z kwestią wewnętrzną polityki polskiej (która stwarza pewien obraz w oczach świata), odwołując się wyraźnie do wolności indywidualnych, do wolności stowarzyszeń, do pluralizmu syndykalnego etc. Papież nie omieszczał wyrazić uznania dla ostatnich kroków Jaruzelskiego, które doprowadziły do zwolnienia wszystkich polskich więźniów politycznych, kładąc nacisk na ważność polskiego dialogu narodowego. Jaruzelski przedstawił papieżowi podjęte już kroki, zmierzające do ułatwienia dialogu i pacyfikacji narodowej oraz do zapewnienia Polakom pluralizmu konstruktywnego. Również jeśli chodzi o związki zawodowe, rząd jest otwarty na maksymalny dialog w formach, które będą następnie studiowane i ulepszone. Co zaś do „Solidarności”, generał był nieugięty w bezwzględny zamknięciu wobec tego zjawiska, które nie było syndykatem lecz ruchem politycznym, wywrotowym i anarchoidalnym, powodującym ciężkie szkody dla państwa i narodu polskiego. W stosunku do prób reanimacji i uznania „Solidarności” Jaruzelski był niezwykle twardy i kategoryczny, i dał do zrozumienia..., że gdy tylko okoliczności na to pozwolą, pluralizm „syndykalny” będzie mógł ukształtować się w obrębie miejsc pracy. (W różnych przedsiębiorstwach polskich istnieją już od pewnego czasu „komisje wewnętrzne” wybrane przez wszystkich robotników, także nie zapisanych do syndykatów. W praktyce, w wypadkach jak ten, toczy się walka między syndykatami i komisjami wewnętrznymi o uprawnienia w zakładzie pracy, o kompetencje etc.).

Rozmowa zesłała później na stosunki pomiędzy katolikami i państwem. Jaruzelski mówił szeroko o swojej świeżej inicjatywie, która doprowadziła do powstania Rady Konsultacyjnej przy Radzie Państwa, gdzie są reprezentowani także katolicy. Według papieża nowy organizm posiada możliwości i funkcje ograniczone, także z powodu nieobecności w nim innych kwalifiko-

wanych sił katolickich i niekatolickich. Jaruzelski zauważył, że idzie teraz o wypróbowanie formy dialogu konstruktywnego, która to forma może być w każdej chwili ulepszona i rozszerzona, co leży także w jego życzeniach. Zależy to również od strony katolickiej.

Jan Paweł II był bardzo stanowczy w skargach na dyskryminację jakiej podlegają w Polsce katolicy jako wierzący, szczególnie jeśli chodzi o stanowiska i posady państwowe, lecz także na innych polach, jak szkolnictwo i wychowanie. Jaruzelski, z nie mniejszą stanowczością, pochwaliwszy ducha patriotycznego większości biskupów i kleru, zwłaszcza kardynała Glempa, ubolewał nad rzadkimi wypadkami księży, którzy dopuścili się nadużywania sakralności Kościoła, aby przeobrazić swoje posterunki w antyrządowe struktury polityczne, szkodliwe dla polskiej ojczyzny. Obie strony wyraziły nadzieję podjęcia kroków, które mogłyby się przyczynić do poprawienia tej sytuacji.

Zarówno papież jak Jaruzelski opowiedzieli się za szybkim zakończeniem toczonych negocjacji w sprawie podpisania umowy między Kościołem i Państwem, wykazując obustronną dobrą wolę w dążeniu do tego celu. Papież przedstawił Jaruzelskiemu przyczyny dla których Kościół uważa za absolutnie konieczne, aby nowa umowa uwzględniała również uznanie statusu prawnego Kościoła przez Państwo. Jaruzelski zapewnił papieża, że ten problem zostanie rozwiązany... Już raz w przeszłości, podczas negocjacji na szczeblu prawnym, przedstawiciele państwa zaakceptowali uznanie statusu prawnego Kościoła, lecz zostało ono potem wycofane w ramach „oceny politycznej”.

... (Papież) mówił pozytywnie o państwowym uznaniu dyplomów wydziałów teologicznych w Polsce, o większych przydziałach papieru dla prasy katolickiej, o usprawnieniu procedury biurokratycznej przy budowie nowych kościołów i o innych drobniejszych sprawach. Wśród spraw większych papież domagał się rewizji niektórych rozporządzeń rządu polskiego w programach szkolnych. ... (Papież) mówił także o wznowieniu rokowań między Państwem i Kościołem w celu ekshumacji projektu katolickiej fundacji pomocy dla rolnictwa prywatnego w Polsce i o sprawie stowarzyszeń katolickich (szczególnie studenckich i robotniczych), które rowijałyby swoją działalność religijną pod kierownictwem i na odpowiedzialność Kościoła. W tych i w niektórych innych sprawach nie powzięto decyzji, lecz podkreślona została obustronna dobra wola dla ich szybkiego i pozytywnego załatwienia.

Jaruzelski ponowił ustnie zaproszenie papieża do trzeciej wizyty w Polsce, wyrażając także zadowolenie, że się ona odbędzie, oraz nadzieję, że przyczyni się do dalszego poprawienia dobrych stosunków między Kościołem, katolikami i Państwem w Polsce. Jaruzelski ponowił też propozycję normalizacji na najwyższym szczeblu stosunków dyplomatycznych między Polską i Watykanem. Papież oświadczył, że jest pewny, iż pozytywna konkluzja toczonych rokowań w sprawie umowy między Kościołem i Państwem stworzy szybko warunki dla normalizacji stosunków dyplomatycznych.

NOWOŚCI WYDAWNICZE

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 420 — IGOR NEWERLY

## ZOSTAŁO Z UCZTY BOGÓW

Igor Newerly — autor wielu książek w tym 2-ch o Januszu Korczaku w latach 60-tych napisał swoje wspomnienia z okresu 1914-1923 w Rosji i na Ukrainie. Wspomnienia te są autentycznym tłem okresu burzy i naporu w Rosji obejmując okres pierwszej wojny światowej, rewolucji i lat porewolucyjnych.

Str. 322.

Cena F. 120,00.

TOM 422 — JACEK TRZNADEL

## HAŃBA DOMOWA

Książka Jacka Trznadla prezentuje czytelnikowi szereg jego rozmów ze znanymi polskimi pisarzami, kiedyś komunistami, którzy starają się opowiedzieć o swoim romansie i zerwaniu z partią. Te rozmowy mają ogromne znaczenie dla zrozumienia procesów, jakie zaszły wśród ludzi pióra w Polsce od powstania PRL do dziś. Trznadel opracował rozmowy z nadzwyczajną skrupulatnością i znanstwem przedmiotu i, co cenne, nie ograniczył się wyłącznie do pisarzy eks-komunistów, ale włączył do książki, tytułem przykładu, rozmowy z pisarzami, którzy przeszli przez komunizm z podniesionym czołem. Ozdobą książki jest rozmowa Trznadla ze Zbigniewem Herbertem.

Str. 320.

Cena F. 120,00.

TOM 424 — ZESZYTY HISTORYCZNE

## ZESZYT SIEDEMDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

zawiera m.in. opracowania: *Sprawa Bergu*; P. Wandycz: *Harriman a Polska*; J. Mirski: *Problemy językowe w kościołach rzymskokatolickich na Białorusi i na Ukrainie po drugiej wojnie światowej*; M. Polny: *Z literką „P”* — rozmowa z Marianem Terleckim; M. de Hernandez-Paluch: *Ja byłem krytyczny...* Rozmowa z prof. dr. hab. Pawłem Bożykiem, szefem zespołu doradców Edwarda Gierka; K. Modzelewski: *„Solidarność” w przededniu wojny* (Dokumenty), oraz Działy: **HISTORIA NIE TAK ODLEGAŁA, WSPOMNIENIA, CI, CO ODESZLI, RECENZJE, OKRUCHY HISTORII I LISTY DO REDAKCJI.**

Str. 240.

Cena F. 70,00.

**Sąsiedzi**

## W sowieckiej prasie

Miłość do Gorbaczowa rozprzestrzeniła się po świecie jeszcze szybciej niż epidemia *aids* (*sidy*), zwanej w Związku Sowieckim krótko i węzłowato *spid*. Drugą rocznicę intronizacji generalnego sekretarza (11 marca) obchodzono jak świat długi i szeroki. Trzy tygodnie przed jubileuszem zjechało do Moskwy nie mniej niż tysiąc uczestników „forum pokojowego”, szumnie nazwanego „o świat bez broni nuklearnej, o przetrwanie ludzkości”. Uczestnicy przybyli — jeśli wierzyć organizatorom — z 80-ciu krajów. Każdemu dano do dyspozycji samochód z szoferem i tłumacza. Na zakończenie wszyscy zostali przyjęci na Kremlu przez generalnego sekretarza we własnej osobie, który jak dobry ojciec pouczył ich, jak mają dalej żyć i poinformował, co on osobiście zrobi dla dobra ludzkości.

Paryski tygodnik satyryczny *Canard enchainé* nazwał trzydniowy zlot moskiewski „Gorba-show”. Trzeba przyznać, że od czasu apelu sztokholmskiego o zakaz amerykańskiej broni atomowej (1950) świat nie oglądał równie szumnego spektaklu. Zaproszeni uczestnicy byli co prawda nieco innej klasy aniżeli *poputcziki* Stalina — tym razem zabrakło w Moskwie wybitnych intelektualistów — za to przybyły wielkie amerykańskie gwiazdy filmowe, zachodni Niemcy przemysłowcy, przewodniczący polskiego ZASP-u itd.

Uczestnicy (przynajmniej ci, których wypowiedzi opublikowały sowieckie gazety) byli bezgranicznie zachwyceni. „Odczuwam prawdziwe uniesienie”, wyznał angielski aktor Peter Ustinov. „Byłem wstrząśnięty głębokim oddaniem sprawie pokoju i pokojowej koegzystencji, jakim było nacechowane przemówienie Michaiła Gorbaczowa”, powiedział amerykański ekonomista Kenneth Galbraith. „Gorbaczow mnie zahipnotyzował”, wyznał zachodni Niemiec emerytowany generał Bastian. *Prawda* z 17 lutego br. uspokoiła ludzkość: „Świat przetrwa”. Przede wszystkim dzięki Gorbaczowowi.

Obecność i trzy przemówienia akademika Sacharowa dodały zjazdowi szczególnego blasku. Należy sądzić, że zwolnienie Sacharowa było koniecznym warunkiem sukcesu „forum”. Efekt jego obecności był obliczony wyłącznie na zagranicę. Czytelnik sowiecki dowiedział się o trzech przemówieniach Sacharowa tylko tyle: „Akademik A. D. Sacharow stwierdził, że pozycja zwolenników SDI jest nieprzekonywująca. Zauważył też, że twierdzenie, jakoby istnienie programu SDI skłoniło ZSSR do rokowań rozbrojeniowych jest niesłuszne. Program SDI jest przeszkodą w pertraktacjach. Uczony zaproponował także swój wariant 50-procentowego zmniejszenia broni nuklearnych” (*Prawda* z 16 lutego br.).

Amerykański tygodnik *Time* opublikował 16 marca br. artykuł Andrieja Sacharowa, będący streszczeniem jego przemówień na „forum pokojowym”. Artykuł nosi tytuł „O zbrojeniach i reformach”. Akademik Sacharow zaczyna od wyjaśnienia, dlaczego uczestniczył w forum: „Zdawałem sobie sprawę, że mój udział w forum będzie w pewnym stopniu wykorzystany dla celów propagandowych. Wierzyłem jednak, że prawdziwe znaczenie publicznego wystąpienia po tylu latach wymuszonego milczenia przewyższy wiadomy efekt”. Niewykluczone, że Sacharow był zaskoczony całkowitym milczeniem, jakim prasa sowiecka pominęła treść jego przemówień. Natomiast pozytywne skutki rozważań laureata nagrody Nobla dla Gorbaczowa nie ulegają kwestii. Sacharow przede wszystkim zwrócił uwagę na „toczący się proces demokratyzacji i rosnącej jawności” życia w Związku Sowieckim, podkreślając zarazem, że „sytuacja jest nadal pełna sprzeczności i niestabilizowana, w niektórych dziedzinach widoczny jest odwrót (np. nowa ustawa o emigracji)”. Uczony stwierdza: „Bez rozwiązania problemów politycznych i humanitarnych postęp w dziedzinie rozbrojenia i bezpieczeństwa międzynarodowego będzie bardzo trudny, by nie powiedzieć niemożliwy”.

Z drugiej strony Sacharow uważa, że „demokratyzacja i liberalizacja w ZSSR i związany z nimi postęp społeczny i gospodarczy będą zablokowane, jeśli nie zahamuje się wyścigu zbrojeń”. Akademik nie ma wątpliwości, że „Gorbaczow i jego poplecznicy zażarcie walczą ze skostniałymi, dogmatycznymi i broniącymi własnych interesów siłami, że zależy im na rozbrojeniu, by nie marnować ogromnych zasobów materialnych i umysłowych na coraz nowsze i coraz bardziej udoskonalane typy broni”. Z drugiej strony uważa, że „Zachód i cały świat zainteresowane są w tym, by reformy w ZSSR się udały. Silny gospodarczo, demokratyczny i otwarty Związek Sowiecki będzie ważną gwarancją stabilności międzynarodowej, dobrym, poważnym partnerem przy ogólnym rozwiązaniu globalnym problemów”. Akademik Sacharow kończy rozdział pod tytułem „Gorbaczow” następującym ostrzeżeniem: „Jeśli Zachód będzie próbował wykorzystać wyścig zbrojeń dla osłabienia Związku Sowieckiego, perspektywy będą bardzo mroczne. Przyparty do muru oponent zawsze jest groźny... Proces demokratyzacji i liberalizacji zostanie zahamowany. Rewolucja naukowo-techniczna nabierze zdecydowanie wojsko-

wego charakteru i należy się obawiać, że w polityce zagranicznej zwyciężą tendencje ekspansjonistyczne wsparte o siłę zniszczenia”.

Za wcześniej jeszcze mówić o przyczynach, które skłoniły laureata pokojowej nagrody Nobla do otwartego i jednoznacznego poparcia Gorbaczowa. Wypunktujmy trzy zasadnicze elementy jego stanowiska: generalny sekretarz kieruje procesem demokratyzacji i liberalizacji ZSSR; procesowi temu opierają się reakcyjne siły; Zachód może i powinien — we własnym interesie — pomóc Związkowi Sowieckiemu.

Wiążąc demokratyzację systemu sowieckiego z rozbrojeniem, Sacharow równocześnie „oddziela” — w swoim projekcie rozbrojenia — Stany Zjednoczone od Europy Zachodniej. Od czasów Andropowa, a nawet trochę wcześniej, Związek Sowiecki kładł na stół negocjacyjny „pakiet”: Stany Zjednoczone miały zrezygnować z projektu „strategicznej inicjatywy obronnej” (SDI) i zlikwidować swoje wyrzutnie atomowe w Europie, a dopiero potem można będzie zacząć mówić o redukcji sowieckiego arsenału nuklearnego. W 1981 roku administracja Reagana zaproponowała likwidację wszystkich rakiet średniego zasięgu w Europie, zarówno amerykańskich jak sowieckich. Specjaliści natychmiast nazwali ten plan „opcją zerową”. 7 marca br. Gorbaczow zgodził się na propozycję Reagana, czym wprawił w popłoch całą Europę. Likwidacja rozmieszczonych w Zachodniej Europie wyrzutni atomowych oznaczać będzie „rozwód” (w języku fachowców *découplage*) między Stanami Zjednoczonymi i Europą Zachodnią, która w ten sposób stanie samotnie twarzą w twarz ze Związkiem Sowieckim.

Andriej Sacharow gorąco poparł na moskiewskim forum likwidację wszystkich rakiet średniego zasięgu w Europie. W artykule w *Time*'ie przytacza liczne argumenty za taką opcją. Zachodni dyplomaci uważają, że propozycję Gorbaczowa z 7 marca należy nazwać „planem Sacharowa”.

Spór o naturę zachodzących obecnie w ZSSR zmian będzie trwał długo. Liczba ludzi wierzących w „demokratyzację i liberalizację” będzie rosła, w dużej mierze dzięki środkom, jakie ZSSR łoży na obróbkę zarówno własnej, jak i zagranicznej opinii publicznej, nie pomijając naturalnie krajów bloku. Szczególną, niespotykaną dotychczas uwagą otacza się Zachód. Oto kilka przykładów z ostatniego okresu. W marcu świat obiegła niespodziewana jak grom z jasnego nieba wiadomość, że w Związku Sowieckim zostanie wydany *Sołżenicyn*. „Aktywny zabieg”, by użyć żargonu KGB, zrealizowany został zgodnie z wszelkimi prawami gatunku. Źródłem wiadomości była nieznana nikomu duńska gazeta, która opublikowała wywiad z redaktorem moskiewskiego *Nowego mira*, Siergiejem Załyginem, przeprowadzony przez greckiego dziennikarza P. Takisa Michasa. Z przekładu z rosyjskiego na grecki, z greckiego na duński i z duńskiego na inne języki wynikało, że *Nowyj mir* zamierza opublikować bez żadnych cięć „Oddział chorych na raka”, a w jakiś czas później „Archipelag GULag”. Wiadomość ta zrodziła setki komentarzy, artykułów

wstępnych i wywiadów, z których jednoznacznie wynikało, że teraz już nie ma żadnych wątpliwości: demokratyzacja jest w pełnym toku! Kilka dni później rzecznik sowieckiego ministerstwa spraw zagranicznych (to ministerstwo zajmuje się obecnie „praniem mózgow” obcokrajowców) oświadczył, że o publikacji dzieł Sołżenicyna nie ma mowy. Przede wszystkim należy bowiem — zgodnie z zasadami przyzwoitości — spytać autora o zgodę. Autora nikt nie pytał. Operacja zakończona, cel osiągnięty: Sołżenicyn wie, że teraz wszystko zależy od niego.

Miesiąc temu w *Time*'ie wybuchła nie mniejsza sensacja. Wiadomość przywiózł Jewtuszenko i sprzedał *Time*'owi w długim wywiadzie. Po standardowych pochwałach pod adresem Gorbaczowa wiecznie młody i dynamiczny Żenia ujawnił tajemnicę: w 1966 roku, głęboko przejęty wyrokiem, wydanym w Moskwie na jego przyjaciół Andrieja Siniawskiego i Julija Daniela, Żenia postanowił pojechać na odpoczynek do Waszyngtonu. Kiedy raz zaszedł w gości do Roberta Kennedy'ego, dowiedział się tam wstrząsającej rzeczy. Otóż Robert Kennedy, zaprowadziwszy go do łazienki, puścił wodę (Amerykanie znają się na konspiracji!) i powiedział: przekażcie waszemu rządowi, że to nasze CIA wydało KGB prawdziwe nazwiska Siniawskiego i Daniela. Dopiero dzisiaj Żenia może uspokoić swoje sumienie i opowiadając jak to było powiadomić świat, że KGB i CIA są szkodliwymi organizacjami, które nie pozwalają ludziom kultury żyć w pokoju i przyjaźni.

Także na temat tej historii prasa światowa przelała dużo atramentu. Najlepiej skomentował rzecz K. S. Karol w paryskim *Nouvel Observateur*: „Oczywiste jest przede wszystkim to, że rewelacje Jewtuszenki nie mogą się spodobać KGB, które wypada w tej historii jak ofiara intrygi CIA, i które głupio rozegrało scenariusz, przygotowany przez CIA”. Jewtuszenko i K. S. Karol uważają, że CIA, chcąc odwrócić uwagę świata od amerykańskiej interwencji w Wietnamie, wymusiła na KGB zorganizowanie moskiewskiego procesu dwóch pisarzy, którzy przekazali swoje utwory za granicę. Nikomu w Moskwie na tym procesie nie zależało, wszyscy byli mu przeciwni, ale nie mogli wy dostać się z siideł CIA i musieli skazać pisarzy i pomóc w ten sposób amerykańskiemu interwentom. Dziwnym trafem znalazłem w moskiewskiej gazecie o zagranicznym tytule *Moscow News* artykuł sowieckiego dziennikarza, który opisuje, jak bardzo sowieckie kierownictwo (i on sam) cierpiało z powodu tego niechcianego procesu. Koniec końców CIA okazuje się jednak gorsza od KGB. Może jednak K. S. Karol nie całkiem ma rację, ubolewając tak bardzo nad głupotą organizacji, która raz jeszcze zrobiła *faux pas*...

Skoro już przypominałem sobie *Moscow News*, warto powiedzieć kilka słów o tej dość niebanalnej moskiewskiej gazecie. Zaczęła się ona ukazywać w roku 1930 po angielsku; od 1934 istnieje wydanie francuskie. W roku 1949 — pamiętnym roku początku walki z kosmopolityzmem — gazetę zamknięto, a jej redaktora, znanego agenta Kominternu Michaiła Borodina, aresztowano i zamorzono na śmierć w obozie. Po śmierci Stalina ga-

zeta znów zaczęła wychodzić, wzbogacona o wydanie hiszpańskie i arabskie. W roku 1980 pojawiło się wydanie rosyjskie, przeznaczone dla nielicznych wybrańców. Wszystkie wersje językowe łącznie miały w 1984 roku nakład 152 tys. egzemplarzy, rozprowadzanych — według informacji na pierwszej stronie wydania rosyjskiego — w 140 krajach. W sierpniu 1986 roku doświadczony dziennikarz od spraw międzynarodowych, Jegor Jakowlew, zastąpił dotychczasowego redaktora naczelnego, Genadija Gierasimowa, który został rzecznikiem prasowym ministerstwa spraw zagranicznych. Jakowlew rozpoczął jeszcze aktywniejszą kampanię obróbki cudzoziemców niż jego poprzednik. Zachodni korespondenci nie muszą już szukać tłumaczy, aby zapoznać się z prasą sowiecką i wypowiedziami sowieckich przywódców (przywódcy!): wszystko (i więcej niż wszystko!) znajdują w *Moscow News*. Przez „więcej niż wszystko” rozumiem pogłoski, nieoficjalne szczegóły, plotki. Trzeba cudzoziemców nastraszyć? Jegor Jakowlew udziela wywiadu, w którym sugeruje, że jeśli Gorbaczow nie uzyska dostatecznego poparcia Zachodu, to po prostu weźmie i poda się do dymisji. I co wtedy? *Moscow News* opublikowało wywiady z Richardem Pipesem i Zbigniewem Brzezińskim. Obaj amerykańscy historycy bardzo dobrze mówią i doskonale tłumaczą ukryte sprężyny sowieckiej polityki. Wypowiedzi sowieckiego dziennikarza komentującego każdą odpowiedź Amerykanów brzmią błado i nieprzekonywująco, ale najważniejsze zostało zrobione — dano dowód „jawności”, z którym zwykły sowiecki obywatel nigdy się nie zapozna, ponieważ pisma nie ma w sprzedaży.

Prasa sowiecka, konferencje prasowe moskiewskiego MSZ, *Moscow News* i zachodni dziennikarze, którzy świadomie lub nieświadomie propagują moskiewski punkt widzenia składają się na potężny aparat, kształtujący właściwe rozumienie świata. Ale to nie wszystko. Włoski tygodnik *Il mondo economico* opublikował 27 października 1986 wywiad z prezesem największej na świecie firmy reklamowej, Robertem Dillenschneiderem. Prezes powiedział m.in., że krótko po wybuchu reaktora w Czarnobylu, kiedy świat jeszcze o niczym nie wiedział, zadzwonił do jego nowojorskiego biura sowiecki minister spraw zagranicznych, Szewardnadze. Następnego dnia Robert Dillenschneider był na Kremlu i rozmawiał z sowieckim kierownictwem. Specjalistów od reklamy nie zaprasza się na ogół na rozmowy o pogodzie, łatwo więc sobie wyobrazić, że dyskutowano o tym, jak najlepiej „sprzedać” światu czarnobylskie „zajście”.

Nietrudno też sobie wyobrazić, że jeśli dla „reklamy” czarnobylskiej katastrofy ZSSR uciekł się do usług największej na świecie firmy reklamowej, to przy mniej ważnych wydarzeniach wzywa się na pomoc innych, tańszych specjalistów od *public relations*. Niewykluczone, że firma Dillenschneidera zajmuje się całą reklamą Związku Sowieckiego na Zachodzie. Ważny jest sam fakt, że do sprzedaży sowieckiego produktu zaangażowano zachodnich specjalistów. Zaczęło się to naturalnie nie dwa lata temu i nie Gorbaczow odkrył tak cenną metodę propagandy. Kapitałiści umieją jak wiadomo dochowywać tajemnicy nie gorzej niż

ludzie sowieccy. Z rzadka tylko wychodzą na jaw kulisy pozornie sprzecznych z naturą powiązań. Szykując w 1928 roku plan pierwszej pięciolatki, Stalin zwrócił się do Amerykanów z prośbą o sporządzenie projektów i dozorowanie robót, o technikę i technologię. Równocześnie kupił usługi „najślynniejszego i najdroższego *publicity man*”, Ivy Lee. Był to rzeczywiście wybitny specjalista: zajmował się reklamą firmy Standard Oil. Ivy Lee pojechał na dwa tygodnie do Związku Sowieckiego, odbył podróż po kraju i po powrocie napisał książkę pt. „Dzisiejsza Rosja”. W książce znajduje się m.in. takie warte uwagi zdanie: „A czy nie jest możliwe, że zachodnia cywilizacja powołana jest do dokonania największego w dziejach ludzkości eksperymentu — do okazania zaufania Rosji?”.

Jak niektórym ludziom wiadomo, Stalin dowiódł, że eksperyment był wart świeczki. Może dlatego uwaga amerykańskiego specjalisty od reklamy znajduje dziś tylu naśladowców. Zachodni Niemiec socjaldemokrata Egon Bahr oznajmił, że lepiej wypróbować Gorbaczowa aniżeli bombę atomową. W artykule francuskiego członka Klubu Rzymskiego widnieje następujące zdanie: „Być może ludzkość zdaje w chwili obecnej historyczny egzamin”.

To istotnie możliwe: zli uczniowie zostają rok po roku w tej samej klasie i bez końca powtarzają egzamin. Ludzkość któryś już raz zdaje egzamin z zaufania do ZSSR. W Związku Sowieckim egzamin zdają Breżniew i jego spuścizna i przepadają z kretesem. „Jawność” wydobywa na światło dzienne kolejne niedostatki rządów Breżniewa. Tygodnik *Ogoniok* (nakład pół miliona), redagowany od ubiegłego roku przez ukraińskiego pisarza Witalija Koroticza, stał się niezwykle popularny dzięki demaskatorskim artykułom na temat poetów, o których znów wolno pisać (np. Gumilowa). Do najbardziej sensacyjnych artykułów należy tekst Dmitrija Lichanowa, zatytułowany „Pancerne mundury”, w którym autor opisał tortury, do jakich uciekała się milicja miasta Petrozawodsk (Karelia) by wymusić zeznania więźniów. Fakty są rzeczywiście wstrząsające. Bohaterami reportażu są milicjanci, którzy tak nieludzko katują aresztantów, jakby zycwem wyszli z sali sądowej na której sądzono morderców księdza Popiełuszki. Główny sadyta zostaje skazany na trzy i pół roku więzienia, jego pomocnik na trzy lata z zawieszeniem. Dyrektorzy z ministerstwa spraw wewnętrznych, pozostałości dawnych breżniewowskich czasów, dostali nagany partyjne. Powodem całego zajścia, jak „z pełną otwartością” przyznał sekretarz karelskiego obwodowego komitetu partii, był brak odpowiedniego nadzoru komitetu partyjnego nad ministerstwem spraw wewnętrznych.

Nie mniejszą sensację wzbudził artykuł Władimira Jakowlewa pt. „Lubiercy”. Słowo natychmiast weszło w użycie. Jakowlew opisał w *Ogonkie* kluby kulturystów, które zupełnie przypadkiem powstały w podmoskiewskiej miejscowości Lubierce (stąd „lubiercy”). Wspomniana grupa kulturystów, rozwijających bicepsy i tricepsy pod portretem Arnolda Schwarzeneggera, liczy ok. 500 osób. Autor artykułu opisuje młodych wyznawców sławnego Arnolda jako wrogów miejskiej (moskiewskiej) młodzieży, która

uległa zachodnim wpływom i modzie. W artykule mowa jest o ekspedycjach karnych na zwolenników dżinsów i „metalistów” (wielbicieli jazzu). Podczas konferencji prasowej w ministerstwie spraw zagranicznych Genadij Gierasimow, wyjaśniając zachodnim dziennikarzom, kto bił na Arbacie demonstrantów, domagających się uwolnienia Josifa Beguna, całą winę przypisał „wizilantom”, tj. młodym ludziom, oburzonym takim naruszeniem porządku publicznego.

Artykuł o „lubiercach” wywołał ostry sprzeciw majora milicji Gonczarowa (*Sowietskaja Rossija*), który zapewnia, że żadni „lubiercy” nie istnieją, jest to zwykły wymysł dziennikarzy.

Dyskusja na temat „lubierców” odzwierciedla w jakimś stopniu zmianę stosunku do „jawności”. Użyta jako narzędzie walki z breżniewowskim aparatem partyjnym, „jawność” przestaje stopniowo być potrzebna dla wymiany starych kadr na nowe. 13 lutego generalny sekretarz wygłosił ważne programowe przemówienie do „kierowników środków masowej informacji i propagandy”. Był to znak, że pora zahamować „jawność” i że trzeba surowiej ją kontrolować. Przypomniał im, że potrzebna jest „konstruktywna krytyka” oraz że krytyka „zawsze powinna być partyjna”, ale za często krytykuje się instancje partyjne. „Nie należy — zwraca uwagę generalny sekretarz — całej winy przypisywać komitetom partyjnym... i rozwieszać nad wszystkim partyjnego parasola”. Wciąż jeszcze dużo mówi się o „sprawiedliwości społecznej”. „Czyż nie powinniśmy jednak zachęcać utalentowanych dziennikarzy i uczonych, czy w ogóle każdego uczciwego i pracowitego człowieka?”. Pora skończyć z potępianiem dacz, specjalnych lecznic itp.

Dużo miejsca poświęcił Gorbaczow stosunkowi do historii. Przyznając, że „nie powinno być zapomnianych nazwisk, białych plam ani w historii, ani w literaturze”, podkreślił, że „opublikowano wiele z tego, co zasługuje na najmniejszą choćby uwagę społeczeństwa”. Czyli pora zwolnić bieg. Z drugiej strony za mało pisze się o tych, którzy „robili rewolucję”, odłogiem leżą całe okresy sowieckiej historii — np. kolektywizacja — bowiem „były błędy — i to wielkie”. Najważniejsze z punktu widzenia Gorbaczowa jest to, że i wtedy, „w najtrudniejszych chwilach, kraj szedł do przodu”. Krótko mówiąc „należy uwzględnić całą prawdę”.

Jak opowiadają moskwiczanie, Gorbaczow nieoficjalnie podsumował kampanię „jawności” zdaniem „plebs jest zmęczony krytyką”.

Charakterystycznym zjawiskiem ostatnich miesięcy jest niezwykle szybki wzrost kultu Gorbaczowa. Do głównych „budowniczych kultu” należy dramaturg Michaił Szatrow, autor niezliczonych książek oraz scenariuszy filmowych i telewizyjnych na temat Lenina. Jako największy znawca Lenina Szatrow może potwierdzić — i potwierdza — że Gorbaczow jest reinkarnacją ojca władzy sowieckiej. Zdaniem Szatrowa marzec 1985 roku stanowi zwrotny punkt w dziejach (*Ogoniok* nr 4). Sam Gorbaczow przyznaje, ile trudu kosztuje go obrona przed wielbicielami: „Sta-

rają się zrobić ze mnie boga — tłumaczy wodzowi argentyńskiej partii komunistycznej. — A ja nie jestem bogiem" (*International Herald Tribune* z 5 marca br.). Odważne wyznanie Gorbaczowa, że nie jest bogiem przypomina walkę, jaką bezskutecznie toczył Stalin z tymi, którzy zmusili go w końcu, by został bogiem.

Gorbaczow powiedział argentyńskiemu komuniście, że bóg to naród. Słyszeliśmy już podobne myśli. Jakby nie było, naród dobrze rozumie charakter generalnego sekretarza. Dowodem następująca anegdota: Czukcza wraca do domu ze zjazdu. Wszyscy krajanie zbierają się, by wysłuchać, co się dzieje w Moskwie. — Dowiedziałem się — opowiada delegat na zjazd — po pierwsze, że Marks i Engels to dwie różne osoby. Po drugie, że socjalizm ma służyć człowiekowi. Po trzecie — widziałem tego człowieka.

P.S. Przeczytawszy powyższy przegląd, uprzytomniłem sobie, że liczba złych wiadomości znowu bardzo przerasta liczbę dobrych. Zaniepokoiłem się: co powie Stefan Kisielewski? Niepokój to uzasadniony: w ostatnim numerze *Kultury*, w recenzji z książki Ungera „Orzeł i reszta”, Stefan Kisielewski nieoczekiwanie (i ku wielkiemu mojemu zadowoleniu) wspominał i o mnie. Jego zdaniem specjalizujemy się wraz z Leopoldem Ungerelem w „czerni” i „zmiana sytuacji pozbawiłaby nas tematyki”. Wszystko to prawda: zgrzeszyłem, *mea culpa*. Dziwi mnie co innego. Stefan Kisielewski pisze: „Podejrzewać też można, że gdyby coś się w Rosji naprawdę zaczęło zmieniać, Unger i Heller byłiby ostatnimi, którzy by nam o tym donieśli”. Trudno mi coś powiedzieć o zamiarach Leopolda Ungera. Jeśli o mnie chodzi, to Kisielewski znów ma całkowitą rację. Nieprędko uwierzę w zmiany w Związku Sowieckim. Ale znowu dziwi mnie co innego. Dlaczego Stefan Kisielewski oczekuje zwiastowania ode mnie? Czyż nie znajduje go dzień w dzień w rodzimej polskiej prasie, nie słyszy w rodzimym radio, nie widzi w rodzimej telewizji? Jeśli zechce, może i do *Prawdy* sięgnąć. Cóż za dziwne zбочzenie: oczekiwać dobrych wiadomości z Rosji od „specjalisty od czerni”!

Mam wrażenie, że rozumiem, dlaczego Stefan Kisielewski chciałby znaleźć w moich przeglądach prasy sowieckiej optymistyczne wiadomości z Moskwy. Przypomniła mi się mianowicie stara powieść niesłusznie zapomnianego pisarza rosyjskiego, Leonida Andriejewa. Akcja toczy się w jakimś nieokreślonym kraju. Bezpodstawnie aresztowany człowiek odzyskuje wolność. Tak już przywykł do celi więziennej, że wynajmuje mieszkanie w pobliżu więzienia. Sługa wyprowadza go na spacer. Żyje na wolności tak, jak żył w niewoli. W ostatniej scenie powieści bohater wychodzi na przechadzkę, spogląda na swoje byłe więzienie i mówi: „W świetle zachodzącego słońca nasze więzienie jest przepiękne”. Łatwo sobie wyobrazić, jak by go zabolalo, gdyby ktoś zwątpił w piękno więzienia.

Adam KRUCZEK

15 marca 1987

## Kronika niemiecka

*Związek Hurtowników i Handlu Detalicznego* rozważa utworzenie specjalnego funduszu, z którego wypłacane byłyby kredyty zachodnoniemieckim rzemieślnikom i drobnym przemysłowcom, dostarczającym materiały i surowce rzemieślnikom i drobnej wytwórczości do dalszej obróbki w Polsce. Według projektu przewodniczącego *Związku*, Klaus Richtera, *Deutsche Bank* gotów jest przeznaczyć na te cele początkowo milion marek. Delegacja *Cechu Rzemieślników Kolonii* omawiała te sprawy podczas pobytu w Katowicach. ■ Siedemdziesiąt prac ze zbiorów *Muzeum Plakatu* w Wilanowie pokazano w Berlinie Zachodnim. ■ 1 stycznia 1985 roku NRD jednostronnie poszerzyła zasięg swoich wód terytorialnych z 3 do 12 mil morskich (ok. 20 km). O oficjalnych reakcjach ze strony polskiej nie było słychać. Prasa zachodnia informuje, że na przełomie grudnia i stycznia doszło na wodach, które NRD uznaje obecnie za własne, do incydentów w postaci zatrzymywania polskich statków handlowych. ■ W RFN pojawia się co roku średnio 30 nowych przekładów dzieł polskich autorów (USA — 6; Francja — 5). Najbardziej znani polscy pisarze w RFN: Stanisław Jerzy Lec, Stanisław Lem, Janusz Korczak, Henryk Sienkiewicz, Zbigniew Herbert, Czesław Miłosz, Sławomir Mrożek, Stanisław Ignacy Witkiewicz i Witold Gombrowicz. ■ Krajowe oficyny wydawnicze wydały w 1986 roku 5.550 tytułów (łącznie z broszurami). W NRD wydano blisko 3 tys. tytułów więcej. ■ Od kilku miesięcy działa w Zachodnim Berlinie świetlica polska, którą uruchomiła i prowadzi *Grupa samopomocy Polaków na emigracji (Selbsthilfegruppe der polnischen Emigranten)*. Odbywają się tu stałe imprezy, odczyty, wieczory artystyczne, istnieje klub dyskusyjny miłośników książki i polska czytelnia. Ośrodek finansuje się sam dzięki składkom członkowskim i wpływom z imprez. Pozwoliło to już w tej chwili na zakup sporej biblioteczki, urządzeń technicznych, obecnie planuje się zakup mikrobusu dla potrzeb członków organizacji. ■ *Klub im. J. Mieroszewskiego* w Monachium wspólnie z *Katholischer Akademikerverband e. V.* zorganizował spotkanie pt. *Otto Schimek — bohater czy legenda?* Referat wygłosił J. Marchwiński, spotkanie odbywało się w języku niemieckim. *Akademikerverband* zaproponował pomoc w popularyzowaniu postaci Schimka w szkołach bawarskich i w prasie katolickiej. ■ Przedstawiciele *Klubu — Tadeusz Nowakowski* i *Alina Perth-Grabowska* — uczestniczyli w uroczystości otwarcia wystawy trzech rewalacyjnych rzeźb srebrnych z Jasnej Góry w *Bawarskim Muzeum Narodowym*. Podczas restauracji figur okazało się, że są to najcenniejsze zachowane zabytki sztuki srebrniczej augsburskich mistrzów z początków XVII wieku. Stąd ogromne zainteresowanie kustoszów i historyków sztuki. Za renowację i transport z Jasnej Góry do warsztatów w Bawarii zapłaciła diecezja monachijska i *Fundacja Boscha*, dodatkową pomoc zapewniło zachodnoniemieckie *Stowarzyszenie Przyjaciół Jasnej Góry*. ■ Na *Ukraińskim Wolnym Uniwersytecie* w Monachium odbyła się kolejna impreza *Klubu Niezależnej Myśli Politycznej im. J. Mieroszewskiego* oraz *Towarzystwa Polsko-Ukraińskiego*. Był to wieczór poświęcony stosunkom Polski z jej wschodnimi sąsiadami. Wprowadzenie do dyskusji stanowiły dwa referaty, Włodzimierza Odojewskiego pt. *Propaganda panslawizmu w Polsce* i Wiesława Wawrzyniaka pt. *Spółczesność podziemna a wschodnie granice niepodległej Polski*. Przewodniczył Jerzy Iranek-Osmecki. Ze strony ukraińskiej byli przedstawiciele głównych kierunków politycznych: *Ruchu Demo-*

kratycznego, melnykowców i banderowców. Ci ostatni byli reprezentowani przez panią Sławę Stecko, wdowę po zmarłym w zeszłym roku Jarosławie Stecko, przywódcy OUN. Oba referaty wywołały wielkie zainteresowanie oraz udział w dyskusji m.in. przedstawicieli obecnej ukraińskiej mniejszości w Polsce. Rewelacyjne dla wielu uczestników było przedstawienie przez redaktora Wawrzyniaka poglądów oraz deklaracji podziemnych ruchów politycznych w Polsce wobec granicy wschodniej, którą przyjmują one jako obowiązującą i niekwestionowaną, w wierze i nadziei, że takie postawienie sprawy jest jedyną możliwą podstawą politycznej współpracy z Ukraińcami, Białorusinami i Litwinami. Uczestnictwo p. Steckowej było wydarzeniem. Z różnych odgłosów można wywnioskować, że może dojść do ponownego, po prawie 50-ciu latach, zbliżenia pomiędzy melnykowcami i banderowcami. Natomiast *Widnowa*, tak zdawałoby się pożyteczna, nie wzbudza u wielu Ukraińców większego entuzjazmu. ■ Jedną z tegorocznych nagród hamburskiej *Fundacji im. Herdera* przyznano polskiemu pisarzowi i dramaturgowi, Romanowi Brandstaetterowi. Uroczyste wręczenie nagrody odbył się w Wiedniu w maju 1987. ■ W ciągu ostatnich dwóch lat obroty handlowe PRL z Berlinem Zachodnim prawie podwoiły się. Jednak ostatnio sytuacja jest trudniejsza z powodu ograniczenia dostaw polskiego węgla po spadku cen ropy naftowej na świecie. Natomiast zwiększyły się w ostatnim okresie dostawy polskich produktów żywnościowych, odzieży i materiałów budowlanych. Przy budowie elektrowni ciepłej *Reuter-West* jest zatrudnionych 200 polskich robotników. ■ Klaus Staemmler (Frankfurt nad Menem) został laureatem nagrody *Polskiego Ośrodka Stowarzyszenia Kultury Europejskiej (SEC)*. Znany tłumacz (Zygmunt Krasiński, Przybyszewski, Bratny, Dygat, Lem, Jan Józef Szczepański, Słonimski, Kazimierz Brandys, Marek Nowakowski, Herbert i Hanna Krall) przygotowuje obecnie do druku *Lekcję martwego języka* Kuśniewicza oraz *Opetanych i Wędrowki po Argentynie* Gombrowicza. Obie pozycje ukażą się w monachijskim wydawnictwie *Hanser-Verlag*. ■ Polityczno-kulturalny *Magazyn Wyspa*, nadawany w języku polskim przez zachodniobermberską telewizję kablową rozpoczął regularną działalność. Pierwsze wydanie nadano 6 lutego, a powtórzenia 13 i 20 lutego. *Magazyn* zawierał następujące pozycje: w serii rozmowy z polskimi pisarzami — rozmowa z Leszkiem Szarugą, sylwetka malarza i architekta Engelberta Kremsera oraz „Berlin tyłu kultury i ludzi, miejsce nieznanymi i widzianymi inaczej”. W następnej audycji rozmowa z Andrzejem Sulikowskim (młody pisarz krakowski), przedstawienie prac polskiego fotografa na temat 750-lecia Berlina i *Mur berliński* w oczach artystów. *Magazyn Wyspa* jest redagowany i reżyserowany przez Ewę Marię Śląską i Grzegorza Ziętkiewicza. ■ Oficjalna propaganda z manickim uporem twierdzi, że w Polsce nie ma mniejszości niemieckiej (w ub. roku wyjechało z PRL do RFN 27 tys. Niemców), a osoby, które chcą wyjechać do Niemiec na stałe są zmuszane przez miejscowe władze do składania deklaracji, że są pochodzenia niemieckiego... Wygląda na to, że *Ministerstwo Spraw Wewnętrznych*, które wymaga składania tych deklaracji, jest ukrytym narzędziem niemieckiego rewanżyzmu. ■ Niemiecka prasa pisze, iż zamek w Kamieńcu Żąbkowieckim k/Wałbrzycha jest obecnie wielką ruiną, a wyłupane schody odnalazł można ponoć w... *Pałacu Kultury i Nauki*. Neogotycki zamek (według projektu słynnego Karla Friedricha Schinkela) zbudowany dla Albrechta Hohenzollerna zrujnowany został w 1945 roku, ponieważ został uznany za dowód feudalnego wynaturzenia... ■ Dr Richard Breyer, znany historyk, specjalista od spraw polskich obchodził 70-tą rocznicę urodzin. ■ Dr Herbert Hupka, przewodniczący *Ziomkostwa Ślązaków*, nie wszedł do nowego *Bundestagu*. ■ Monachijski *Piper-Verlag* wydał *Abschied vom Herbst (Pożegnanie jesieni)* w tłumaczeniu Waltera Thiela. W reklamówce wydawnictwo pisze m.in.: „Witkiewicz w roku 1939 popełnił samobójstwo podczas ucieczki przed niemieckim Wehrmachtem”... Katalog za-

wiera więcej podobnych bzdur o Witkiewiczu. ■ 1.711 obywateli polskich zwróciło się w lutym br. do władz zachodniemieckich z prośbą o azyl. Dane podał *Centralny Urząd Rejestracyjny* w Zirndorfie (Bawaria). ■ Wicemarszałek *Sejmu* Mieczysław F. Rakowski przebywał z tygodniową wizytą w RFN. Spotkał się z prawie wszystkimi szefami politykami *CDU/CSU, FDP i SPD*, a także z przewodniczącym centrali *Niemieckich Związków Zawodowych (DGB)* Ernestem Breitem i kierownikiem wydziału zagranicznego *DGB*, Erwinem Kristoffersenem. Podobno *DGB* jest skłonne uznać nowe związki zawodowe w PRL. Prasa zachodniemiecka zamieściła zaledwie wzmianki o wizycie. ■ *Polska Żegluga Bałtycka* wznowi w maju br. połączenie promowe na linii Gdańsk - Świnoujście - Travemünde - Lubeka, począwszy zaś od czerwca br. z Lubeki i Travemünde osiągnąć będzie można polskim promem port Roenne na wyspie Bornholm. Kursujący na tej trasie prom *Rogalin* (idzie na złom) zostanie zastąpiony nowoczesną jednostką *Silesia* (7,5 tys. BRT). ■ W Polsce jest ok. 100 tys. protestantów wyznania luteranckiego i wspólnota ich nieznacznie, ale ciągle się zwiększa. Wzrost liczby wiernych, po kryzysie lat 70-tych, spowodowanym szeroką falą emigracyjną do RFN, wiąże się z tym, że wielu protestantów, którzy dotąd stali na uboczu, angażuje się w życie wspólnoty. Można też mówić o swoistej polonizacji *Kościół ewangelicko-augsburskiego*. Dominowali w nim poprzednio Polacy pochodzenia niemieckiego. Teraz starsi pastory odchodzą na emeryturę lub wymierają. Ich miejsce zajmują ludzie młodzi, lub nawet bardzo młodzi, przeważnie z czysto polskich rodzin. Skupiska ewangeliczne: Bielsko-Biała (własna drukarnia), Katowice, Warszawa i Wrocław. Reszta jest rozproszona na Górnym Śląsku i na Mazurach. ■ Andrzej Szczypiński został zaproszony jako gość honorowy na doroczne obrady zachodniemieckiego *PEN-Clubu* w Darmstacie. Miał tam też wygłosić kilka odczytów. Wbrew przyręczeniu *Ministerstwa Kultury* Szczypiński nie dostał paszportu i musiał odwołać przyjazd. ■ Wydana na podstawie zaleceń *Komisji Podręcznikowej PRL-RFN* broszura poświęcona dziejom ruchu oporu w Polsce i w Niemczech doczekała się w Niemczech Zachodnich trzech wznowień. ■ W Karlsruhe działa organizacja pn. *Patenschaft (Patronat)*, którą kieruje adwokat Wolf Dieter Ruppert. Początkowo organizacja koncentrowała działalność na wysyłce do Polski ciężarówek wyładowanych wszelkiego rodzaju pomocą. Ogółem wysłano 70 takich ładunków. Była to żywność, obuwie i preparaty witaminowe. W 1982 roku *Patenschaft* przystąpił do organizowania dla polskich dzieci 2-tygodniowych wczasów w RFN. Ogółem do tej pory z zaproszeń do Niemiec Zachodnich skorzystało przeszło 6 tys. polskich dzieci. Ze strony polskiej w organizowaniu wyjazdów pomagał biskup Herbert Bednorz. W międzyczasie władze PRL uznały działalność Wolfa Dietera Rupperta i kierowanej przez niego prywatnej organizacji *Patenschaft*. ■ Tegoroczny *Tydzień Teatrów Studenckich* w Kolonii miał charakter festiwalu polsko-niemieckiego. Z PRL, po pokonaniu sporych trudności, przybyły następujące teatry studenckie: *Teatr KTO* (Kraków), *Teatr 38* (Kraków), *OTO Kalambur* (Wrocław), *Teatr Scena 6* (Lublin), *Grupa Teatralna „OM”* (Kraków). W kolejności teatry wystawiły następujące sztuki (reżyseria w nawiasach): *Spektakl ten odbył się naprawdę* (Jerzy Żoń); *Kubuś Puchatek* (Piotr Szczęsny); *Okapi* (według Stanisława Grochowiaka); *Zestani do rajy* (Henryk Kowalczyk); *Imitacja* (Krzysztof Lipski). Spektakl *Abschiedsvorstellung* według Petera Müllera w wykonaniu zespołu *Teatr KTO* z Krakowa został przyjęty entuzjastycznie przez krytyków teatralnych. Krakowscy studenci musieli powtórzyć przedstawienie. W ogóle *Festiwal* był udaną imprezą. ■ *Wschodnioeuropejski Ośrodek Kulturalny IGNIS* w Kolonii urządził wieczór satyryczny z Januszem Szpotkańskim. Znany satyryk czytał m.in. obszerne fragmenty *Bani w Parzyżu* i *Tow. Szmaciaka* (*Instytut Literacki*, Paryż 1978). ■ Barbara Urpiwarska wystawiała obrazy olejne i rzeźby w *Atelierdreieck* w Essen. ■

W Carlsbergu (Palatynat) zmarł ks. dr Franciszek Blachnicki, b. wykładowca *Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego*, twórca *Ruchu „Światło-Życie”* i założyciel *Chrześcijańskiej Służby Wyzwolenia Narodów*. Od 1981 roku przebywał na emigracji w RFN. ■ Wrocławski poeta i tłumacz, do roku 1981 przewodniczący tamtejszego oddziału *Związku Literatów Polskich*, Lothar Herbst, otrzymał wreszcie paszport i przybył do RFN na leczenie. Miał już szereg spotkań autorskich: w *Księgarni WAWEL* w Kolonii czytał wiersze z tomiku napisanego w więzieniu *Listy z podróży* oraz mówił o sytuacji w kraju, w tym również o znaczeniu kultury niezależnej; w *Klubie Polskim ZPU* w Dortmundzie mówił o własnych przeżyciach z ostatnich lat i działalności *Solidarności*, czytał również wiersze z *Listów z podróży* i odpowiadał na liczne pytania. Radio dortmundzkie nadało sprawozdanie z wieczoru (w języku polskim) oraz krótki wywiad z polskim poetą; w BBC Herbst mówił na tematy krajowe, a kolońska radiostacja *Deutschlandfunk* nadała o nim specjalną audycję w opracowaniu Helgi Hirsch. Rozgłośnia *Sender Freies Berlin* przeprowadziła z Herbstem rozmowę o polskiej literaturze niezależnej, a zachodniobерlińska *Tageszeitung* zamieściła wywiad z nim (m.in. na temat nowej polityki Gorbaczowa). Wystąpienia Herbstą są odnotowywane przez bońską *Die Welt*.

Andrzej J. CHILECKI

## Kronika litewska

*Catholic Register* (USA) z listopada 1986 stwierdza, że mimo oświadczeń Gorbaczowa o poprawie stosunków z Kościołami nigdy od czasów stalinowskich nie przebywało w obozach tyłu księży litewskich. W końcu listopada została niespodziewanie zwolniona z łagru Jadwiga Bielauskiene, skazana w 1982 roku na cztery lata obozu o obustronnym reżymie i trzy lata zwykłego za propagandę antysowiecką, tj. za uczenie dzieci religii i czytanie im patriotycznej literatury. Jadwiga Bielauskiene nie prosiła o ułaskawienie. ■ Od 1945 roku usunięto na Litwie z pracy za „religijne nastawienie” dwa tysiące nauczycieli. ■ Kierownik wydziału wymiany kulturalnej Republiki Litewskiej oświadczył, że próby wymiany kulturalnej z zagranicą napotykały na liczne trudności i szkany, wobec czego zrezygnowano z wyjazdów do Australii, Nowej Zelandii i Szwajcarii. ■ Litewsko-amerykański malarz Kazimieras Žoromskis najpierw wystąpił czy też wywiózł do Wilna 150 swych obrazów, a następnie repatriował się i osiadł tam na stałe. ■ W Wilnie dobiega końca budowa 800-metrowego tunelu od Wilii do ulicy Podgórznej (jedynej ulicy, która nie zmieniła nazwy). Dwutorowy tunel przeznaczony jest dla ruchu kołowego. ■ Na Litwie kościoły płać za prąd elektryczny sześciokrotnie wyższą taryfę niż inne instytucje, a za ubezpieczenia trzykrotnie wyższą. ■ Wileński *Czerwony sztandar* zamieścił wywiad z ministrem kultury i sztuki PRL, A. Krawczukiem, który odwiedził Litwę. Dotychczas wymiana kulturalna obejmowała głównie trzy przygraniczne województwa, białostockie, łomżyńskie i suwalskie, obecnie ma być rozszerzona i na inne. Na zapytania o wizyty polskich zespołów w Wilnie minister niezmiennie opowiadał o wymianie ze Związkiem Sowieckim, dodając, że niektóre z zespołów wystąpią również na Litwie. Mowa też była o ożywionym ruchu turystycznym. Z innych źródeł wiadomo, że indywidualne

wyjazdy są bardzo utrudniane. ■ W Polsce występował kowieński teatr dramatyczny i wileński teatr młodzieżowy. ■ Zygmunt Stoberski otrzymał nagrodę za tłumaczenia z języka litewskiego na polski. ■ Ilość mieszkańców portowego miasta Kłajpeda doszła już do 200 tys. Litwini są już prawdopodobnie w mniejszości. Wobec rozbudowy żeglugi i przemysłu osiedliło się tam ostatnio dużo Rosjan; zajmują oni wyższe stanowiska, zwłaszcza w żegludze. W październiku 1986 uruchomiono prom z Kłajpedy na Rugię, należąca do NDR. Prom mieści 100 wagonów kolejowych. W 1991 roku ma kursować 6 takich promów. ■ W toku wierceń podmorskich na Bałtyku niedaleko Kłajpedy znaleziono niewielkie ilości ropy i miano je eksploatować, gdy powstała fala protestów przeciwko skażeniu znanego rezerwatu przyrody na Kurońskiej Mierzei. Gdy protesty wyszły poza krąg pisarzy i naukowców litewskich i sięgnęły znanych pisarzy rosyjskich (na łamach czołowych pism moskiewskich) — projektu zaniechano. ■ W Chicago ukazał się piąty tom wydawnictwa „Lietuvos Bažnyčios” (Kościoły na Litwie), poświęcony kościołom na Wileńszczyźnie i w samym Wilnie. Z recenzji można wnosić, że nawet w ilustrowanym wydawnictwie można dać wyraz sympatiom i antypatiom narodowościowym. Autor, B. Kviklis, został odznaczony przez Papieża orderem „Pro Ecclesia et Pontifice”. ■ W litewskiej prasie emigracyjnej był omawiany artykuł Niny Taylor „Dziedzictwo W. X. Litewskiego w literaturze emigracyjnej” (*Kultura* nr 10/469, 1986). Litewski recenzent zaznacza, że Litwini znają nieco twórczość Cz. Miłosza, nie znają natomiast zupełnie Józefa Mackiewicza (który pisze o nich przychylnie), Sergiusza Piaseckiego (nieprzychylnie) ani Konwickiego, który walczył w szeregach wileńskiej AK, choć wszyscy trzej byli tłumaczeni na wiele języków. ■ W USA wyświetlany jest film „Partisans of Wilna”, o Żydach wileńskich, którym udało się zbiec z obozów zagłady do oddziałów partyzantki antyhitlerowskiej. ■ *New York Law School Journal of International and Comparative Law* poświęcił cały numer zimowy 1985 pracy W. Hough'a o sytuacji prawnej państw bałtyckich. Autor zwraca uwagę, że mało jest w historii przypadków, by po 46-ciu latach stan faktyczny wciąż nie był prawnie uznany. ■ Światowa Rada Bałtów zwraca uwagę Międzynarodowej Agencji Atomowej, że siłownie nuklearne w Ignalinie i Peipus są zbudowane tak samo, jak siłownie w Czarnobylu, co znaczy, że zagrażają one nie tylko zniszczeniem narodów bałtyckich, ale też — choć w mniejszym stopniu — Europie zachodniej. ■ Po wielkich uroczystościach 28 czerwca przewidziane są modły w rozmaitych kościołach w Rzymie w językach litewskim, polskim i po łacinie. Z bólem serca chciałoby się zapytać litewskich księży i organizatorów, po co polskie nabożeństwa z okazji chrztu Litwy. Polski rząd na uchodźstwie zamierza urządzać obchody rocznicy chrztu Litwy i zaprosić Litwinów. Czy wracamy do czasów Jagiełły? Historycy twierdzą, że gdy Jagiełło pojechał ze szczerym poczetem w roku 1387 do Wilna i ustanowił wileński diecezję i katolicyzm jako religie panującą, nie towarzyszył mu żaden biskup i nie było masowych chrztów, jak pisał Długosz. Królowa Jadwiga nigdy nie była na Litwie. Zdaniem litewskich historyków pierwszy chrzest przypadł sto lat wcześniej, za króla Mendoga, a trzeci kilkadziesiąt lat później, już po Grunwaldzie, i objął wreszcie i Żmudź. Już w niepodległej Litwie obchodzone jubileusz, ale 500-lecia założenia diecezji żmudzkiej z pierwszym biskupem, kniazim Mamertem Giedroyciem. Siedziba mieściła się w Olsiadach, w której to parafii wiele lat później urodził się prezydent Narutowicz. ■ Uroczystości 600-lecia chrztu Litwy były uprzednio projektowane w dwóch odmiennych terminach w Kownie i w Rzymie. Według później ustalonego programu odbędą się jednocześnie w Rzymie i Wilnie dnia 28 czerwca 1987, chociaż Wilno nie ma obecnie tak wielkiego kościoła, jak bazylika kowieńska. Władze sowieckie zezwalając na obchody w Wilnie uprzedziły, że nie wypuszczą pielgrzymów zza granicy ani nie wypuszczą swoich obywateli na uroczys-



tości rzymskie (ani świeckich, ani biskupów). Mimo to liczy się, że kilku biskupów z Zachodu będzie się ubiegać o wizy wjazdowe. ■ Krajowa rada społeczności litewskiej w Australii uchwaliła na sesji 29-30 grudnia 1986 w Sydney m.in., że „zwraca się z szacunkiem do Jego Świątobliwości papieża Jana Pawła II i wyrażając podziękowanie za zrozumienie uczuć i dążeń narodu litewskiego i okazaną przychylność z okazji 600-nej rocznicy chrztu Litwy, prosi Jego Świątobliwość o przydzielenie arcybiskupstwa wileńskiego Litwie. Rada sądzi, że przyłączenie arcybiskupstwa w stolicy Litwy Wilnie do litewskiej prowincji kościelnej bardzo by się przyczyniło do wyrównania stosunków i przywrócenia przyjaźni między narodami litewskim i polskim”. (W artykułach litewskiej prasy emigracyjnej często spotyka się ton żądania, nie prośby). ■ Dnia 12 listopada 1986 odbyło się na wydziale historii Akademii Teologicznej w Krakowie seminarium nt. „Chrztu Litwy i jego religijnych i politycznych następstw”. Z Uniwersytetu Gregoriańskiego w Rzymie przybył profesor ks. Rabikauskas (Litwin), który wygłosił odczyt w języku niemieckim. Pozostałe odczyty wygłosili Polacy: S. Szczer z Uniwersytetu Jagiellońskiego o przygotowaniach dyplomatycznych do aktu w Krewie, T. Trajdos z PAN o Unii, B. Kumor z lubelskiego KUL-u o litewskich biskupstwach do XV wieku i ks. T. Krahel z Warszawy o litewskim duchowieństwie w XV wieku.

E. ŻAGIELL

## LEKARSTWA

Przodujących fabryk Europy, Ameryki i Japonii  
WYSYŁAMY BEZ ZWŁOKI.

— Recepty i zamówienia realizujemy do wysokości \$US 50,00 natychmiast — nie czekając na wpłatę. ● Odczytywanie recept krajowych ● Wszelkie aparaty medyczne ● Okulary ● Aparaty słuchowe ● Preparaty dentystyczne.

Cenniki i wyceny przesyłamy natychmiast.  
Największy Polski Dom wysyłkowy

**TAZAB LTD.**

Tazab House, 273 Old Brompton Road,  
London SW5 9JB, England.  
Tel.: (01) 373 48 81

oraz informacje

Madame C. Piquard-Zabłocki,  
12 rue Condorcet, 75009 Paris, France.  
Tel.: 42 85 79 45.

## Sprawy i troski

### Polskie muzea i biblioteki na Zachodzie\*

Na Via Cassia, w nowoczesnym Domu Pielgrzyma Jana Pawła II, i na Piazza Cairola, w pobliżu najstarszego rzymskiego forum, odbyły się cztery sympozja przedstawicieli bibliotek i muzeów polskich na Zachodzie oraz jedna sesja otwarta dla publiczności, ciekawej na czym polega działalność ich „stałej konferencji”, organizmu jednoczącego 15 polskich ośrodków naukowo-kulturalnych na Zachodzie.

„Pracujemy na to, co ma być za 20-30 lat”: Ryszard Dembiński, dyrektor Instytutu im. Generała Sikorskiego w Londynie, tłumaczył w kategoriach naukowych i narodowych znaczenie i rolę zbiorów i archiwów polskich poza krajem. Jerzy Mond, sekretarz generalny Towarzystwa Historyczno-Literackiego, sprawującego opiekę nad Biblioteką Polską w Paryżu, przypomniał statutowe cele stałej konferencji: 1. Promieniowanie kulturalne na środowiska, w których działają te instytucje; 2. Służenie społeczności polskiej i środowiskom pochodzenia polskiego na Zachodzie w duchu światopoglądu chrześcijańskiego i tolerancji, dla dobra niepodległości Polski; 3. Oddziaływanie na kraj poprzez udostępnianie informacji i prawdy o naszej przeszłości i teraźniejszości. Cele te instytucje związane w konferencji pragną realizować m.in. poprzez ściślejszą między sobą współpracę.

Konferencja nie ma stałych władz. Jej sekretarzem jest co roku przedstawiciel ośrodka organizującego doroczną sesję plenarną. We wrześniu 1986 roku pełnili funkcję sekretarzy i gospodarzy dyrektorzy dwóch najmłodszych członków konferencji, Ośrodka Dokumentacji Pontyfikatu Jana Pawła II oraz Papieskiego Instytutu Studiów Kościelnych, księża Michał Jagosz i Hieronim Fokciński.

Zasięg działalności polskich bibliotek, archiwów i muzeów

\* Artykuł ten został zamówiony przez krakowski Tygodnik Powszechny, w którym nie mógł się ukazać ze względów cenzuralnych.

w krajach zachodnich, to problem szerszego aniżeli dotychczas promieniowania na środowiska polskie i pochodzenia polskiego, ale także na środowiska cudzoziemskie. „Nasze sprawy są tam często mało znane, źle znane — stwierdził Jerzy Mond. — Misja polskich instytucji powinno być więc prostowanie, wyjaśnianie, tłumaczenie. Walka o prawdę jest dzisiaj pierwszym zadaniem, pierwszym obowiązkiem nas wszystkich, gdyż na tym polu rozgrywają się największe bitwy teraźniejszości... rzetelna nauka i prawdziwa kultura są orężem niezastąpionym...”.

Wicedyrektor Instytutu im. gen. Sikorskiego, Aleksander Szkuła, przeprowadził swego rodzaju zajęcia praktyczne, na sesji otwartej, analizując niezwykle rzadką kolekcję ulotek z czasu drugiej wojny światowej, którą posiada Muzeum im. Gen. Sikorskiego w Londynie. W pierwszych dniach września 1939 roku agenci niemieccy przenoszą swoje ulotki za linię frontu. Przerzuca je na stronę polską pocisk artyleryjski lub samolot: „Woj-sko polskie jest rozbite! Oddziały niemieckie przekroczyły już Wisłę... poddajcie się”. Dwa tygodnie później inne ulotki docierają do linii polskich: „Pańsko-burżuazyjny rząd polski, wciągając was w awanturniczą wojnę, pozornie przewaliło się... Wasze przeciwieństwo bez korzyści i przereczono na całą zgubę... Rzólnierze Armii Polskiej, nie proliwacie doremnie krwi za cudze wam interesy obszarników i kapitalistów... rzucajcie broń... wam zabezpieczona swoboda i szczęśliwe życie”. Poprzez propagandę wojenną niemiecką, włoską a także amerykańską, angielską i sowiecką zarysowuje się nieoczekiwane obraz historii.

Wiele jest unikalnych dokumentów w archiwach polskich na Zachodzie. W Bibliotece Polskiej w Paryżu znajdują się trzy pierwsze wydania „De revolutionibus orbium coelestium” Kopernika, pierwodruk „Prawa magdeburjskiego”, „Żywoty świętych” Piotra Skargi, akt detronizacji cara Mikołaja I przez sejm polski w 1830 roku. W rękopisie „Pana Tadeusza”, Mickiewicz nie pisał „Litwo, ojczyzna moja...”, a „Ojczyzna, moja Litwo...”. Jedyny wiersz, który Goethe napisał po francusku jest zaadresowany do Marii Szymanowskiej (następnego dnia po wkroczeniu do Paryża Niemcy przyszli do Biblioteki, aby zniszczyć ten „kompromitujący” Goethego wiersz, który był już na szczęście przeniesiony w bezpieczne miejsce).

W Instytucie Piłsudskiego w Nowym Jorku znajduje się plan bitwy warszawskiej 1920 roku. Rękopis generała Tadeusza Rozwadowskiego jest podpisany przez Piłsudskiego, Sosnkowskiego, Sikorskiego, Kutrzebę i Weyganda. Konwencja wojskowa z 24 kwietnia 1920 roku między Piłsudskim i Petlurą okazuje się „łabędzim śpiewem polskiego federalizmu”, a nie „aktem polskiej imperialistycznej agresji”.

W Papieskim Instytucie Studiów Kościelnych w Rzymie są katalogowane i mikrofilmowane archiwalia watykańskie i włoskie dotyczące Polski. Ksiądz Hieronim Fokciński dostaje liczne prośby o odnalezienie określonej dokumentacji w archiwach Stolicy Apostolskiej. Obecnie, na przykład, XIX-wiecznej dokumentacji o dziejach arcybiskupstwa lwowskiego albo elementów pro-

cesu kanonizacyjnego królowej Jadwigi. Instytut zapoczątkował także prace nad wydaniem korespondencji nuncjuszków apostolskich w Polsce.

Na sesjach roboczych konferencji kierownicy każdej instytucji przedstawili swoje osiągnięcia i problemy. Zacytujmy kilka konkretnych informacji: Ośrodek Dokumentacji Pontyfikatu i Instytut Papieski położyły akcent na pomoc udzielaną przez nich badaczom z kraju i zza granicy. Ośrodek Dokumentacji posiada studio nagrań kaset video, które udostępnia w pewnych warunkach dziennikarzom, zainteresowanym problematyką pontyfikatu. Instytut Papieski został włączony w grupę 38 rzymskich instytucji naukowych, prezentujących swoje zbiory czasopism w znanym katalogu, który podaje pod każdym tytułem, która z 38 bibliotek posiada dane czasopismo i z jakich lat. Jest to nieoceniona pomoc dla naukowców.

Muzeum księży Marianów w Fawley Court wzbogaciło się o zbiory i dokumenty dotyczące generała Józefa Hallera i o kolekcję starej broni.

Biblioteka Polska w Paryżu przewidziała m.in. na grudzień 1986 roku obchody 40-lecia *Kultury* i, jak co roku, serię wykładów w paryskim Instytucie Katolickim.

Instytut Polski im. gen. Sikorskiego w Londynie wydaje przewodnik po archiwum dla uniwersytetów i naukowców (5 do 7 tomów w projekcie).

Instytut Józefa Piłsudskiego w Londynie wydał korespondencję Marszałka. Instytut wypożycza dokumentację i fotografie telewizyjnej brytyjskiej, która przygotowuje program o Piłsudskim.

Stadium Polski Podziemnej w Londynie szykuje katalog archiwum oraz — na koniec 1987 roku — 6-ty tom „Armii Krajowej w świetle dokumentów” — dokumentów angielskich i amerykańskich, dopiero od niedawna dostępnych.

Biblioteka Polska w Londynie przekazała do Instytutu im. Sikorskiego dokumenty z okresu formowania w ZSSR Armii Andersa. Dyrektor, Michał Jagodziński, stwierdza, że autorzy zagranicę poszukują ostatnio materiałów do powieści o Polsce i Polakach, nawet do „dreszczowców”.

Muzeum Kościuszki w Solurze zorganizowało wystawę o pułkowniku Umiastowskim. Janusz Morkowski, kustosz i dyrektor Muzeum Polskiego w Rapperswilu, zapowiada referat Władysława Bartoszewskiego o tradycjach wolnościowych w duchu Kościuszki. Udała się bardzo dyskusja na temat etyki dziennikarza podziemia. Muzeum organizuje sesję poświęconą Erazmowi z Rotterdamu..

Polski Instytut Naukowy w Kanadzie i Biblioteka Polska są oryginalnym przykładem organizacyjnym: połączone są bowiem ze słynnym anglosaskim uniwersytetem McGill, gdzie mają swoją siedzibę.

Jak zwykle na stałej konferencji toczyła się dyskusja na temat dwóch zasadniczych kwestii: 1. w jakich warunkach archiwa, zbiory, dzieła sztuki i zabytki polskiej emigracji mogłyby powrócić do Polski; 2. Jak daleko może iść współpraca z krajem.

W dyskusji dotyczącej pierwszego zagadnienia Jerzy Mond przytoczył epizod z Powstania Warszawskiego, związany z archiwum rapperswillskim: „W 1868 roku odsłonięto w Rapperswilu kolumnę barską, a w dwa lata później otwarto na średniowiecznym zamku Muzeum Narodowe Polskie. Ideą przewodnią fundatora kolumny i muzeum, Władysława Platera, było ukazanie światu bogatego dorobku cywilizacyjnego Polski oraz jej nie ulegających przedawnieniu praw do niepodległości. Zbiory tego platerowskiego muzeum (gdzie przez pewien czas bibliotekarzem był Żeromski) wróciły w 1927 roku do wolnej Polski. Gdy w czasie Powstania Warszawskiego leżałem ranny na Starym Mieście, położono mnie na niedopalonych aktach muzeum w Rapperswilu, które prawie całkowicie zostały zniszczone w zawierusze wojennej”.

Z dyskusji i kontrowersji na temat drugiej — wciąż aktualnej — kwestii wyłoniła się wspólna troska stałej konferencji\*. „Polska kultura, o której mówiliśmy na rzymskiej sesji plenarnej, tworzy się zarówno nad Wisłą jak nad Sekwaną, nad Tamizą czy Tybrem. Jest istotnym, nieocenionym elementem siły, znaczenia, a nawet istnienia narodu polskiego. Tak myślała Wielka Emigracja, fundując Bibliotekę Polską w Paryżu, tak myślała nowa emigracja wojenna w Anglii. Tak też myślą chyba teraz elity moralne i intelektualne w kraju, dla których pomoc powinna być jedną z naszych istotnych powinności”.

Aleksandra KWIATKOWSKA-VIATTEAU

\* IX Sesja plenarna Stałej Konferencji Muzeów, Archiwów i Bibliotek Polskich na Zachodzie zwołana została do Solury w dniach 11-13 września 1987 i poświęcona będzie Kościuszce, niezależnie od spraw statutowo-organizacyjnych. Przy okazji ma się ukazać w 10-lecie stałej konferencji około 200-stronicowa broszura.

**POLNISCHE BUCHHANDLUNG  
KSIĘGARNIA POLSKA**

1070 Wien, Burggasse 22  
Tel.: 0222/93 87 222

GODZINY OTWARCIA / ÖFFNUNGSZEITEN:  
CODZIENNIE / TÄGLICH 10.00 - 18.00  
SOBOTA / SAMSTAG 9.00 - 12.00  
SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA / BUCHVERSAND  
KONTO POCZTOWE PSK 7227.556

KRAJ — BLOK WSCHODNI

14-1-87

W Abu Ghraib koło Bagdadu został ostatnio otwarty wielki kompleks rolniczy, przygotowany przez polskich fachowców. Roboty przy budowie kompleksu trwały osiem lat. Polscy fachowcy przystosowali do potrzeb rolnictwa 30 tys. ha ziemi w Mezopotamii, między Eufratem i Tygrysem. Wykonano 201 kilometrów głównych kanałów nawadniających, ułożono 1.800 kilometrów podziemnych drenów, wybudowano 1.250 kilometrów dróg. Polacy postawili także około 800 różnych budowli inżynierskich: mostów, przepraw, jazów. Realizacją kontraktu z Irakiem o wartości blisko 100 mln dolarów zajmowało się około 800 osób.

1-2-87

Nagrodę im. Andrzeja Kijowskiego za rok 1986 otrzymał Adam Zagajewski za książkę „Solidarność i samotność”.

11-2-87

Zmarł w Krakowie w wieku 84 lat Wacław Taranczewski, artysta malarz-pedagog. ■ Nagrody kulturalne „Solidarności” za rok 1986: 1. Archiwum „Solidarności” za pierwszych 10 wydanych tomów; 2. Janusz Eysmond (Warszawa) za twórczość malarską; 3. Jacek Fedorowicz (Warszawa) za twórczość video; 4. Krystyna Gryczelowska (Warszawa) za film dokumentalny „Studnia”; 5. Wiktoria Kraśniewska za wspomnienia „Po wyzwoleniu”, Instytut Literacki, Paryż; 6. Maciej Kozłowski (Kraków) za zbiór esejów „Krajobraz przed bitwą”, „Znak”, Kraków; 7. Anna Mizeracka (Warszawa) za twórczość graficzną; 8. Zygmunt Mycielski (Warszawa) za utwór na chór i orkiestrę „Liturgia sacra”, prawykonywanie — Warszawska Jesień 1986; 9. Igor Newerly (Warszawa) za książkę „Zostało z uczyty bogów”, Instytut Literacki, Paryż oraz „Nowa”, Warszawa; 10. Pismo literackie *Obecność* (Wrocław) za dobry poziom; 12. Tadeusz Pałka (Warszawa) za film dokumentalny „Mieszkanie w bloku”; 13. Jacek Trznadel (Warszawa) za książkę „Hańba domowa”, Instytut Literacki, Paryż oraz „Nowa”, Warszawa; 14. Piotr Wierzbicki (Warszawa) za książkę „Struktura i kłamstwa”, „Głos”, Warszawa; oraz nagroda specjalna — tym wszystkim, dzięki którym ukazała się „Antologia poezji żydowskiej”, PIW, Warszawa 1986. ■ Oświadczenie OKNA: W odpowiedzi na pytania napływające do nas po opublikowaniu tekstu informującego o zasadach stosowanych przez NSZZ „Solidarność” w zakresie pomocy z zagranicy, przekazanego nowojorskiemu *Nowemu Dziennikowi* przez Biuro Koordynacyjne w Brukseli, opatrzonego podpisem Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej NSZZ „Solidarność”, stwierdzamy co następuje: 1. Występujące pod wspólną nazwą OKNO instytucje społeczne podpisały dn. 11. III 1986 r. porozumienie z TTK NSZZ „Solidarność”, dotyczące współpracy i wspólnoty celów, zachowując równocześnie swą niezależność. 2. Tekst z dn. 4. X. 1986 r. opublikowany w *Nowym Dzienniku* odnosi się do struktur związkowych, a więc nie dotyczy współdziałających w ramach OKNA instytucji niezależnych — Społecznego Komitetu Nauki, Społecznej Komisji Zdrowia, Zespołu Oświaty Niezależnej i Komitetu Kultury Niezależnej wraz z działającym pod jej patronatem Zrzeszeniem Video. 3. OKNO jako całość jest reprezentowane za granicą przez prof. Leszka Kołakowskiego (Oxford) oraz dra Jana Piotra Lasotę (Paryż). 4. OKNO wyraża podziękowanie instytucjom i osobom prywatnym za udzielaną dotychczas pomoc i apeluje o dalsze wspieranie niezależnej działalności na rzecz oświaty, kultury, nauki i ochrony

zdrowia w Polsce. (Warszawa, 6. II. 1987 r.) — *Komitet Kultury Niezależnej, Społeczny Komitet Nauki, Społeczna Komisja Zdrowia, Zespół Oświaty Niezależnej.*

**18-2-87**

Nagrodę im. Andrzeja Struga, stworzoną przez p. Nelly Strugową, otrzymał Maciej Kozłowski za książkę „Krajobrazy przed bitwą”.

**19-2-87**

PRL jest pierwszym krajem bloku sowieckiego, którego mieszkańcy będą mieli dostęp do telewizji kablowej przez satelitów. Tymczasem państwowe wytwórnie anten telewizyjnych, z braku surowców, nie mogą zaspokoić zapotrzebowania nawet na anteny tradycyjne. Jednocześnie prywatna firma Svensat, założona przez p. Zdzisława Znaniewicza, bez żadnego kłopotu produkuje anteny i nawet je eksportuje. Władze tolerują działalność p. Znaniewicza, gdyż jego anteny mają przynieść około 2,5 mln dolarów, z czego Skarb Państwa zabiera 80 %.

**20-2-87**

*Tygodnik Powszechny* podaje, że w PRL nadano dotychczas 4,8 mln odznaczeń, nie licząc medali jubileuszowych. Tylko w ub. roku Rada Państwa nadała dwa razy tyle orderów, co w pierwszym 15-leciu Polski Ludowej. ■ W 1980 roku zanotowano w polskich kopalniach 128 wypadków śmiertelnych; w 1981 — 90; w 1982 — 144; w 1983 — 96; w 1984 — 89; w 1985 — 123 i w 1986 — 108.

**24-2-87**

Galopująca inflacja w PRL: wprowadzono do obiegu nowy banknot o wartości 10.000 zł.

**26-2-87**

Według statystyk Polserwisu 470 polskich naukowców pracowało w 30 krajach trzeciego świata, a jedynie w 15 krajach rozwiniętych (i to po jednej-dwie osoby). Najwięcej osób zatrudniała Algieria — około 260. Pozostałe kraje: Nigeria — 60 osób, Libia — 40 osób, Tunezja — 34 osoby, Zair — 14 osób i Irak — 13 osób. Notuje się przy tym duży spadek koniunktury i pewne przewartościowanie. Nie ma np. zapotrzebowania na ekonomistów, humanistów i lingwistów.

**2-3-87**

Zmarł w Warszawie w wieku 66 lat Mieczysław Tazbir, filozof, publicysta, tłumacz.

**6-3-87**

Zarząd warszawskiego KiK-u został poinformowany przez szefa Urzędu do Spraw Wyznań min. Łopatkę, że w br. Klub nie otrzyma żadnej dotacji ze strony „Libelli”, która to dotacja stanowiła dotychczas większą część budżetu Klubu (w ub. roku dotacja ta wynosiła 8,9 mln zł, wobec 1,6 mln ze składek członkowskich). W związku z tym zarząd KiK-u był zmuszony wy mówić pracę wszystkim etatowym pracownikom. Ciekawe, że członkowie Rady Konsultacyjnej, a jednocześnie członkowie KiK-u — profesorowie Andrzej Święcicki, Zbigniew Wierzbicki i Eugeniusz Tabaczyński oraz mec. Władysław Siła-Nowicki — nie interweniowali w tej sprawie. ■ PRL zakupiła ostatnio w Stanach Zjednoczonych 700 tys. ton zboża po cenach ulgowych. Zapłacono za pszenicę po \$ 83,00 za tonę, w porównaniu z amerykańską ceną rynkową — \$ 98,00. Minister Czyrek, który był z wizytą w Stanach Zjednoczonych oświadczył, że Polska gotowa byłaby zakupić

2,5 mln ton zboża pod warunkiem, że otrzyma na to rządowe gwarancje kredytowe za pośrednictwem Commodity Credit Corporation, czy instytucji finansowej amerykańskiego Ministerstwa Rolnictwa. Instytucja ta wstrzymała kredyty dla PRL w ramach sankcji po wprowadzeniu w Polsce stanu wojennego.

**5-3-87**

Radio Warszawa donosi, że utworzono grupę generałów na rzecz pokoju i rozbrojenia. Na jej czele stanął gen. Marian Ryba. Czy nie byłoby prościej, by generałowie zapisali się do organizacji „Wolność i Pokój”? Może ułatwiłoby to legalizację tego ruchu? ■ W najbliższym czasie zostanie otwarty we Lwowie konsulat PRL.

**10-3-87**

Zmarł w Warszawie w wieku 91 lat Eugeniusz Ejbisch, znakomity malarz kolorysta.

## ZACHÓD — EMIGRACJA

**12-2-87**

Waldemar Głogowski obronił pracę doktorską na Wolnym Uniwersytecie w Berlinie na temat „Die Entwicklung des politischen Systems der Volksrepublik Polen (1981-1983): Die Legalisierung des Ausnahmezustandes” (Rozwój systemu politycznego Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej w latach 1981-1983: legalizacja stanu wyjątkowego). ■ Norwegia zaprzestała udzielania azylu politycznego uchodźcom z Polski. Podstawą tej decyzji jest ostatni raport Amnesty International, w którym podkreślono, że w PRL nikt nie jest więziony za przekonania. ■ Dyrektorem Biura Rady Koordynacyjnej Polonii Wolnego Świata został p. Stanisław Brodzki, obecny wiceprezes Zarządu Głównego Kongresu Polonii Kanadyjskiej.

**14-2-87**

Zmarł w Nowym Jorku w wieku 79 lat gen. Piotr Grigorenko, wybitny obrońca praw człowieka w ZSSR. Po ciężkich przejściach i więzieniach na skutek nacisku prezydenta Nixona wyjechał do Stanów Zjednoczonych w celach leczniczych. W 1977 roku został pozbawiony obywatelstwa sowieckiego. ■ Nagrodę pisarską S.P.K. za 1985 rok otrzymali: ks. dr Stanisław Bełch za całokształt działalności pisarskiej, a przede wszystkim za przekład *Sumny teologicznej* Tomasza z Akwinu, oraz Marek Łatyński za książkę pt. „Nie paść na kolana”.

**21-2-87**

Zmarła w Londynie Helena Heinsdorf-Danishevskaja, utalentowana publicystka, zajmująca się głównie problemami międzynarodowymi.

**24-2-87**

Prof. Manfred Lachs, specjalista w dziedzinie prawa międzynarodowego, otrzymał nagrodę wydawnictwa Encyklopaedia Britannica. ■ Rubryka literacka w lutowym numerze miesięcznika holenderskiego *Oost Europa Verkenningen* poświęcona jest twórczości Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. Opracował ją Jan Dierick, uczeń prof. Wojciecha Skalmowskiego. Dierick przygotowuje pracę doktorską o pisarstwie Herlinga-Grudzińskiego na uniwersytecie w Louvain. Rubryka w miesięczniku holenderskim zawiera wstęp Diericka, przekład fragmentu *Innego świata* oraz przekład opowiadania o śmierci Szałamowa *Piętno*.

26-2-87

Zmarł w Paryżu po ciężkiej chorobie Xawery Rey, prezes Stowarzyszenia Polskich Kombantów S.P.K. — Francja.

2-3-87

Zdzisław Najder ustąpił ze stanowiska dyrektora polskiej sekcji Radia Wolna Europa w Monachium. Jego miejsce objął Marek Łatyński, b. pracownik tej sekcji i jej polityczny komentator. Ostatnio Marek Łatyński pracował w Głosie Ameryki.

12-3-87

Zmarła w Londynie Maria Leśniakowa, komendantka w stopniu pułkownika Pomocniczej Służby Kobiet w czasie drugiej wojny światowej, wybitna działaczka społeczna.

## KRONIKA AUSTRALIJSKA I NOWOZELANDZKA

Powiązania anglo-australijskie skureczyły się w ubiegłym roku jeszcze bardziej i rola Australii w brytyjskiej Wspólnocie Narodów stała się symboliczna. Na życzenie Australii brytyjska Izba Lordów przeprowadziła ustawę anulującą ostatnie prawne powiązania z Wielką Brytanią, to jest zniósła tzw. apelację do Privy Council. To ostatnie uprawnienie Wielkiej Brytanii było reliktem jeszcze z czasów Federacji, utworzonej w 1901 roku z sześciu oddzielnych angielskich kolonii. W polityce zagranicznej Australii Wielka Brytania odgrywa obecnie coraz mniejszą rolę. Inne od Australii cele polityki Wielkiej Brytanii uwidaczniają się coraz bardziej. ■ Federalny minister imigracji i spraw etnicznych, Chris Hurford, podał do wiadomości, że na bieżący australijski rok finansowy 1986/1987 została ustalona kwota imigracyjna w wysokości 95 tys. osób; wyraził on nadzieję, że w dwóch dalszych latach kwota ta zostanie podwyższona do 110 tys., a w następnym do 125 tys. imigrantów. Rocznie około miliona osób czyni starania o zezwolenie na imigrację do Australii. Duży napływ imigrantów, rozpoczęty bezpośrednio po drugiej wojnie światowej z inicjatywy rządzącej wówczas Partii Pracy, przekroczył już 4 miliony osób. W olbrzymiej mierze dzięki imigrantom nastąpił wielki rozwój ekonomiczny, który przeobraził gospodarkę australijską z głównie rolniczej na obecnie zdecydowanie przemysłową. Ponad 20% mieszkańców Australii jest obecnie pochodzenia nieanglosaskiego. Największymi grupami etnicznymi są włoska i grecka. Polska grupa należy do średnich i stanowi około 1% ogółu mieszkańców. ■ Na początku bieżącego roku odbyły się dwa ważne dla australijskiej Polonii zjazdy. XIX Zjazd Delegatów Kół Stowarzyszenia Polskich Kombantów w Australii (reprezentujący około 1.200 członków w 13 kołach) wybrał nowy krajowy zarząd z prezesem Jerzym Misiakiem. W skład nowego zarządu po raz pierwszy weszli przedstawiciele środowisk „Solidarności”. Zjazd ten podjął uchwałę o utworzeniu fundacji SPK, której celem jest „zapewnienie efektywnej ciągłości ideologicznej SPK, opartej na tradycjach Polskich Sił Zbrojnych oraz utrzymywanie czynnej postawy w służbie dla sprawy niepodległości Rzeczypospolitej Polskiej”. Początkowy majątek fundacji określony został na 100 tys. dolarów. W przyszłości fundacja przejmować będzie wypracowany przez koła SPK majątek w okresie ich likwidacji. Wartość samych nieruchomości kół SPK w Australii wyceniona jest obecnie na ponad milion dolarów. Środki finansowe fundacji będą wzrastały również przez dotacje, zapisy spadkowe i inne doraźne wpływy. ■ Według aktualnych obliczeń, uzyska-

nych m.in. od polonijnych firm wysyłkowych, wartość pomocy od społeczności polskiej w Australii dla rodzin i innych osób w kraju wynosi około dziesięciu milionów dolarów w skali rocznej (przeciętnie około 70 dolarów na osobę z polskiej grupy etnicznej). Kwota ta obejmuje paczki PKO i inne oraz bony dolarowe. ■ *Encyklopedia of Australian People* jest jedną z większych inicjatyw wydawniczych w historii Australii. Jej wydanie, planowane na 1988 rok, stanowi część obchodów 200-iej rocznicy zasiedlenia kontynentu przez europejskich emigrantów. *Encyklopedia* ta zawierać będzie zarówno hasła dotyczące ponad stu narodowości tworzących społeczeństwo australijskie, jak i ogólne omówienia takich zagadnień, jak typy emigracji, polityka etniczna i wielokulturowa. Polska grupa etniczna jest tematem pięciu haseł. Znany historyk polonijny, Lech Paszkowski, jest autorem artykułu nt. historii polskich osiedleńców do drugiej wojny światowej. Dr Ruth Johnston z Perth opisuje powojenną polską emigrację, głównie „dipisowską”. Dr Adam Jamrozik z Sydney jest autorem tekstu nt. najnowszej polskiej emigracji tzw. solidarnościowej. Dr Jan Pakulski z Tasmanii pisze nt. zorganizowanego życia polonijnego, a prof. Jerzy Smolicz z Adelaide analizuje polską kulturę i język. Polaków można znaleźć także wśród autorów innych haseł i redaktorów tej encyklopedii. Na czoło wybija się osoba prof. Jerzego Zubrzyckiego, autora jednego z głównych artykułów nt. wielokulturowości i współredaktora całej pracy. *Encyklopedia Narodowości* wypełnia poważną lukę w literaturze naukowej nt. emigracji i stosunków etnicznych w Australii. Współpracuje przy niej 245 autorów. ■ W Melbourne powstał Klub Krótkofalowców „Polonia”, liczący obecnie około 20 członków. Pierwszą zagraniczną łączność nawiązał Tadeusz Dobrostański ze stałe mieszkającym w Japonii Tomaszem Berezowskim. Klub ten jest bodaj jedynym klubem polskich krótkofalowców na obczyźnie. ■ Staraniem Koła Akademików Polskich w Nowej Południowej Walii odbył się w Sydney wieczór pozycji czeskiej, przy dużej frekwencji Czechów i Polaków. ■ Polski Zespół Pieśni i Tańca „Polonez” (Melbourne) obchodził jubileusz dwudziestolecia swojej działalności. Koncert XX-lecia zespołu zgromadził około tysiąca osób. „Polonez” liczy 200 osób i uważany jest za jeden z największych i najlepszych polonijnych zespołów folklorystycznych. ■ Na dorocznym walnym zebraniu Stowarzyszenia Polaków w Nowej Zelandii prezesem wybrany został Józef Mendruń. Polonia nowozelandzka liczy około 3 tys. osób. ■ Z okazji 110-iej rocznicy przybycia do Nowej Zelandii pierwszych polskich imigrantów, którzy osiedlili się w prowincji Taraki, w okolicy miasta Inglewood, odbył się w tym miesiącu obchód tej rocznicy (uroczysta msza św., przyjęcie w ratuszu i koncert Zespołu Pieśni i Tańca „Lublin”, reprezentacyjnego zespołu folklorystycznego Polonii nowozelandzkiej).

Jerzy GROT-KWAŚNIEWSKI

## KRONIKA DUŃSKA

Dwa wielkie dzienniki, duński *Politiken* i szwedzki *Dagens Nyheter*, przyznały Nagrodę Wolności 1987 członkom ruchu Karta 77. Wręczenia nagrody, które odbyło się 18 stycznia br. w Kopenhadze, dokonał rektor Uniwersytetu Kopenhaskiego, profesor Ove Nathan. W imieniu członków Karty 77 za przyznane wyróżnienie podziękował drogą telefoniczną Vaclav Havel. Przy tej okazji przyznano także Nagrodę Jana Palacha, której laureatem w tym roku został historyk i filozof słowacki, Milan Simecka. W spotkaniu zorganizowanym przez redakcję obu pism w związku z przyznaniem tych nagród udział wzięli wybitni przedstawiciele ruchu Karta 77 przebywający obecnie na emigracji: Frantisek Janouch, Antonin Liehm, Jiří Pelikan oraz Zdena Tominowa. Warto przypomnieć, że laureatem Nagrody Wolności dzienników

*Politiken* i *Dagens Nyheter* w roku 1983 był Lech Wałęsa. ■ Nakładem duńskiej oficyny wydawniczej Brøndum ukazał się ostatnio tom poezji Zbigniewa Herberta *Raport fra den belejrede by* (Raport z obleżonego miasta). Autorami przekładów na język duński są Janina Katz i Uffe Harder. Pozycja ta doczekała się licznych omówień w ważniejszych dziennikach duńskich. Recenzent pisma *Politiken* podkreśla wysoki poziom przekładów, a także interesujące opracowanie graficzne tomu. To ostatnie jest dziełem Małgorzaty Buras. *Raport z obleżonego miasta* jest trzecim z kolei zbiorem poezji Herberta udostępnionym czytelnikowi duńskiemu. W latach ubiegłych ukazały się *Hr. Cogito* (Pan Cogito) w tłumaczeniu Janiny Katz (Brøndum, 1980) oraz *Fr. Cogitos hjemkomst* (Powrót Pana Cogito) w tłumaczeniu Janiny Katz i Willy'ego Dähnharda (Brøndum, 1983). ■ W lutym br. w salach wystawowych galerii Nikolaj w Kopenhadze miała miejsce wystawa grafiki i rysunku Jacka Frączaka, artysty młodego pokolenia zamieszkałego w Warszawie. ■ Papież Jan Paweł II przyjął zaproszenie biskupów katolickich w Skandynawii do złożenia wizyty w Danii. Będzie to pierwsza wizyta papieska w krajach skandynawskich; termin jej został zaplanowany na rok 1989. Dania, której religią państwową jest luteranizm, nawiązała stosunki dyplomatyczne z Watykanem w roku 1982. Duńska społeczność katolicka liczy około 30 tys. wiernych.

K. E.

## KRONIKA FRANCUSKA

Regionalna Komisja Wykonawcza NSZZ „Solidarność” Ziemi Łódzkiej podpisała umowę o współpracy z francuskim związkiem zawodowym CFTD regionu Pays de la Loire (departamenty nad Loarą). Francuscy związkowcy przebywali w końcu stycznia w Łodzi, gdzie spotkali się z przedstawicielami „Solidarności” i innych niezależnych grup. ■ Leszek Moczulski, szef Konfederacji Polski Niepodległej, zaproszony przez „Związek na rzecz europejskiej solidarności” (*Union pour la solidarité européenne*, organizacja działająca przy Parlamencie Europejskim, której prezesem jest znany działacz polonijny, Edward Kozik) wziął udział w uroczystej kolacji w gmachu Senatu francuskiego w Paryżu. ■ Podczas tegorocznego Kiermaszu Książki (*Foire du livre*) w paryskim Grand Palais (19-25 marca) reprezentowane były także polskie wydawnictwa niezależne. Wystawę pt. „10 lat niezależnych wydawnictw polskich” zorganizowali członkowie stowarzyszenia „Solidarité France-Pologne” (któremu przewodniczy prof. Piotr Słonimski) dzięki pomocy francuskiego wydawnictwa „Fayard”, które na ten cel udostępniło jedno ze swoich stoisk. Paryska *Foire du livre* jest najważniejszą imprezą księgarską we Francji. ■ W „Centre du Dialogue”, zasłużonym ośrodku kulturalnym polskich księży Pallotynów, prof. Janusz Stanisław Pasierb wygłosił w lutym odczyt pt. „Obecność eucharystii w kulturze polskiej”. W tym samym miejscu odbyło się także spotkanie z prof. Jerzym Kłoczowskim, autorem wydanej niedawno nakładem „Editions du Dialogue” książki pt. „Dzieje chrześcijaństwa polskiego”. W marcu prof. Piotr Kryczka (KUL) wygłosił odczyt na temat polskich kryzysów w latach 1948-1981. ■ 3 kwietnia br. księża Pallotyni zorganizowali wieczór jubileuszowy z okazji 85-tej rocznicy urodzin O. Innocentego M. Bocheńskiego. O. Bocheński wygłosił odczyt na temat „Nauka, wiara, światopogląd”. ■ 27 marca w sali Biblioteki im. Symona Petlury w Paryżu p. Józef Darski wygłosił odczyt na temat „Warunki współpracy polsko-ukraińskiej i jej perspektywy”. ■ W klubie „Kontakt” gościli w ostatnich miesiącach: Jacek Kaczmarski, Leszek Moczulski, Janusz Szpotański, Tadeusz Jarski (działacz „Solidarity with Solidarność” z Londynu) i Lech Raczak, twórca i reżyser Teatru Ósmego Dnia. Z nowości „Video-Kontakt” można było zobaczyć film dokumentalny

na temat Józefa Piłsudskiego, a także dokument o Stalinie. Z filmów nagranych w kraju warto odnotować krótkometrażówki Andrzeja Titkova, pokazane na jednym z klubowych wieczorów. ■ W paryskiej galerii „Espace et Toiles” (patronat merostwa Paryża) wystawiał w marcu swoje prace Tadeusz Brudziński, polski malarz zamieszkały od kilku lat we Francji. ■ Polska artystka Krystyna Radziwiłł-Milewska przedstawiła swoje pastele w galerii d'Orsay. W wernisazu wzięło udział wiele wybitnych osobistości francuskiego świata artystycznego i nie tylko: m.in. przybył nań także były prezydent Francji, Valéry Giscard d'Estaing. ■ Dla uczczenia 60-lecia polskiego kina w salach „Cluny Palace” przy paryskim bulwarze Saint-Germain de Près odbył się tygodniowy przegląd filmów polskich. ■ W Cité Internationale des Arts w Paryżu wystawiał swoje obrazy Andrzej Bakowski.

Wojciech SIKORA

## KRONIKA KANADYJSKA

Minister Zatrudnienia i Imigracji ogłosił z dniem 20 lutego br. gruntowną rewizję dotychczasowych zasad przyznawania statusu uchodźcy. Proponowane zmiany w ustawie imigracyjnej będą wniesione do Izby Gmin i zostaną uchwalone w marcu. Zliberalizowana definicja terminu „uchodźca”, wprowadzona w 1981 przez poprzedni rząd liberalny, umożliwiła m.in. przybycie do Kanady do 1985 roku 21.725 osób bezpośrednio z Polski lub z Austrii, NRF, Włoch i innych państw. Liberalizacja przepisów imigracyjnych spowodowała też znaczny napływ z państw Ameryki Łacińskiej, Libanu, Sri Lanki, Turcji i Portugalii.

Pod koniec ub. roku kanadyjskie urzędy imigracyjne zakwestionowały zasadność podań o status uchodźcy kilkuset Portugalczyków, odrzucając ich twierdzenia, jakoby wygnali ich z kraju przesładowania religijne z tytułu przynależności do sekt. Gwałtowny i liczny napływ Turków, proszących o azyl spowodował zarządzenie, że obywatele turecy muszą uzyskiwać wizy.

W toku pierwszych sześciu tygodni br. wniosło o status uchodźcy 6.120 osób, w tym 2.294 z Salwadoru i 600 z Gwatemali. Na mocy nadzwyczajnego i prowizorycznego zarządzenia ministra Benoit Boucharda zniesiono przywilej, który pozwalał obywatelom 18 państw, w tym Polski, krajów Ameryki Łacińskiej, Afganistanu, Wietnamu, Libanu, Iranu i Sri Lanki na automatyczne ubieganie się o status uchodźcy.

W następstwie nowych amerykańskich przepisów imigracyjnych dzień w dzień napływają z USA setki obywateli państw Ameryki Łacińskiej, uchodźczych przed deportacją. Władze kanadyjskie stawiają ich przed dwuosobową komisją, która albo udziela im prawa wjazdu, albo odsyła ich do granicy USA. Procedura trwa 72 godziny.

Minister Bouchard oświadczył, że restrykcje te nie są jednoznaczne z zamknięciem granic przed prawdziwymi uchodźcami, mają natomiast ograniczyć napływ ludzi nie mających tytułu do wizy imigracyjnej. Zarządzenia te wpłyną jednak — oczywiście — na imigrację Polaków, zarówno z Polski jak z innych krajów europejskich, gdzie przebywają w obozach uchodźczych lub poza nimi. Dla uzyskania wizy kanadyjskiej ci ostatni muszą mieć poręczyteli. Akeja Kongresu oraz organizacji polonijnych nie dała niestety spodziewanych rezultatów.

Do organizacji i pism polonijnych napływają codziennie błagalne prośby o sprowadzenie do Kanady. Z tygodniowej korespondencji, która zawierała ok. 50 listów z RFN, Włoch, Szwecji, Danii i Austrii wynikało, że wiek kandydatów na imigrantów waha się w granicach 22-34 lat. Przeważały

małżeństwa (ok. 80 %), połowa z jednym lub dwojgiem dzieci w wieku od 3 do 12 lat. Wszystkie żony mają kwalifikacje zawodowe. Wszyscy zgłaszali gotowość do podjęcia każdej pracy, niezależnie od wyuczonego zawodu. Zawody następujące: inżynier, technicy kilku specjalności (budowlany, mechaniczny, ślusarz, kilku hydraulików), elektronik, malarz, kierowca, rybak dalekomorski, spawacz, pielęgniarka, ogrodnik, ekonomista. Rozpiętość duża, na poziomie średnim. Wykształcenie akademickie podało 5 osób. Apele o poręczycieli nie dają prawie żadnego efektu.

Podczas gdy osoby przybyły do Kanady nielegalnie — np. ponad 50 Tamilów, których wysadzono ze statku na łódź — zdołały się utrzymać w Kanadzie, mimo iż stwierdzono, że zapłacili każdy po 5.000 dolarów za tę imigrację, imigracja legalna jest trudna.

Ostatnia fala imigrantów przyniosła wielu miłośników różnych gałęzi sztuki. Przybyli artyści plastycy i muzycy. Z pierwszej grupy kilku już zdobyło sobie mocne pozycje na rynku kanadyjskim. Mieli wystawy w znanych galeriach, grafika niektórych trafiła nawet do dzienników.

Pierwszą torontońską organizacją założoną przez nowoprzybyłych — nie posiadającą charakteru zamkniętego — jest Polskie Towarzystwo Muzyczne. Założone w czerwcu 1986 roku, zorganizowało do lutego bież. roku sześć publicznych koncertów, w tym wieczór poezji i muzyki romantycznej w listopadzie ub. roku w rocznicę odzyskania niepodległości oraz wieczór koled i koncert muzyki włoskiego baroku.

Ambitny kwartalnik okręgu Alberta K.P.K. *Dialogi*, ukazujący się od 1984 roku, pożegnał się z czytelnikami w pierwszym numerze bież. roku, który jednocześnie jest numerem ostatnim. Redaktorem czasopisma był dr Edward Możejko, profesor literatury porównawczej University of Alberta, który starał się wciągnąć do współpracy ludzi z różnych kręgów i zdobyć czytelników również poza Albertą. Wysiłki okazały się daremne. Pismo niestety nie trafiło do czytelników.

W ramach William Kurelek Memorial Lectures na University of Toronto 4 lutego br. Peter Poticzny, profesor nauk politycznych University McMaster w Hamilton wygłosił referat pt. „Operacja Wisła”. Prelegent zwięźle przedstawił — z ukraińskiego punktu widzenia — problemy ukraińskie w Polsce do 1939 roku. Napięte stosunki, jeśli nie wręcz wrogość, doprowadziły prawie do wojny ukraińsko-polskiej w latach 1940-1945. Obwinianie jednej ze stron byłoby fałszywe. Nie mamy dotychczas źródłowych dokumentów, które by różne sprawy wyjaśniły. Prelegent, ograniczając się — co podkreślił — do źródeł ukraińskich, przedstawił barbarzyńskie akcje niektórych partyzanckich grup polskich.

O zmianach terytorialnych Polski zdecydowała „wielka trójka” i ona też przesądziła właściwie los Ukraińców na pozostałych przy Polsce terenach. Oficjalne źródła polskie utrzymują, iż przymusowe wysiedlenie ludności ukraińskiej — operacja „Wisła” — która broniła się przed przymusową repatriacją do ZSSR i na Ziemię Odzyskaną, zostało spowodowane zasadzką UPA, w której zginął gen. Świerczewski. W rzeczywistości operacja ta była zaplanowana przedtem, a zamach na Świerczewskiego był tylko dogodnym uzasadnieniem i usprawiedliwieniem. Zdaniem prof. Poticznego Moskwa decydowała i kierowała tą operacją, która była przeprowadzona przy udziale wielkiej ilości sowieckich doradców, dowódców wojskowych itp. Brutalnie wyrzucano ludność z ich domów i gospodarstw, nie brakowało gwałtów.

Zniszczono kościoły, obiekty o wielkiej wartości historycznej itp. Na terenach osiedlenia ludności ukraińskiej na Ziemiach Odzyskanych panował ostry rygor administracyjny, zmierzający do udaremnienia wszelkiej działalności społecznej i kulturalnej. Wysiedleni Ukraińcy — powiedział prelegent — przetrzymali ów najtrudniejszy okres. Nie sposób ustalić liczebność mniejszości ukraińskiej w Polsce, gdyż władze PRL nie prowadzą statystyki narodowościowej, ale szacunkowe dane wahają się od 120.000 do 300.000.

Prof. Poticzny mówił, iż władze kanadyjskie wyrządziły podczas wojny wielką krzywdę mniejszości japońskiej, którą uznały za wroga. Po latach stwierdzono, że oskarżenia te były fałszywe, wobec tego rząd formalnie i oficjalnie wyraził ubolewanie wobec grupy japońskiej i wyrównał moralną krzywdę. Ze strony władz polskich brak podobnego kroku wobec ukraińskiej mniejszości nie było.

W końcowych wywodach prelegent wskazał, że położenie mniejszości polskiej na Ukrainie jest bardzo ciężkie. Zdaniem jego liczba Polaków wynosi około 300.000, czyli mniej więcej tyle co Ukraińców w Polsce. Nie wolno walczyć i dopominać się o prawa dla mniejszości ukraińskiej w Polsce bez takich samych akcji na rzecz mniejszości polskiej w Ukrainie.

Po prelekcji prof. Poticzny odpowiadał na pytania, zresztą bardzo rzeczowe, odnośnie obecnej sytuacji Ukraińców w Polsce. Na sali było mnóstwo akademickiej młodzieży ukraińskiej.

Pani Alina Tomaszewska opuściła Polskę w październiku 1981 roku wraz z mężem i córką i osiedliła się w Toronto, uzyskując normalny status uchodźcy. W marcu 1985 roku cała rodzina otrzymała obywatelstwo kanadyjskie. W kwietniu 1986 p. Tomaszewska postanowiła odwiedzić swą 79-letnią chorą matkę, a będąc w posiadaniu polskiego paszportu, nie ubiegała się o wizę, by za nią niepotrzebnie nie płacić. Na lotnisku w Warszawie odebrano jej paszport. Jak dotychczas, żadne zabiegi, w tym i kanadyjskie, o umożliwienie jej powrotu nie odniosły skutku. Władze polskie twierdzą, że p. Tomaszewska jest polską obywatelką, która nielegalnie przedłużyła sobie pobyt za granicą i teraz wróciła. Oto błogosławieństwa podwójnego obywatelstwa i postugiwanie się dla wygody paszportem PRL.

B. H.

## W A W E L PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.  
Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

## NOWOŚCI WYDAWNICZE

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 418 — ANDRZEJ SZCZYPIORSKI

# POCZĄTEK

Nowa książka autora znakomitej „Mszy za miasto Arras” jest opowieścią w pewnym sensie historyczną. Za „początek” polskiej teraźniejszości Szczypiorski uważa Warszawę pod okupacją hitlerowską w rozlicznych aspektach. Opis losów bohaterów powieści jest historią niektórych korzeni polskiego „dzisiaj”: hitlerowski „początek” rzuca cień na komunistyczny „ciąg dalszy”.

Str. 160.

Cena F. 65,00.

TOM 419 — MAREK NOWAKOWSKI

# «GRISZA, JA TEBIE SKAŻU...»

Piąta książka Marka Nowakowskiego w „Bibliotece Kultury” zawiera opowiadania: AMAZONKA, WIZERUNEK, „GRISZA, JA TEBIE SKAŻU...”, ZAKON KAWALERÓW MAZOWIECKICH, ROZMOWA i GLOBUS.

Str. 176.

Cena F. 70,00.

KSIĘGARNIA POLSKA W PARYŻU  
LIBRAIRIE POLONAISE A PARIS  
123, Bld Saint-Germain, 75006 Paris  
Tel.: 43 26 04 42

POLAK ZWIEDZA PARYŻ  
Przewodnik

opracował  
JAN WINCZAKIEWICZ

Wydanie czwarte uzupełnione.  
Szychy, fotografie, plany dzielnic.

Str. 192.

Cena F. 50,00.

Katalogi wysyłamy bezpłatnie na żądanie.

## Listy do Redakcji

Darmstadt, 17 lutego 1987.

Szanowny Panie Redaktorze!

W styczniowo-lutowym numerze *Kultury* przeczytałem zdumiewająco niesprawiedliwą i ogólnie niemądrą ocenę Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego w artykule Józefa Szretta: „ponoć nie cieszy się dostateczną estymą naukową i pozostaje w ogniu uniwersytetów państwowych”.

1) Dyskredytujące podsumowanie działalności wspólnoty liczącej ponad 3 tys. studentów i naukowców jedną insynuacją („ponoć...”) świadczy o prymitywnym, skłonnym do uproszczeń sposobie myślenia autora. Elementarne doświadczenie życiowe powinno nauczyć go, że w każdej dużej grupie są wybitni uczeni i miernoty intelektualne, ludzie dzielni i ofiarni oraz konformiści.

2) Surowo oceniający autor ma słabe pojęcie o naukowym życiu w Polsce, skoro chce zdeprecjonować KUL porównuje go z państwowymi uniwersytetami, gdy w zasadzie są to byty nieporównywalne — KUL jest uczelnią głównie teologiczno-filozoficzną i odpowiedników wśród państwowych uniwersytetów nie ma.

Absurdem jest twierdzenie, że bibliści, kanoniści, teologowie fundamentalni lub moralni są „w ogniu” uczonych tych dyscyplin. Nawet gdyby na katedrach byli półdiodzi, to i tak byłiby najlepsi — bo jedyjni. Jeżeli porównywać, to wybiórczo poszczególne dyscypliny humanistyki porównywalne z innymi krajowymi ośrodkami, albo z ośrodkami zagranicznymi.

3) Co do dyscyplin porównywalnych, które są na lubelskiej uczelni nie najważniejsze i o wiele mniej licznie obsadzone niż na uniwersytetach finansowanych przez państwo: czy gorsza od innych jest historia uprawiana w latach osiemdziesiątych przez Bartoszewskiego, Jabkońską-Deptułową, Kłoczowskiego albo historia sztuki reprezentowana przez Chrzanowskiego, Ryszkiewicza, Woźniakowskiego, czy też polonistyka uprawiana przez Jasińską-Wojtkowską, Sawickiego, Irenę Sławińską, Zgorzelskiego?

4) Także porównania międzynarodowe nie przynoszą ujmy KUL-owi. Wspomnę o jednej i największej sprawie. KUL wydaje Encyklopedię Katolicką, obliczoną na ponad dwadzieścia tomów (można to obliczyć po już wydanych czterech ogromnych tomach). Otóż nie tylko żaden z ponoc górujących państwowych uniwersytetów, ani wszystkie razem wzięte nie realizują takich rozmiarów encyklopedii obejmującej całokształt zjawisk kultury, ale cała nauka finansowana przez PRL nie wydaje od blisko 20 lat podobnego dzieła (trzynasty tom Wielkiej Encyklopedii Powszechnej PWN wydrukowano w 1970 roku). Nie wiem, czy jest na świecie drugi uniwersytet wydający encyklopedię tych rozmiarów. Jeżeli jest jakiś amerykański lub japoński, to też nie można w pełni porównać z dziełem KUL-owskim, bowiem KUL jest: a) małą uczelnią — na Zachodzie istnieją uniwersytety liczące ponad dwadzieścia tysięcy studentów, b) dzieła w kraju ubogim i technicznie zacofanym, c) w strukturze państwa wrogiego mu przynajmniej ideologicznie.



Tak więc z tym „ogonem” chyba Szrettowi nie wyszło, a w ogóle lepiej pochopnie nie oceniać, jeżeli wie się coś z zasłyszanych czy szepczanych rozmów — ludzie różności wygadują, po co zaraz o tym pisać w *Kulturze*?

Łączę wyrazy szacunku

Krzysztof DYBCIAK

27 lutego 1987.

Szanowny Panie Redaktorze,

W Paryżu w roku 1986 została wydana przez „Spotkania” (dyr. Piotr Jegliński) „Historia Polski”. Autorami są historycy krajowi Michał Tymowski, Jan Kieniewicz i Jerzy Holzer, a więc pokusa wielka do jej przeczytania. Nie chcę pisać recenzji ani oceniać całości książki. Natomiast chcę zwrócić uwagę na jeden jej aspekt.

Uderzył mnie brak nazwiska Tomasza Arciszewskiego w indeksie nazwisk. Oznaczało to dla mnie pominięcie w tej historii wydarzenia niezwykle ważnego w życiu narodu polskiego w końcowym okresie drugiej wojny światowej.

I istotnie. Rozdział XVIII książki pt. „W obliczu zagłady fizycznej” poświęcony jest okresowi od wejścia wojsk niemieckich do Polski w dniu 1 września 1939, a kończy się kapitulacją Niemiec w maju 1945 i przewidzianym w porozumieniach jałtańskich spotkaniem w Moskwie w dniach 18-21 czerwca tegoż roku „przedstawicieli komunistycznego Rządu Tymczasowego oraz polityków emigracyjnych i krajowych z Mikołajczykiem na czele” (str. 309). Autorzy podają: „28 czerwca powstał koalicyjny Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej, nadal z Osóbką-Morawskim jako premierem, ale z Mikołajczykiem (obok sekretarza generalnego PPR Władysława Gomułki) jako wicepremierem” (str. 309). Po czym mowa o konferencji w Poczdamie od 17 lipca do 2 sierpnia 1945 i przesunięciu granic Polski na Odrę i Nysę Łużycką.

Czytelnik na próżno szuka w tym rozdziale protestu z 13 lutego 1945 roku prawowitego rządu polskiego Tomasza Arciszewskiego w Londynie przeciw postanowieniom konferencji jałtańskiej. Mówił on m.in.: „Rząd polski oświadcza, że decyzje Konferencji Trzech dotyczące Polski nie mogą być uznane przez rząd polski i nie mogą obowiązywać narodu polskiego”. Nie ma też ani słowa o akcji protestacyjnej rządu Arciszewskiego przeciw pogwałceniu praw narodu polskiego przez mocarstwa zachodnie, gdy uznały one „tymczasowy rząd jedności narodowej”, ani też o cofnięciu uznania rządowi prawowitemu w Londynie.

Przemilczenie w „Historii Polski” wydarzeń tej wagi jest metodą z punktu widzenia naukowego niedopuszczalną, a politycznie — szkodliwą. Tym bardziej niepodległościowe wydawnictwa na emigracji takich metod „poprawiania” historii ani tolerować, ani stosować nie mogą i nie powinny.

Łączę wyrazy poważania

Dr Lidia CIOŁKOSZOWA

Szanowny Panie Redaktorze,

W opublikowanej na łamach *Więzi* nieznannej dotąd wersji wypowiedzi Piłsudskiego do posłów i senatorów BBWR z 13 marca 1928 roku (por. A. Chojnowski, „Józef Piłsudski o systemie parlamentarnym i sejmie II

kadeneji”, *Więź*, rok XXIV, maj-czerwiec 1986, nr 5-6), cenzura usunęła jedną linijkę tekstu. Pragnę tą drogą podać do wiadomości zainteresowanych Czytelników pełne brzmienie inkryminowanego akapitu:

„Są próby życia bez parlamentu, jak jest we Włoszech i w Rosji, gdzie rządzi jedna partia. Ten system rządzenia utrzymuje się w Rosji tylko przy pomocy terroru”.

Dr hab. Andrzej CHOJNOWSKI

## ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

S.J.M., Szwajcaria; R.S., Kanada; J.Z., RFN; M.G., Południowa Afryka; A.L., USA; J.C., USA; E.A., Kraków; S.M., Izrael; J.B., USA; A.B., RFN; K.O. w Kraju; K.P., USA; K.G., RFN; E.H., Norwegia. — Z wierszy nie skorzystamy.

M.B., RFN. — Skoro Pan prosi o opinię: w większości fraszki Pana ojca wydają nam się niezbyt udane. Ale niezależnie od tego w *Kulturze* fraszek nie drukujemy.

W.M., Francja. — Jeżeli chce Pan usłyszeć ocenę swoich wierszy, musi Pan je po prostu przysłać.

M.K.-W., Francja. — Fragment pamiętnika algierskiego, drobiazgowy, czysto sprawozdawczy, nie wydał nam się ciekawy. Nie nadaje się też, naszym zdaniem, do druku krótkie opowiadanie o Nawiedzonym.

E.H., Norwegia. — Opowiadanko o rasistach zanadto jest kruche, ledwie naszkicowane.

A.D.A., Anglia. — Dość gładko jest napisany Pana *Rok 45-ty*, ale trudno go uważać za „przyczynkę do historii naszego kraju połowy lat czterdziestych”. Istnieją dziesiątki relacji i świadectw na ten sam temat.

J.S., Francja. — Recenzja przysłana Panu z Kraju wydaje nam się banalna i powierzchowna.

W.K.-K., Kanada. — Ma Pan sporo racji, znamy dobrze podane przez Pana przykłady, ale z drugiej strony należy się wystrzegać przesady. Za „rosyjsko-sowiecką megalomanią” coś jednak konkretnego stoi...

A.K., Izrael. — Przekład fragmentu Pana książki *Na wileńskich ulicach* jest słaby. Czuje się w tym fragmencie powinowactwo z opowiadaniem odeskimi Babla, ale bardzo niewyraźne.

A.K.H., Szwecja. — Wydaje nam się, że opowiadanie *Skawok* zabijają dłużyzny. Co w zamierzeniu autora miało prawdopodobnie być przypo- wieścią w duchu Kafki, staje się żmudnym i nudnym „opisywactwem”.

Stefan Zachartowicz, Holland, USA. — Pana dwóch przesłanych artykułów nie zamieścimy.

Rena, Kanada. — Nie zamieścimy. Jakże często polski antysemityzm ociera się o żydowski antypolonizm.

Marek Gruby, Kolonia, RFN. — Nie zamieścimy Pana artykułu „Europejski nihilizm i polski antysemityzm”.

K.B., T.J., A.M., Warszawa. — Niestety ze względów technicznych nie widzimy możliwości zrobienia przedruku „Gry w uniwersytet”. Dziękujemy za antologię publicystyki.

W. Iwaniuk — \$ 15,00; K. Gawron, A. Grzegorzczak, R. Kuć, M.P., P.C. — po \$ 10,00 — wszyscy z Kanady; K. Hariasz, T. i S. Pazur, „Łoś” — po \$ 10,00; J. Bochra, D. Kowalski, J. Psujek, W. i A. B. — po \$ 20,00 — wszyscy z USA — na pomoc dla struktur NSZZ „Solidarność” Regionu Środkowo-Wschodniego w Lublinie (nadesłał B. Kowalski) — razem: \$ 175,00 ..... F.1.067,33

### WPLATY NA POMOC DLA WALCZĄCYCH W KRAJU „ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ”

E.M., Paryż — na rzecz prześladowanych w PRL ..... F. 200,00

Koło Nr 13 S.P.K. i Stowarzyszenie Przyjaciół „Solidarności” w Winnipegu (Kanada) sumę zebraną w czasie wyświetlania filmów — na kulturę niezależną w Polsce (nadesłała Anna Howiecka) \$ c.130,00 ..... F. 546,00

W Redakcji Listów do Polaków złożył na ruch oporu w Polsce M. Orłowski z Brooklynu — \$ 10,00 ..... F. 60,50

Dr Zygmunt Stankiewicz, Szwecja — Krs. 200,00 ..... F. 190,00

W 6-tą rocznicę śmierci mgr. inż. Władysława Lewandowskiego-Hausmana — na pomoc dla najbardziej potrzebujących w Polsce — żona Leokadia z Malmö (Szwecja) — Krs. 200,00 ..... F. 190,00

Zamiast kwiatów na grób zmarłej i wszystkim nam drogiej Marii Kwaśniewskiej, z Lund dla rodzin potrzebujących pomocy w Polsce. Leokadia Lewandowska z Malmö (Szwecja) — Krs. 200,00 ..... F. 190,00

A. Kolator, Londyn na:  
— Fundusz „Kultury” — £ 10,00 ..... F. 97,00

— Na pomoc Krajowi — £ 10,00 ..... F. 97,00

Dr Wojciech Szczygielski, Weston, Ont. (Kanada) — na Fundusz Drukarski im. Wł. Głowackiego — \$ c. 30,00 ..... F. 124,50

Zebrane na spotkaniu z Danielem Olbrychskim w Chicago 3 listopada 1986 r. na niezależne pismo Kurs (nadesłali Ewa Sułkowska-Bierezin i Tomek Zabłocki) — \$ 142,00 ..... F. 920,00

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI  
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE  
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt légal: 2<sup>e</sup> trimestre 1987.

Imprimé en France.  
N° d'imprimeur 8266.

## PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
<b>Ceny na rok 1986</b>			
<b>AFRYKA POLUDNIOWA</b> : Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181 .....	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
<b>ARGENTYNA</b> : « Libreria Polaca », Serrano 2076, 1425 Buenos Aires .....	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
<b>AUSTRALIA</b> : Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32 York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248 .....	\$ A. 10,00	\$ A. 60,00	\$ A. 110,00
<b>AUSTRIA</b> : Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: 0222/93 87 222.	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
<b>BELGIA</b> : prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji « Kultury » .....	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
<b>BRAZYLIA</b> : prosimy o przysyłanie czeków do administracji « Kultury » .....	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
<b>DANIA</b> : O. T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
<b>FRANCJA</b> : do nabycia w redakcji « Kultury » i w księgarniach polskich w Paryżu .....	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
<b>HOLANDIA</b> : Mrs. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, 4382 B L Vlissingen. Tel.: (01 184) 14073. Postgiro 1379176.	Fl h 20,00	Fl h 95,00	Fl h 175,00
<b>IZRAEL</b> : Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel.: 621311 .....	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
<b>KANADA</b> : Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.O. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2. Tel.: 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; J. Korwin-Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue, Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 390 Roncesvalles Ave., Toronto, Ont. M6R 2M9; Polish Alliance Press, Ltd. (« Zwiaskowiec »), 1638 Bloor St. West. Toronto, Ont. M6P 4A8 .....	\$ can. 8,50 DM 14,00 F. 41,00	\$ can. 47,00 DM 80,00 F. 230,00	\$ can. 92,00 DM 150,00 F. 440,00
<b>NIEMCY</b> : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1.	F.S. 13,00	F.S. 70,00	F.S. 130,00
<b>NORWEGIA</b> : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, 1500 Moss.	K.S. 41,00	K.S. 230,00	K.S. 440,00
<b>SZWAJCARIA</b> : Maria Wasung, 6, rue de Lilas, C.P. 74. 1211 Genève 7. Tel.: 44-32-51. Nr konta pocztow. 12.14431.			
<b>SZWECJA</b> : Norbert Zaba, Kalskärgatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel.: (08) 60-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34 6.			
<b>U.S.A.</b> : S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 119 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel.: 475 8886; Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio, 44145. Tel.: 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254 - 34th St., San Diego, Cal. 92104; Halina Kosciuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; Jan Wojcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia « Nowego Dziennika », 21, West 38th Street. New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492 .....	\$ US 7,00	\$ US 35,00	\$ US 68,00
<b>WIELKA BRYTANIA</b> : Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210 .....	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
<b>WŁOCHY</b> : Witold Zahorski, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241 .....	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F.440; półroczna — F.230.  
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:

INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,  
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 (z Francji)

lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

## Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 425 — DANIEL BEAUVOIS

### **POLACY NA UKRAINIE 1831-1863**

**SZLACHTA POLSKA NA WOŁYNIU, PODOLU  
I KIJOWSZCZYŹNIE**

Z francuskiego przełożyli Ewa i Krzysztof Rutkowsy

„Za panowania króla Stanisława mieszkał ubogi szlachcic na Podolu”. Ilu ogółem mieszkało tam wtedy szlachciców ubogich i bogatych? Zapewne mniej więcej tyluż co w dobie Powstania Listopadowego: 140 tysięcy. Dalszych 270 tysięcy mieszkało na Wołyniu i na Kijowszczyźnie... Nikt jednak szczegółowo nie opisał historii unicestwienia całej grupy społecznej, którą była uboga szlachta na prawobrzeżnej Ukrainie... Historii zagłady pewnej swoistej kultury, zacofanej wprawdzie i która by uległa najpewniej powolnej erozji, ale którą zniszczyła kultura równie zacofana, tyle tylko, że władająca przemocą”.

(Z przedmowy Krzysztofa Pomiana)

Str. 296.

Cena. F. 120,00.



TOM 426 — JAN JÓZEF LIPSKI

### **SZKICE O POEZJI**

O twórczości poetyckiej w Polsce w ostatnich latach

Str. 200.

Cena F. 95,00.



WZNOWIENIE

TOM 128 — MAREK HŁASKO

### **PIĘKNI DWUDZIEŚTOLETNI**

Wydanie trzecie fotooffsetowe

Str. 210.

Cena F. 75,00.